

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 11 ■ Rok I ■ 2 GRUDNIA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: BUDRECKI □ CZAPLIŃSKI □ NOWAKOWSKI □ ŚPIEWAK  
oraz: BOGUCKI, KALICKI, ŁUKASZUK, MAZUREK, RUTKOWSKI, ŚMIGŁO, WĘGIELEK

Strony sporu o prozę ostatnich dwu dekad powiedziały swoje ostatnie (lub przedostatnie) słowo, polemika wygasa. Dzięki temu lepiej słycać głosy samej literatury, która wydaje się bardziej cierpliwa niż krytycy. Cierpliwa i uparta, jak fakty.

Kończy się też metapolemika na temat tego, co i jak powiedziano o prozie, czyli spór o krytykę. Czas więc zastanowić się nad rzeczą trzecią, być może najbardziej intrygującą: **dłaczego powiedziano o prozie to, co (i jak) powiedziano?** Kiedy fenomen niewiele tłumaczy, czas spojrzeć na sprawę genetycznie. Oto jak mogłoby brzmieć pytanie w wersji nieco uściślonej:

komunikatywnych, wreszcie za obszar fanaberii służących tylko ich sprawcom. O tym, że tak jest, ma świadczyć prawie wszystko: czytelnicze zapotrzebowanie, czyli dziś niemal pełne *désintéressement* wydawnictw, pozycja społeczna i materialna pisarzy (nie pisarzy-polityków czy pisarzy-publicystów). O jakimkolwiek zaś znaczeniu współczesnej prozy powieściowej w Polsce zaświadcza tak niewiele, że nie wiadomo, czy w ogóle coś: aksjologia kultury.

Krytyka, choć to paradoksalne, na ogół nie podjęła przeciw prozie argumentów aksjologicznych, lecz te potoczne. Zarzuciła jej banalność, skrytykowała za



ADAM HOFFMAN

Jerzy Łukosz

## Prozaiczna głębia

*dopisek do polemiki o prozie*

dłaczego współczesna proza powieściowa, nie tylko ta pisana przez młodsze pokolenie autorów, ale i ta powstająca pod piórem twórców starszych i najstarszych, odbierana jest przez znaczną część naszej opinii publicznej jako gatunek od lat niespełniony, a więc poznawczo zawodny, nie wyrażający w pełni człowieka i jego czasu. Bez względu na stan rzeczy (przemiany w kulturze), uznana została za zespół form wypowiedzi trafiający w społeczną próżnię, obecny gdzieś daleko poza pierwszą linią społecznej ekspresji słownej, za dziedzinę opanowaną przez jednostki nie dość sztandarowe, twórców formatu nieco przykusego, nie-

mętność pokazanego życia, jego niewzorcowość, za niedostrzeganie „prawdziwej” rzeczywistości społecznej. Potępiła za brak szerokich horyzontów i jałowość intelektualną. Za głupotę narratorów, płytkość autorów, nijakość bohaterów. Za niekonkurencyjność w społecznych i filozoficznych diagnozach względem nauki. Za nieskuteczność perswazyjną. Za zróżnicowania formalne i poszukiwania językowe. Za niezrozumiałość. Za niemożność wyjścia poza język polski. Za to wszystko starą i nową prozę powieściową potępiono.

To zarzuty powtarzalne, chciałoby się powiedzieć: historyczne. W ostatnich la-

tach – z niewielkimi modyfikacjami – za ledwie przypomniane w związku z nową prozą. W gruncie rzeczy bowiem każda czysta postać prozy, a więc te opowiadania i powieści, nawet sprzed dziesięcioleci, nie ciężące ku publicystyce, esejowi czy liryce, stawiane były w stan oskarżenia.

Dlatego należy sięgnąć do korzeni sporu, którego lodyga usycha ani bawiąc oczy, ani trując owocami. „Błędy” prozy powtarzają się z tak żelazną konsekwencją, jak stawiane przez krytyków zarzuty. Dość przypomnieć karierę oskarżenia o nazwie „eskapizm”. Albo pretensje

o bohatera, który nigdy nie był dość postawny moralnie czy myślowo. Gdyby na obrzeżu krytycznego jarmarku nie płynął cichy nurt krytyki „aksjologicznej”, można by pomyśleć, że wobec takich rozmiarów katastrofy literackiej rację ma synoptyk, a nie pogoda.

Wchodzimy tu na trop pewnego błędu w myśleniu o literaturze. Przejawy tego błędu, na pozór chaotyczne, tworzą logikę fałszywego postępowania krytycznego, którego rodowód sięga XIX wieku. Oto w jakiś czas po wybrzmieniu pierwszych i najsilniejszych akordów romantyzmu

dokończenie na s. 6

# twarz tygodnia

Oczy miała podbite. Teraz już się nie dojdzie, czy od oglądania do późna w nocy telewizji, czy też był to rezultat zbyt krewkiej gestykulacji. Ważne, że na pewno pozostawało to w związku z wyborami prezydenckimi. Walka o fotel prezydencki robi się coraz bardziej ostra.

Kiedy ten tekst trafi przed czytelnice oczy, będzie już po pierwszej turze wyborów. Kiedy powstaje, jest oczywiście przed nią. Państwo będziecie wiedzieć, a ja jestem skazany na studiowanie wyników instytucji badania opinii publicznej. A to ciężki wyrok, bo ja w takie instytucje nie wierzę. Nie żebym zaraz zaprzeczał ich istnieniu. Daję wiarę, że są, i wiem nawet, jak się nazywają. Nie uważam jednak, że instytucje te mogą coś rozsądnego wyprorokować.

Stanisław Lem w tekście „De Impossibilitate Vitae; De Impossibilitate Prognoscendi” dowodził, że samo pojawienie się człowieka na Ziemi ma tak niski stopień prawdopodobieństwa, iż należy do kategorii cudów; co dopiero przewidzenie jego zachowań. Prawdopodobieństwo owo jest równe odegraniu „w tempie na trzy czwarte sonatiny b-moll Czajkowskiego, w składzie kuchennych naczyń, przez wybuchające podczas oblężenia szrapnele, ponieważ ich kulki będą trafiły większe i mniejsze garnki akurat tak, jak tego wymaga utwór” pisał autor *Próżni doskonałej*.

Gdyby badanie opinii publicznej było rzeczywistym obrazem sytuacji społecznej, gdybyż było choćby obrazem przybliżonym, a wspomniana przez specjalistów granica błędu miała realne granice! Ludzie odstąpiliby wtedy od tak kłopotliwej i drogiej procedury, jaką są wybory. Aby pozostać przy porównaniach literackich, to między sondażem, a elekcją jest taka akurat różnica, jak między lekturą powieści pornograficznych a miłością. Kto wie coś o tym, przyzna mi rację.

Więc już Państwo wiecie, co się w tę niedzielę zdarzyło. Nie będę więc ani wyrokował, ani prorokował. Chciałbym jedynie opisać dwie strategie wyborcze, które do tego wniosku doprowadziły.

Sztab wyborczy Lecha Wałęsy postawił na siłę przepowiedni samospełniających się. Przykładem ich niech będzie taka predykcja „Bank w Pcimiu zbankrutuje”. Co usłyszawszy, ci, którzy swe oszczędności tej instytucji powierzyli, spieszą je wycofać. Powoduje to rzeczywistą upadłość. Przepowiedziane spełniło się. Więc sztab wyborczy Przewodniczącego powiada: „Wybory mamy w kieszeni”. „I tak wszyscy wiedzą, kto będzie prezydentem” itp. Może to jego klientelę prowadzić do elekcyjnego lenistwa. Po co iść na te wybory, skoro wynik pewny.

Sztab wyborczy Tadeusza Mazowieckiego postawił na siłę przepowiedni samoniszcących się. Przykładem niech będzie predykcja „Balkon tej kamienicy się zawali”. Co usłyszawszy, tak ci, co pod tym balkonem stali, jak ci, którzy się z niego wygapiali na ulicę, oddalają się spiesznie. W tej sytuacji, nawet gdyby doszło do zawalenia się wspomnianego architektonicznego elementu ofiar w ludziach by nie było. Nie spełniło się, gdyż było przepowiedziane. „Gazeta Wyborcza” straszy Tymiańskim. Sam Premier zachowuje się, jakby nie walczył o wygraną. Jego sztab nie apeluje do własnej klienteli. Ta, wychodzi z założenia, zdania i tak nie zmieni. Wycelował swoje programy w tych, którzy mogą zmienić zdanie.

Wyniki Państwo znacie, a ja, gdy dożyję, zotaczę.

Fizjonomista

Umarł Adolf Rudnicki, nie tylko jeden z najwybitniejszych, lecz również najbardziej może zadziwiający pisarz polski dwudziestego wieku.

Twórczość artysty nawet największego zaspokaja zazwyczaj tylko część naszych intelektualnych i estetycznych potrzeb, wypełnia jedno tylko z pasm naszej wrażliwości, pozostałe pozostawiając wolnymi dla innych dzieł. Twórczość Rudnickiego była zaprzeczeniem tej reguły.

W tym tak obszernym i różnorodnym dziele trzy nurty wydają mi się najważniejsze. Najwcześniejszy chronologicznie to nurt prozy psychologicznej, który później stał się głównie nurtem prozy psychologiczno-miłosnej. Bezlitosna wnikliwość, a zarazem czułość z jaką Rudnicki opisywał duszę ludzką (szczególnie

Czysty nurt, jednym z bezprzecznie największych arcydzieł nowelistyki polskiej.

Anegdota głosi, że gdy przed wojną wokół debiutanckich *Szczurów* Rudnickiego powstało pewne środowiskowe zamieszanie, Irzykowski spytał młodego pisarza: „Czy koledzy nie mówią, że pan się już skończył?” Nie wiem, co mówiono wówczas; wiem, że taka opinia przez długie lata towarzyszyła Rudnickiemu. Tymczasem w lata osiemdziesiąte, dochodzący już do siedemdziesiątki pisarz, wszedł rewelacyjnym *Rogatym warszawiakiem*. Doświadczenia, zebrane podczas wieloletniego pisania *Niebieskich kartek* (i częściowo wypróbowane w *Kupcu łódzkim*), znalazły po latach właściwą dla siebie formę. Formę prozy afabularnej, eseistycznej, stawiającej światu – a przede wszystkim

## Adolf Rudnicki (1912–1990)

– kobiecą), od *Szczurów* i *Niekochanej*, poprzez *Wniebowstąpienie*, aż po *Palczkę* i *Pyl*, zdawała się być zjawiskiem niemal niezrozumiałym na tle prozy polskiej, z rzadką lubiącej zwracać sobie głowę podobnymi subtelnościami. W utworach tych Rudnicki zadawał kłam schematowi dzielącemu sztukę na „wyzumowaną” i „z serca płynącą”, stosując chłodną na pozór analizę psychologiczną tworzył utwór o niezwykłym natężeniu emocjonalnym. Okres tuż powojenny przyniósł w twórczości Rudnickiego cykl znakomych utworów, poświęconych zagładzie narodu żydowskiego; utworów, których tragizm wyzbyty był sentymentalizmu. W moim przekonaniu, mimo wielu, niekiedy bardzo udanych prób (Wojdowski, Krall), nic większego później na ten temat nie napisano. Zaś wątek *shoah* w połączeniu z wcześniejszymi zainteresowaniami Rudnickiego, zaowocował opowiadaniem

kim Polsce – najodważniejsze, najtrudniejsze pytania. Formę tę wykorzystał Rudnicki w trzech kolejnych tomach: w *Sto lat temu umarł Dostojewski*, w *Krakowskim Przedmieściu pełnym deserów*, w *Teatrze zawsze gramy*. Te cztery książki składają się na jeden z najważniejszych epizodów w twórczości Rudnickiego; stanowią doniosłe intelektualnie zjawisko w prozie polskiej lat osiemdziesiątych. Niestety, nikt prawie wagi tego zjawiska nie chciał zauważyć i docenić.

O twórczości Adolfa Rudnickiego bowiem zadziwiająco często pisano źle. Sandauer z zapalem godnym lepszej sprawy miażdżył *Palczkę*. Niekochanemu w okresie socrealizmu pisarzowi w wiele lat później wypominano *Majora Huberta z armii Andersa*, choć ten utwór, rzecz jasna, fałszywy historycznie (powtarzający propagandową wersję o Niemcach jako sprawcach zbrodni katyńskiej), może na

tle współczesnej mu prozy polskiej uchodzić za niemal życzliwy wobec powojennej emigracji. Zaś z jednej z najmądrzejszych książek o Polsce lat osiemdziesiątych, z *Krakowskiego Przedmieścia pełnego deserów*, wyczytano głównie to, że Rudnicki niesprawiedliwie napisał o Andrzejewskim.

Był więc Rudnicki – zwłaszcza w ostatnich latach – outsiderem literatury polskiej. Po części z wyboru: uwikłania taktyczno-środowiskowe były dlań nie do pogodzenia z celami poznawczymi, jakie stawiał swojej prozie, z wagą, z jaką traktował w ogóle literaturę. Myślę, jednak, że w pewnej mierze było to także samotnictwo wymuszone, wiążące się być może z poczuciem niedoceniaenia Go przez współczesne środowisko literackie.

Łaknął, zwyczajnie po ludzku, dobrego słowa: gdy w 1981 roku opublikował esej, osnuty wokół wątków *Rogatego warszawiaka*, Rudnicki odszukał mnie, wówczas niemal debiutanta, by zmówić się na rozmowę i wręczyć książkę z dedykacją. Po latach znów napisałem o Nim, tym razem o prozie miłosnej. I tym razem zatelefonował. Cieszył się z powodu tego szkicu, z drugiej jednak strony zdawał się być zaniepokojony faktem, że w tym niezwykle wysoko ocenianym Jego prozą tekście, znalazła się drobna uwaga krytyczna o dwóch dawniejszych opowiadaniach. We wspomnianym szkicu, wyraziłem swoją entuzjastyczną opinię o „Czystym nurcie”; „A wie pan, podobnego zdania jest Milan Kundera”, usłyszałem w słuchawce.

Ten wielki pisarz i niezwyklej mądrości człowiek był dumny jak pochwalone dziecko.

Piotr Bratkowski

■ 21 XI w Domu Literatury można było uczestniczyć w wieczorze autorskim Mariana Brandysa zorganizowanym przez oddział warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, słowo wstępne wygłosił Ryszard Matuszewski. ■ W Staromiejskim Klubie Turysty PTTK (Rynek Starego Miasta 23) czynna jest wystawa fotografów *Wojna polsko-rosyjska 1919–1920*. Zatrzymane w kadrze. Bardzo ciekawe. ■ W Starej Galerii ZPAF (plac Zamkowy 8) oglądać można wystawę prac Zofii Raczkowskiej *Konie, konie*. Piękne, dynamiczne zdjęcia. ■ Od 25 XI do 2 XII trwają 7. Międzynarodowe Targi Sztuki w Poznaniu. Ambicją organizatorów jest, by w przyszłości Targi stały się miejscem spotkań wszystkich zainteresowanych międzynarodowym rynkiem sztuki. ■ Dobiegają końca 4. Dni Kultury Japońskiej organizowane przez Ambasadę Japonii i Towarzystwo Polsko-Japońskie. W programie między innymi: wystawy, odczyty, koncerty i przegląd filmów Akira Kurosawy. W ramach Dni do 31 XII w Muzeum Etnograficznym (Kredytowa 1) można oglądać lalki japońskie. Warto wybrać się. ■ 19 i 20 XI gościł w Polsce lord Gowrie, prezes Sotheby's, najstarszej firmy aukcyjnej dzieł sztuki. W hotelu „Victoria” gość wygłosił wykład na temat zasad działania firmy Sotheby's i międzynarodowego rynku sztuki. ■ W teatrze „Studio” wznowiono dwa przedstawienia – *Komedia* i *Ostatnia taśma Krappa* Samuela Becketta w przekładzie i reżyserii Antoniego Libery. Bezkonkurencyjny Lomnicki. ■ Warszawie przybyła nowa scena. Repertuar teatru „Na Kruczej”

## przeгляд kulturalny

mieszającego się w sali Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków ma charakter kabaretowy. Powodzenia. ■ Rektorem łódzkiej Szkoły Filmowej został Wojciech Hass. ■ Retrospektywa filmów Andrzeja Wajdy rozpoczęła się 19 XI w Moskwie. ■ Od 21 XI trwał Przegląd Filmów Radzieckich w warszawskim kinie „Bajka”. W programie pięć utworów, z lat 1989–1990, które powstały w ZSRR: *Taxi blues* Pawła Lungina, *Pulapka na samotnego mężczyznę* Aleksandra Koreniewa, *Poza prawem* Igora Gostiewa, *Nie ruszaj się, umrzyj, zmartwychwstań* Witalija Kanińskiego i *Uzta Baltazara czyli noc ze Stalinem* Jurija Kary. To wszystko za jednego Wajdę! ■ Na zamkniętą premierę telewizyjnej adaptacji *Largo desolato* Vaclava Havla w reżyserii Agnieszki Holland przybył do Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Pradze prezydent Havel z grupą przyjaciół. ■ Dobiegł końca odbywający się po raz pierwszy w Warszawie 15.

## artykuł polityczny

### Zbiorowa mądrość narodu

Kampania prezydencka istotnie była konkursem piękności. W tym lustreczku przejrzała się zbiorowa mądrość narodu. Kłopot w tym, że nie da się skorzystać z rady Brechta: „rozwiązać naród i wybrać sobie nowy”.

W 1938 roku Orson Welles wprawił w popłoch Stany Zjednoczone ogłaszając

najazd Marsjan. W 1990 Stanisław Tymiański, gdyby był Marsjaninem wygrałby w pierwszej turze.

Największym myślicielem politycznym w obecnej Polsce może okazać się Daniken.

Tadeusz Komehdant

Festiwal Jeunes Musicales. Festiwale JM mają być prestiżowym forum promocji młodych talentów z całego świata. ■ 23 XI w sali koncertowej Filharmonii Narodowej wystąpiła jedna z najbardziej znanych orkiestr kameralnych Wielkiej Brytanii „London Chamber Orchestra”. W programie znalazły się utwory Mozarta, Vivaldiego i Brittena. ■ Po Tonym Wiliamsie i Philu Woodsie w koncercie z cyklu „Gwiazdy światowego jazzu” wystąpił Bob Berg, który zaczynał karierę w zespole Milesa Davisa. Wspaniały koncert jednego z najbardziej obiecujących saksofonistów tenorowych ostatnich kilku lat odbył się 25 XI w warszawskim Jazz Club Akwarium. Brawo! ■ W Krakowie w Teatrze „Starym” Rudolf Ziolo tak wyreżyserował *Księżniczkę Turandot* Carla Gozziego, że znów zaczyna się wierzyć w magię teatru. Muzyka Radwana, scenografia (znakomita) Witkowskiego, a zespół aktorski gra z widoczną przyjemnością. Konieczne trzeba zobaczyć! – premiera odbyła się 17 XI. ■ Do końca listopada eksponowana jest w krakowskim BWA wystawa malarstwa Stanisława Rodzińskiego. Obok przestrzenie zaaranżowanych obrazów religijnych można podziwiać utrzymane w brązach, beżach i szarościach piękne pejzaże artysty. ■ Wystawę fotografii *Kułyń* Krakowskie Muzeum Fotografii zawiozło do Wilna. Wystawa eksponowana od 15 XI do 15 I w byłym Muzeum Rewolucji spotkała się z dużym zainteresowaniem nie tylko Polaków. Litwini potraktowali ją jako ważny przyczynek do wspólnych doświadczeń. ■ Stanisław Wejman w Galerii Teatru „Stu” uchylił rąbka tajemnicy swego warsztatu pokazując *Rysunki duże i małe*. Wernisaż, który odbył się 20 XI połączony z odsłonięciem Wielkiego Obrazu na frontonie Teatru „Stu” uświetnił koncert z niespodziankami. Grał Janusz Grzywacz, a banki puszczał zawodowy bubble-man prosto z Ameryki. ■ 30 XI w Teatrze „Nowym” w Łodzi odbędzie się premiera sztuki Janusza Głowackiego *Fortynbras się upił* w reżyserii Christopa Kaczmarka. ■ 27 XI w teatrze studenckim „Cytryna” można było uczestniczyć w koncercie Johna Portera. ■ Bestsellery tego tygodnia: Antoine Saint-Exupéry *Mały księżę* (PAX), Alfred Szklarski *Tomek na tropach Yeti* (Śląsk), Alistair McLean *Partyzanci* (MON), Alistair McLean *Dziela Nawarony* (MON), Krzysztof Dubiński *Magdalena transakcja epoki, Samouczek języka niemieckiego, kurs wstępny* (Polskie Nagrania).

M.M.

# rozmowa

**TADEUSZ NOWAKOWSKI** – ur. 8 listopada 1917 roku w Olsztynie. Do szkoły średniej uczęszczał w Bydgoszczy. Pod koniec lat trzydziestych rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Po wojnie, w czasie której był więziony w obozach hitlerowskich (od 1940 do 1945), pozostał na emigracji, najpierw w Anglii, od 1953 roku w Stanach Zjednoczonych, a potem – do dziś – w RFN. Współpracował z Radiem BBC i Radiem Wolna Europa. Obecnie jest m.in. prezesem Towarzystwa Polsko-Niemieckiego w Niemczech i Klubu imienia Juliusza Mieroszewskiego.

Debiutował w 1947 roku opowiadaniem *Szopa za jaśminami*. Następnie wydał m.in.: *Obóz Wszystkich Świętych* – 1957 (powieść), *Syn zadżumionych* – 1959 (opowiadania), *Niestworzone rzeczy* – 1968 (opowiadania), *Happy end* – 1970 (powieść), *Byłe do wiosny* – 1975 (powieść), *Wiza do Hrubieszowa* – 1979 (powieść), *Aleja dobrych znajomych* – 1968 (wspomnienia). Wkrótce w Londynie ukaze się nowa powieść *Nie umiera się w Miami*.

Innym, reporterskim nurtem twórczości Tadeusza Nowakowskiego są jego relacje z podróży papieskich Jana Pawła II, któremu towarzyszył w ekipie dziennikarskiej. Owoce tych podróży są książki: *Reporter Papieża* (1981), *W bagażniku Jego Świątobliwości* (1982), *Volo Papale* (1982), *Na skrzydłach nadziei* (1984), *Boeing Świętego Piotra* (1984) oraz *Kwiaty dla pielgrzyma* (1987).

(Na podstawie noty o autorze w książce *Obóz Wszystkich Świętych*, Czytelnik, Warszawa 1990)

spektyw, że nagle w przededniu decyzji oddycha wolnością i nie zawsze wie co z tym począć. Było moją ambicją i cieszę się, że wnikliwy krytyk Jan Józef Lipski to zauważył, aby tak napisać tę książkę, żeby ona nie zdezaktualizowała się nawet w przyszłym pokoleniu.

*Problemy poruszone w Obozie Wszystkich Świętych są wciąż aktualne...*

– Teraz tak się składa, że pewne sprawy, takie jak spojrzenie na patriotyzm, czy na nacjonalizm stają się aktualne z różnych powodów. Przy czym na marginesie powiem, że rozdzieranie szat nad eksplozją polskiego, czy jakiegos innego nacjonalizmu wydaje mi się chwilami przesadne. Trzeba spokojnie na te rzeczy patrzeć. Bo nacjonalizm wynaturzony, powiedzmy patriotyzm wynaturzony, agresywny, antysemicki, skierowany przeciwko innym, jest oczywiście do odrzucenia. Ale patriotyzm samoobronny, patriotyzm społeczeństwa zagrożonego (tak jak na przykład dzisiaj w krajach bałtyckich), patriotyzm krajów słabych, które muszą się trzymać narodowych znaków i dlatego przesadzają w swojej semantyce patriotycznej jest zrozumiały, bo jest właśnie samoobronny. Tak samo jak polski patriotyzm w okresie stalinowskim. Wtedy w Polsce było instynktowne poczucie utrzymania i pogłębienia tożsamości, to znaczy odrębności narodowej, jako obrony przed indoktrynacją komunistyczną. Teraz jest taka moda, zwłaszcza za granicą, pomawiania Polaków o nacjonalizm.

– Jestem w Niemczech prezesem Towarzystwa Polsko-Niemieckiego, znam Niemców, ale nie chcę ich wszystkich bronić. Ci najlepsi nigdy nie byli antypolscy. Günter Grass, Heinrich Böll, Siegfried Lenz, Horst Bieniek... ci tak zwani emigranci we własnym kraju. Trzeba także zaznaczyć, że wyrosło nowe pokolenie niemieckie. Pamiętam, jak nakręciliśmy z Zanussim film o Ojcu Kolbe w Oświęcimiu, to widziałem ilu młodych ludzi przyjechało z RFN, jak oni to głęboko przeżywali. Podobnie w Polsce też wyrosło nowe pokolenie. Co innego jest przebaczyć, co innego zapomnieć. Zapominać nie wolno, ale trzeba umieć oderwać się od pewnych stereotypów po obu stronach. W tym jest przyszłość. Integrująca się Europa to dla Polski duża szansa.

*Jest Pan więc optymistą?*

– Ja patrzę optymistycznie choćby z tego prostego, pragmatycznego wniosku, że słabe kraje, słabe państwa nie mogą sobie pozwolić na luksus desperacji. To supermocarstwa mogą być kapryśne, wpadać w depresję, kasandryczyć o własnej przyszłości. Słabszy musi być optymistą, nie ma innego wyjścia.

*Chcielibyśmy teraz wrócić jeszcze do Pana twórczości. Odnajdujemy w niej bardzo różne gatunki: proza fabularna, eseistyka, poezja, publicystyka, reportaże. Który z nich jest Panu najbliższy?*

– Właściwie proza fabularna. Przynajmniej w krytyce zagranicznej, na pod-

## Emigracja jest dobrą przygodą

### rozmowa z Tadeuszem Nowakowskim

**Tygodnik Literacki:** *Ta rozmowa ma miejsce w kilka dni po krajowej promocji Obozu Wszystkich Świętych. Co odczuwa Pan jako pisarz, którego książka po trzydziestu latach ukazuje się wreszcie w oficjalnym wydawnictwie?*

**Tadeusz Nowakowski:** Nie jestem człowiekiem zbyt zarozumiałym, ale chciałbym przypomnieć zdanie Williama Faulknera, który, jak była mowa o Nagrodzie Nobla, powiedział: za późno, za późno, za późno. Owoce z drzewa sławy trzeba zjadać jak długo się ma zdrowe zęby, bo w pewnym okresie to już nie są jabłka tylko kompot z jabłek albo jabłecznik. Więc coś na rzeczy jest, że tak jak mówi Pismo: jest czas siania, jest czas żęcia, jest czas wschodu i zachodu. Jeżeli coś za późno przychodzi, oczywiście już tak człowieka nie cieszy. To są te spóźnione satysfakcje, które by mnie uradowały w 1956 roku. Wtedy, na fali odwilży, była taka możliwość. Miałem dostać nagrodę literacką miasta Bydgoszczy, ministerstwo postawiło veto, dostał kto inny. Potem pani Szymańska z PIWu, przy pomocy bodaj Rysia Matuszewskiego, chciała tę książkę przeforsować. Bardzo ją popierał, o dziwo, Julian Przyboś, popierał ją Kazimierz Wyka, Aleksander Wat i inni ludzie, ale odkryli, że jestem pracownikiem Radia Wolna Europa i to przesądziło o dalszych losach składu. To było podejście administracyjno-policyjne, identyfikowano Rozgłoszenie Wolnej Europy z jakąś agenturą, która chce przewrócić ustrój.

*Jak, Pańskim zdaniem, odbierze ją polski czytelnik roku 1990?*

– To zależy od czytelnika. Przeciętny czytelnik może być trochę zdziwiony, że otrzymuje relację o tym, co się działo od 1939 do 1945 czy 1946 roku, bo dla niego to już jest okres historycznie zamknięty. Jeżeli jest jednak jakiś młody, który interesuje się najnowszą historią Polski, to zajrzy do tego w nadziei, że znajdzie coś, czego dotychczas nie znał. Otóż takich białych plam tam oczywiście nie ma. Natomiast są poruszone pewne sprawy,

które na mapie literatury nie były w dostatecznym stopniu przedstawiane. Bo tak się dziwnie składa, że to co działo się nad Wisłą, w stolicy, Powstanie Warszawskie, martyrologie związane z ruchem oporu, że one gdzieś się zatrzymywały. Na przykład właśnie ziemie pomorskie były trochę mniej znane. Albo ten homo dipiensis, który właśnie przeżywał dramatyczny okres, czy wrócić, czy nie wrócić, czy rozpocząć nowe życie. To, co się nazywa szczęściem uciętych per-

Co drugi Francuz, Niemiec też jest utajonym nacjonalistą, co drugi Włoch, Anglik i Amerykanie są zagorzałymi patriotami. To, że nasz naród nie jest na przykład dostatecznie otwarty na zagadnienie mniejszości narodowych, to jest znana rzecz. Potrzebna jest tutaj mądra polityka, która nawiąże do najlepszych tradycji polskiej tolerancji. Sądzę, że dzisiaj politycy w Polsce są świadomi tych nowych zadań.

*Jak Pan widzi przyszłość stosunków polsko-niemieckich?*

stawie przekładów, jestem ceniony jako nowelista, jako *story-teller*. Raczej więc jestem tym człowiekiem, który lubi fiction, prozę fabularną...

*... i prozę dygresyjną.*

– No tak. W swoich opowiadaniach, gawędach mam tę, że tak powiem, poetykę dygresji. Jedna dygresja daje życie drugiej dygresji. Jeżeli kto mówi, że gubię się w trzęsawisku dygresji, odpowiadam na to, że fabuła nie jest ważna. Taki był Słowacki, napisał *Beniowskiego*, tam w ogóle nie ma żadnej akcji, w ogóle nic się nie dzieje, a te dygresje są takie cudowne. Zresztą teraz zakradła się jakaś fałszywa rzeczowość w literaturze. Literatura jest przeintelektualizowana, ucieka w formy abstrakcyjne. Nie ma rasowych, dawnych opowiadaczy, którzy zaskakiwali słuchacza i czytelnika. Najgorsza rzecz, że człowiek bierze do ręki współczesną prozę i tam nie czyha na niego żadna niespodzianka, ani intelektualna, ani formalna. Nie chcę, bo to jest wstydliwe dla człowieka w moim wieku, narzekać na inną generację, ale jak czytałem ostatnie numery „*Twórczości*”, to miałem wrażenie, że z tą młodą prozą coś nie tak, jak trzeba. Może to wina zbyt blizkości Henryka Berezę, a może mojego staromodnego kryterium.

*Inne Pana zainteresowania, poza prozą?*

– Inne zainteresowania wpłynęły *ut vivre*, to znaczy, że trzeba było troszeczkę zarobkować. Jak byłem w radiostacji robiłem słuchowiska, pisałem jakieś sztuki, trochę telewizyjne, trochę radiowe i to też, w jakimś stopniu, zbilo mnie z gościńca autentycznych zainteresowań. Poezji właściwie nigdy nie uprawiałem, w dzieciństwie jakieś wierszyki. Ale to ciągle są marginesy. Moja twórczość to przede wszystkim ten długi cień II wojny światowej, który jest u mnie w *Wizie do Hrubieszowa*, potem uczulenie na tematykę współczesną, w takich książkach jak np. *Happy end*..



TADEUSZ NOWAKOWSKI

JACEK GAWŁOWSKI

dokończenie na s. 4

Jan Nowak Jeziorański w swoich wspomnieniach Polska z oddali o Happy endzie napisał: „Książka dawała wszelkie podstawy do usunięcia z radia autora który, być może, liczył właśnie na rozgłos i wrzawę z tego powodu”.

– Istnieje rozprawa, w której jest opisane jak Nowakowski rozprawił się z Sokorskim. Sokorski nawet wygrażał, że mi się piórem odważymy, czyli uderz w stół i dwóch władków się odezwie. Jeden po tej stronie, a drugi po tamtej. Nowaka to zabolalo, bo on chciał, żeby ja napisał słuchowisko o tym jak Borys Polewoj ocalił Jasną Górę przed wysadzeniem przez Niemców w powietrze. Ja zadałem sobie trud, dotarłem do archiwum jasnogórskiego i okazało się, że to buda. Więc zaprotestowałem. A on był człowiekiem bardzo autorytatywnym i zaczął mi podskakiwać. No i w końcu powiedziałem: to ja to wszystko opiszę, perypetie człowieka, którego zmuszają, żeby coś napisał wbrew swojemu przekonaniu. Ale to wszystko dzieje się w Radiokomitecie. Jest przeniesione na inny obszar geograficzny, który doskonale znam przez relacje przyjaciół. Miałem też kłopoty ze zwierzchnikami, gdy napisałem krnąbrne opowiadanie „Piknik wolności”. Nakazano na „wysokim szczeblu” przekład tego tekstu na angielski – gwoli ekspertyzy. Okazało się, że to jest ironiczna historia, którą można się tylko ubawić. A z Nowakiem znamy się jeszcze sprzed wojny, bardzo wiele nas łączy. To jest Hassliebe, jakby powiedział Freud. Kochamy się i lubimy się.

W Pana twórczości można dopatrzeć się pewnej sprzeczności. Jest w niej stały podział na Nowakowskiego i Olsztyńskiego, na działalność wyrobniczą, dla chleba i na pracę literacką. Jest to widoczne również u większości Pańskich bohaterów.

– Tak, jest ten dualizm. Jak człowiek się z czymś utożsamia, identyfikuje, to dla uwiarygodnienia swojej opcji szuka alternatywnego modelu. Dr Jekyll i Mr Hyde – taka dwoistość jest bardziej interesująca. Te dwie postawy wzajemnie się uzupeł-

## Emigracja jest dobrą przygodą

nają. To jest pokazane świadomie. Inaczej byłaby to jakaś obrachunkowa historia z relacjami tylko jednej strony. A tak, to czytelnik może się obrazić, może się zachwycić, może to przyjąć albo odrzucić. Sądzę, że taka poetyka jest bardziej dostosowana do pękniętych zwierciadeł dzisiejszości. A pseudonim „Olsztyński” używałem z uwagi na bezpieczeństwo rodziny w kraju.

Czy można zaryzykować twierdzenie, że właśnie teoria przy dygresyjnej dala możliwości połączenia tych dwu różnych stanowisk?

– Jak się czyta współczesną literaturę, zwłaszcza na Zachodzie, dochodzi się do wniosku, że epoka chemicznie czystego gatunku należy do przeszłości. Ja nie idę tak daleko jak Joyce, który powiedział, że powieść to jest taki worek, do którego można wszystko wepchnąć. Widać jednak wyraźnie jak rozchwyane są kryteria. Sekwencja, fabuła, psychologia, wszystko to zostało w jakiś sposób przesunięte w stronę eseistyki, refleksji. Człowiek, który opisuje, nie ma na tyle zaufania do empirycznie postrzeganej rzeczywistości, żeby od razu nie postawić weta. Narrator siebie samego dezawuuje pojawia się bardzo często, zwłaszcza w młodej prozie niemieckiej, także francuskiej czy amerykańskiej. Jest jakaś obawa zakodowana, mylna obawa, przed powtarzaniem klasyków.

W swoim esej „Wenus z Milanówka” krytykował Pan literaturę krajową za jej polonocentryzm, zaściankowość, prowincjonalność. Pytanie przewrotne: czy w swojej twórczości ustrzegł się Pan przed tymi zarzutami?

– It's a good question, jak mówią Amerykanie. Konsekwencji powinno wymagać się od chirurga, matematyka, fizyka jądrowego. Człowiek pióra nie musi być konsekwentny. Kiedy pisałem ten esej to chodziło konkretnie o to, że zaalarmowano mnie, iż w Polsce nikt nie chce uczyć się języka rosyjskiego, a rusycystyka jest prawie kolonią karną. Pomijam już to jakie są arcydzieła literatury rosyjskiej – samo sąsiedztwo do czegoś zobowiązuje. Na Zachodzie nikt nie może zrozumieć, że Polacy lepiej znają literaturę francuską, angielską, amerykańską od literatury swojego sąsiada. A z drugiej strony, nawet u naszych patentowych uniwersalistów-Europejczyków wylazła jakaś zaściankowość. To co Boy kiedyś napisał, że Parandowski jest starocerkiewnym humanistą z kompleksem europejskości. Oni wszyscy go troszkę mieli. Polacy chodzili na Zachodzie i mówili: My należymy do Europy. Żaden obywatel Luksemburga nie zaczepi pana na ulicy i nie powie: Wie pan, że ja jestem żywą częścią Europy. To wszystko można zrozumieć, ale jednak jest w tym jakaś prowincjonalność. Albo na przykład polski katolicyzm, nie daj Boże kogoś czy coś skrytykować. A katolicyzm szwajcarski, holenderski, niemiecki? To jest nieustający dialog, prawdziwy dialog ekumeniczny. Wszyscy są w sporze z dogmatyzmem, fundamentalizmem, nie naruszając dogmatów religijnych.

Czy Pan siebie samego uważa bardziej za pisarza pamięci czy współczesności?

– Nie widzę takiej wielkiej biegunowości. Nie ma współczesności bez pamięci. Nikt nic nie napisze, czego nie ma w sobie, we

## [nie]przedawnione

Przemysław Czapliński

Raport o stanie wojennym Marka Nowakowskiego należy do książek najgłośniejszych w całym dorobku literatury drugoobiegowej, ale też i do najbardziej kłopotliwych.\*

W nocce o *Raporcie*, zawartej na okładce pierwszego oficjalnego wydania, czytamy: „Raport został przełożony na dziesięć języków (...) i uznany na Zachodzie za najbardziej rzetelne literackie świadectwo tego okresu dziejów Polski”. Otóż wspomniana wątpliwość polega na tym, że zarówno lekturze kolejnych części *Raporu*, docierających do nas w latach 1982–1984, jak i lekturze całościowej, w roku 1990, towarzyszy coraz głębsze przekonanie, iż książka ta ani nie jest literacko udana, ani też, co ważniejsze, nie jest raportem o stanie wojennym. Aby jednak odpowiedzieć na pytanie „czym jest ten zbiór opowiadań?”, musimy najpierw zapytać DLACZEGO RAPORT? Użycie tego słowa w tytule dość wyraźnie sugeruje rezygnację

oddał głos dziesiątkowi narratorów. Przeciętni ludzie mówią o zwyczajnych kłopotach spotęgowanych tylko przez stan wojenny: braki w zaopatrzeniu, malwersacje w pracy, tłok w autobusie...

Nowakowski, nazywając swój zbiór opowiadań *Raportem*, zobowiązał się sporządzić inwentarz świata stanu wojennego, spis pozbawiony interpretacji i osądu. Uczynił to jednak w przekonaniu, że opisywana rzeczywistość będzie mówić sama za siebie, że każdy jej fragment będzie mimowolnym oskarżeniem. Wydawało się to właściwie oczywiste: znaleźliśmy się nagle w rzeczywistości, w której każde dowolne zachowanie było już obrazą majestatu władzy (opowiadanie „Judasz na Placu Defilad”), a najbardziej banalna wiadomość – groźnym szyfrem („Kanarek”). Jednakże nasze zamówienie nie opiewało na „oczywistości” stanu wojennego, tymi bowiem obdarzeni zostaliśmy wszyscy sprawiedliwie. Zamawiając raport mówili-

## Raport o katastrofie

z literackości na rzecz dokumentarności. Wszak „raport” to „doniesienie”, a ściślej biorąc: „odniesienie”, czyli sporządzenie relacji przez kogoś zamówionej, i odniesienie jej zamawiającemu. Podkreślmy od razu, że zamówienie obejmuje nie tylko samą relację, lecz również język, w jakim relacja powinna być sporządzona oraz przedmiot, którego relacja ma dotyczyć. Co do języka, powiemy, iż musi to być język zamawiającego, a przynajmniej swoisty kompromis stylistyczny pomiędzy językiem zamawiającego a językiem spełniającego zamówienie (i tak, na przykład, po relację z pola walki posyłamy „fachowca od wojny”, a nie poetę, ten bowiem „odniósłby” nam wiersz). Co do przedmiotu relacji powiemy, iż zamówienie raportu jest równoznaczne ze skierowaniem uwagi na określony aspekt rzeczywistości. Mówimy komuś: „idź, zobacz co tam się dzieje i przyjdź z relacją”, a rozumiemy przez to: „przyjdź z relacją, która wystarczy nam do zrozumienia sensu dziejących się wydarzeń”. Podsumowując: użycie słowa „raport” w tytule książki pozwala pytać jej autora o trzy rzeczy: dlaczego mówisz? (kto złożył zamówienie na raport?); jak mówisz? (kto zrozumie język, jakim się posługujesz?); o czym mówisz? (czy spełniasz to, co zapowiadasz tytułem „raport o stanie wojennym?”). Zaczniemy tedy po kolei:

### Dlaczego mówisz?

To oczywiście, że pierwszą osobą, która zamawiała „raport” jest sam pisarz. Jednakże równie oczywiste jest i to, że ktoś może składać raport spodziewając się, że ktoś inny po prostu tego oczekuje. I jeśli takie było nasze oczekiwanie, to wobec tego MY ZAMÓWILIŚMY RAPORT o stanie wojennym i my niecierpliwie czekaliśmy, aż zostanie napisany. Czekaliśmy na obraz tej rzeczywistości, w której zostaliśmy zatrzaśnięci, na arcydzieło, które napelni sensem nasze oczekiwanie i nazwie jego istotę. Lecz czekaliśmy także na dokument, który w naszym imieniu wymierzy sprawiedliwość złu, a zbiorowej pamięci przekaże wizerunek prawości. I gdyby nawet poczucie historycznej krzywdy nie pomogło wtedy w konkretyzowaniu zamówień literackich, to podpowiadał nam je kanon naszych lektur narodowych.

Znowu przecież, jak w romantyzmie, można było z gorzką ironią powiedzieć: „Naród ginie, dlaczego? Aby wiesz narodu miał treść do poematu (...)”.

Stan wojenny przywracał literaturze doniosłość i rzucił wyzwanie, któremu należało sprostać. Zadania tego podjął się w swej relacji Nowakowski. Wybrał jednak do tego formę niezbyt szczęśliwą. Przez stronie *Raporu* przewijają się postaci „nieważne”: taksówkarz, portier, urzędnik, student, działacz podziemia, emeryt... Wygłaszają swój monolog dotyczący mniej lub bardziej powszedniej sceny z teatru stanu wojennego, i znikają bezpowrotnie. Powtarzalność tych scen, gestów i zdarzeń, jest na tyle męcząca, że aż zwalnia z obowiązku raportowania: „Wczoraj był dzień wielkiego podmięcenia i gniewu. Odbywały się obchody rocznicy Czerwca 1956 (...). Tłum walił jak rzeka. (...) A potem szarżę milicji, rozpedzanie manifestujących. Nie będę się zbytnio rozwodził na ten temat. Sprawy powszechnie znane. Świece dymne, strumienie wody (...), pały, jęki, wrzask. (...) Cała sceneria doskonale znana” (podkr. – P.C.). Przyczyna, dla której *Raport o stanie wojennym* został zwolniony z powinności raportowania o stanie wojennym, jest dość prosta: nasze zamówienie na raport było skierowane do pisarza, ten zaś, zgodnie ze swoją wcześniejszą metodą pisarską,

my: „przyjdź z relacją, która wystarczy nam do zrozumienia sensu dziejących się wydarzeń”. Ograniczony metodą pisarską, w której zamiast opisu (relacji przedmiotowej) stosuje monolog (relację podmiotową), Nowakowski zdołał ujawnić prawdę zaledwie oczywistą: stan wojenny był takim momentem w dziejach, kiedy to historia, o każdej porze dnia, leżała na ulicy, kiedy komunizm odkrył wszystkie swoje mechanizmy utrzymywania władzy służącej utrzymywaniu władzy. Czytając *Raport* czuliśmy się więc trochę tak, jak mogli się czuć „bohaterowie z ludu” czytający Konopnicką: cierpimy, wiemy, że mamy rację, i nic z tego nie wynika. Przywołując tradycję pozytywistyczną, a nie romantyczną, docieramy przecież do pewnego paradoksu: podobnie jak pozytywistyczne „obrazki z życia ludu” adresowane były nie do ludu, lecz do inteligencji, tak też i *Raport*, mówiący o oczywistościach, mógł wywołać oddźwięk czytelnicy jedynie poza społecznością objętą stanem wojennym. Tak więc to my zamówiliśmy *Raport o stanie wojennym*, ALE NIE MY STALIŚMY SIĘ JEGO ADRESATAMI. Aby w miarę precyzyjnie wyjaśnić istotę tego komunikacyjnego nieporozumienia, należy konsekwentnie zadać autorowi *Raporu* pytanie:

### Jak mówisz?

Odpowiedź na to pytanie wymaga jednak skrótego przedstawienia różnic pomiędzy *Raportem* a wcześniejszą twórczością Nowakowskiego, w której zasadniczym przedmiotem zainteresowania pisarza była subkultura i mentalność lumpa tworzącego antyspołeczność (określenie Jana Błońskiego). Antyspołeczność ta, usytuowana peryferyjnie wobec kultury oficjalnej, spoiście swą zawziętością negacji wartości powszechnie uznanych oraz własnemu niezwykle surowemu kodeksowi honorowemu. I choć w późniejszych opowiadaniach, które pojawiły się po zbiorach *Ten stary złodziej* i *Benek Kwiciarz*, pisarz często portretuje „lumpa z wyboru”, to jednak najistotniejsze cechy nie ulegają zmianie: subkultura pozostaje obszarem peryferyjnym i przeciwnym wobec społeczeństwa oficjalnego.

W tak zarysowany układ socjologiczny *Raport* wnosi zmianę fundamentalną, bo choć tekst przedstawia opozycyjne względem siebie grupy społeczne, to przecież w miejsce dotychczasowych bohaterów peryferyjnych wchodzi przedstawiciele całego społeczeństwa żyjącego w konflikcie z władzą i jej reprezentantami, czyli milicją, wojskiem i partią. Innymi słowy, *Raport* mówi o takim momencie w dziejach narodu, kiedy to całe społeczeństwo, ze względu na własny kodeks honorowy, musiało znaleźć się na peryferiach oficjalnego życia. „Czyli dwie rzeczywistości. Rzeczywistość telewizyjna i życie. Jak to można znieść?”. Przynależność do kultury zepchniętej w subkulturę nie jest już, jak poprzednio, efektem wyboru, lecz konieczności: „Człowiek żyje w takiej przekłętej przez Boga części Europy. Dożywno skazany”.

Różnica druga dotyczy wysiłków poznawczych podejmowanych przez postaci Nowakowskiego. W prozie poprzedzającej *Raport* bohaterowie opowiadań wiodą życie banalne, nudne, przyziemne, uporządkowane. Tę pozorną harmonię niszczy w sposób nieodwracalny pojawiający się nagle moment narodzin samoświadomości, niejasny bunt wewnętrzny rozpoczynający się od pytań, które trudno sformułować, jeszcze trudniej – rozwiązać. Dotyczą one celu i sensu życia, racji podejmowanych działań: „Co to wszystko znaczy? Po co się żyje? Dlaczego śmierć taka straszna? A może nie... Dlaczego wszyscy się jej boją? – Czy wszystko się rozsypuje, a nic nie zostaje? – pytał byle kogo. – Czy nic nie zostaje gdzieś tam – wyrzucał ręce w górę” (opowiadanie „Przebić ten pęcherz” z tomu

\* MAREK NOWAKOWSKI: *Raport o stanie wojennym*. Zakłady Wydawnicze Versus, Białystok 1990

*Śmierć żołwia*). Nagle zrodzone poczucie osaczenia nakazywało podważyć racjonalność wszystkich dotychczasowych działań i zapytać o ich sens w kontekście śmierci.

Zmiana w tym układzie jest równie fundamentalna, co poprzednia: owo jednostkowe poczucie osaczenia przechodzi ze stanu niejawnego w stan... wojenny: „Ta łapa ze stalowymi pazurami zawisa nad ludźmi. Czuli jej pazury. Orały ciała i dusze”. Dawne pytania dotyczące tajemnicy również znikają, bo i tajemnica zniknęła: „Nastał inny czas. Kontury dobrego i złego, czyli wolnego i zniewolonego, zostały starannie od siebie oddzielone. Już nie przenikają się nawzajem i nie powodują chaosu”. Dawne pytania, choć należały do rzędu najprostszych, były jednak nierozstrzygalne: odpowiedź na nie trzymała w swych rękach śmierć, która mówi przeciw niezrozumiałym językiem ciała. W *Raporcie* zamiast pytań dotyczących tajemnicy egzystencji, pojawiają się pytania etyczne (wyraźnie sygnalizowane tytułem opowiadania „Co mam zrobić?”), i pytania o prawdę historyczną. W przeciwieństwie do dawnych, nierozwiązywalnych, nowe pytania wskazują na źródła, z których zaczerpnąć można odpowiedź: „Wielka jest w nas potrzeba prawdy. Moim skromnym zdaniem prawda kojarzy się od razu z podziemnymi wydawnictwami. Myślę o rzeczach wydawanych bez cenzury”.

Jan Błoński, charakteryzując debiut Nowakowskiego, po-

więcej o widzeniu świata niż o widzialnym świecie. I dlatego najbardziej kłopotliwe pytanie, jakie zadać można autorowi *Raporu* brzmi:

### O czym mówisz?

Przyjrzyjmy się określeniom, jakie stosują bohaterowie opowiadań chcąc dać świadectwo rzeczywistości. Stan wojenny: „okupacja”, „faszyzm”. Aresztowani: „ludzie z łapanki”. Milicja: „faszyści”, „psy wojny”. Komisja weryfikacyjna: „stawaliśmy przed tą inkwizycją”. Działacze „Solidarności”: „Wszyscy ci młodzi pokazani w telewizji wyglądali jak rewolucjoniści z dawnych rycin i dagerotypów. (...) Rewolucjoniści z 1905 roku. Bojowcy z PPS” (...) „Przypominali to wytrącone, wojenne pokolenie, tych chłopców z konspiracji”. Rzeczywistość stanu wojennego: „Co za czasy: Tylko czytać pamiętniki z okresu okupacji”. Władza komunistyczna: „Babilon upada”.

Równie niejasno wygląda rzeczywistość oglądana oczyma zwolenników stanu wojennego: „Drażniła sierżanta Gałązkę obecność ludzi. Zwiadowcy, kurierzy, łącznicy. Tak mu się oni przedstawiali w wyobraźni”; „Imperializm ostatnio wzmógł dywersję przeciw naszemu ustrojowi. Macki swoje zapuszczają wszędzie. Obcy pieniądź ważną w tym odgrywa rolę. (...) Wielka jest we mnie nienawiść do reakcji”.

Obie strony społeczeństwa często odwołują się do metaforyki zoologicznej. I tak: „sowieci jest jak wąż”, dyrektor podsuwający „lojalkę” do podpisania to „szrzur”, człowiek bogacący się w czasie stanu wojennego to „hiena w ludzkim ciele”, Polska po wprowadzeniu stanu wojennego to „pustynia pełna wilków”, a piwnica służąca nielegalnym spotkaniom to „gniazdo szerszeni”.

Okazuje się więc, że w *Raporcie o stanie wojennym* najrzadziej nazywana po imieniu jest właśnie rzeczywistość stanu wojennego. W miejsce imion własnych wchodzi, jak widzieliśmy, metafory historyczne i zoologiczne. Rzuca to przeciw dość szczególne światło na opisywany moment historyczny i na sam utwór.

Całkowitemu podziałowi społeczeństwa odpowiada zupełna rozbieżność języków: obie strony zgrupowały się wokół wartości wyrażanych za pomocą klisz i stereotypów społecznych bądź narodowościowych wzajemnie nieprzekładalnych: jedna strona widzi w stanie wojennym okupację, kolejne zdławione powstanie, druga zaś walkę z imperializmem i kontrrewolucją. Co do książki natomiast, powiemy ostatecznie, że obiektywny jest w niej nie opis świata lecz autor, który powstrzymuje się od komentowania poszczególnych wypowiedzi całkowicie nieobiektywnych. Jeśli intencją Nowakowskiego był raport, to znaczy protokolarny język przylegający do świata, to intencją ta spełniła się w sposób szczególny: autor znalazł język idealnie przylegający do rzeczywistości, ponieważ tą rzeczywistością nie jest świat, lecz świadomość. Książka Nowakowskiego to nie raport o stanie wojennym, lecz RAPORT O STANIE ŚWIADOMOŚCI, i to, dodajmy, raport alarmujący. Prawdziwa katastrofa dotknęła przeciętną polską umysłowość niezdolną już do precyzyjnego nazywania cierpień niewoli. Ta „pustynia myśli” bierze się stąd, że „już płód

w łonie matki jest zatruty. Jej piersi trucizną i nędzą wzbierają. Rodzi się mały niewolnik. Ssie to mleko. Wyrasta duży niewolnik. Piwem się żywi i kartoflaną gorzałką. Człowiek z pustą głową. Żadna tam myśl się nie wylęgnie. Tylko mąt. Mąt jak czad. Oto model człowieka”. Powyższy fragment, silnie zmetaforyzowany, ujawnia ostatni z paradoksów: katastroficzną wymowa *Raporu* staje się zrozumiała dopiero poprzez dziesięć symbolicznych obrazów kończących książkę. I jeśli jeszcze w roku 1983 skłonni byliśmy kwestionować literacką wartość *Raporu*, ze względu na wszystkie jego ograniczenia płynące z nie zmienionej metody pisarskiej, to w następnych latach zakwestionowano również zawartość poznawczą tej książki: dość szybko powstały przeciw inne stereotypy (a tylko one decydują o poczuciu społecznej tożsamości) i znalazło się także wyjście z pustyni. Aby to dostrzec, może należało dochować lojalności naszemu zamówieniu, słowu „raport” użytemu w tytule, i elementarnym nieoczywistościom stanu wojennego, w których tkwimy do dziś.

I może jeszcze jedno. Czy nie zakrawa na ironię fakt, że jedyna tak znana książka, zatytułowana *Raport o stanie wojennym*, nie jest raportem o stanie wojennym, a jedyna książka arcyrzetelnie relacjonująca wprowadzenie stanu wojennego, czyli *Noc generała* Gabriela Meretika, nosi tytuł godny dobrej powieści sensacyjnej?

wspomnieniach. Pamięć kojarzy się z czymś, co człowiek chce zachować, ocalić przed zapomnieniem. Byłem świadkiem historii, wiele rzeczy widziałem, wiele przeżyłem i to domagało się ode mnie utrwalenia. Aliści z drugiej strony jest pisarz uwrażliwiony na dzieło historii od szóstej rano do dwunastej w nocy. Niewielu jest emigrantów, którzy mogą sobie pozwolić na luksus wyprowadzenia się z teraźniejszości. Mimo tego chyba jednak siebie zaliczam do tego pierwszego typu ludzi, którzy widząc jak krucha jest pamięć ludzka, jakie są, mówiąc patetycznie, niebezpieczeństwa powtarzalności losu polskiego, pragną dać świadectwo temu, czego doświadczyli. To jedno z najtragiczniejszych przeżyć, nie tylko moich osobistych, II wojna światowa... ciągle człowiek jest jej zakładnikiem, nie da się z tego wyprowadzić.

Wśród różnych gatunków, które Pan uprawiał, nie wymieniliśmy dziennika. W rozmowie z Bronisławem Mamonem, drukownikiem w „Tygodniku Powszechnym” w 1981 roku, wspominał Pan, że zbierał się już cały koszt zapisków... Kiedy ujrzą one światło dzienne?

– Chyba po śmierci. One są takie otwarcie brutalne, szczere. Niech już wdowa wije się ze wstydu.

Brak nam szczerych dzienników opisujących życie emigracji. – Ktoś powiedział, bodaj Kafka, że dziennik to jest krzyż na grobie nie napisanej powieści. To jest odłożenie czegoś na później, czego się nigdy nie zrealizuje. Tu powstaje też pytanie, czy w tym wszystkim nie trzeba jakiejś wielkiej selekcji.

Właśnie brak selekcji jest urodą dziennika.

– Proszę panów, gdyby pani Maria nie napisała *Nocy i dni* i *Ludzi stamtąd*, to samymi *Dziennikami* by się nie obroniła. Gombrowicz co innego. On mógłby być tylko jako autor *Dziennika*, bo on go świadomie kreował jako rodzaj. Natomiast

## Emigracja jest dobrą przygodą

te moje porachunkowe historie... czy warto się z tym spieszyć? Wiedzą panowie, są jeszcze tak zwane lojalności. Za dużo byłoby uciechy w kręgu *tertius gaudens*, wśród niedobitków przodującego ustroju. Ja od lat stykałem się z Amerykanami... więc te zapiski, mimo że nie noszą charakteru demaskatorskiego, to potem powiedzą: Co za świntuch. Jadł te *bisquity* amerykańskie, a teraz tak się odplacił.

Pewną formą dziennika czy pamiętnika są chyba, czynione na gorąco, zapiski z podróży papieskich?

– Tak, w niektórych momentach wyjazd z Papieżem jest tylko pretekstem. Tam jest więcej o Nowakowskim i o krajach odwiedzanych niż o Wojtyśle.

Ale, jak pisał złośliwy krytyk, „o Wojtyśle też jest”.

– Też jest. Jan Paweł II stale mówi: Nie należy o mnie pisać na kolanach, bo to jest niewygodna pozycja. „Sądzę, że Papieżowi przydałby się w „lochach Watykanu” jęczący Leszek Kołakowski, miałby z kim podyskutować. Bo ledwie otworzy usta, podchodzi jakiś *monsignore* i mówi: *Si, si santissime Padre*. Papież nie ma się z kim spierać.

Czym było dla Pana pięćdziesiąt lat życia na emigracji, pięćdziesiąt lat poza Polską, ale przecież tak blisko niej jednocześnie?

– Emigracja jest dobrą przygodą. Ma swoje minusy, ma swoje plusy. Dopiero za granicą człowiek zdaje sobie sprawę z filozofii rodzimego języka. Goethe mówił, że pisarz ma tylko jedną ojczyznę – tą ojczyzną jest język. Człowiek, pisząc na emigracji po polsku, ciągle się zastanawia, ciągle siebie samego weryfikuje. Inna rzecz, że trzeba sobie utworzyć cały system ochronnych kamizelek, ochronnego alibi, odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego się jest na emigracji? Trzeba sobie uświadomić tę motywację. Inaczej człowiek staje się zawodowym Polonusem, który za chlebem wyszedł i właściwie nie ma żadnej świeckiej religii życia – dojrzałej formy patriotyzmu, która wyznacza sens istnieniu. Jeśli ma się tę motywację, wtedy Polska przestaje być li tylko miejscem na mapie, a staje się sferą przeżyć – „napowietrzną Ojczyzną”. Nie wszyscy emigranci świadomie przeżywają swoją emigranckość, ale na przykład Terlecki, Stempowski, Herling, Giedroyc, Wittlin, Zygmunt Nowakowski... Myśmy, tak troszeczkę w zrozumieli sposób, pamiętali o słowach Mickiewicza, że emigracja jest to wielkie poselstwo wyprawione przez naród przed oblicze Europy. Nieraz to brzmi groteskowo, przynajmniej dla pana Fillera, redaktora „Szpilek”. Myśmy jednak ciągle sądzili, że zobowiązują nas pewne modele dziewiętnastowieczne, cała mitologia Towarzystwa Demokratycznego, polska myśl społeczna i polityczna dziewiętnastego wieku. Ta cała *substantia polona* dziewiętnastego stulecia była dla nas ukrytą skarbnicą – arsenałem do walki z otaczającą nas, niestety nierzadko skrzeczącą, dospoliłością dnia codziennego.

Do niedawna istniejący podział na kraj i emigrację przestaje chyba być tak istotny?

– Zawsze stałem na stanowisku, podobnie jak wielu moich

dokonczenie na s. 6



EDWARD DWURNIK

stawiał pytanie: „Czyżby u kresu (pisarstwa – P.C.) czekało Nowakowskiego uwznioślenie (nawet beznadziejnego) gestu?” (*Zmiana warty*). Można powiedzieć, że historia „przysłużyła się” autorowi *Raporu*: przeniosła na margines życia społecznego całe społeczeństwo i uwzniośliła najbardziej beznadziejne i codzienne gesty (spacer w czasie dziennika TV, wpięcie opornika w kłapę marynarki etc.). Być może dlatego Nowakowski nie zmienił swojej metody pisarskiej: *Raport*, podobnie jak najwcześniejsze jego utwory, jest zbiorem opowiadań, często monologowych, zapisanych dawną konwencją stylistyczną odkształconej nowomowy. Autor przerzucił więc na bohaterów obowiązek odnalezienia słów przylegających do rzeczywistości. A takich przecież słów oczekujemy od raportu, który powinien „dać uczciwe świadectwo widzialnemu światu”, jak to sam pisarz określił kilka lat później (*Karnawał i post*).

Wykorzystanie wielu narratorów, którzy posługują się mową prywatną, sprawia, że język *Raporu*, zrozumiały dla wszystkich, nabiera właściwych sensów dopiero w kontekście wcześniejszego dorobku. Nie oznacza to, że świadectwo dane światu jest w *Raporcie* nieuczciwe. Wręcz przeciwnie. Postaci z tych opowiadań, szarzy obywatele nijakiej rzeczywistości, ułomnością swej wiedzy podobni nam wszystkim, wygłaszają swoje monologu językiem jak najbardziej uczciwym, to znaczy nieklamany i własnym. Oznacza to jednak, że język ten mówi

# Emigracja jest dobrą przygodą

dokończenie ze s. 6

kolegów, że my nie będziemy przykładali ręki do budowy żelaznej kurtyny. Zostawmy to innym, Putramentom, różnym politycznym manipulatorom, którzy tworzyli partyjną czy rządową politykę kulturalną. Przeciwnie, zawsze staliśmy na gruncie jedynej i niepodzielnej kultury polskiej, bez względu na to gdzie powstaje. Ona może powstawać w Pernambuko i w Sanoku, w Starachowicach i nad Tamizą. Dzisiaj sytuacja rzeczywiście się zmieniła, przede wszystkim pod względem politycznym. I rola emigracji również się zmieniła. Jednak jest ona nie mniej, a może bardziej potrzebna, aniżeli była w okresie zimnej wojny. Mając przez pół wieku kontakty ze środowiskami intelektualnymi, zawodowymi, politycznymi na Zachodzie, możemy więcej zrobić *extra muros* niż *intra muros*, więcej konkretnych spraw załatwić będąc tam i współpracując z nowym układem, jaki dzisiaj w Polsce powstaje.

W Pana powieściach powtarza się takie zdanie: „Do własnej Ojczyzny nie jeździ się jako turysta. Albo się w niej żyje i działa albo próbuje się coś dla niej zrobić na emigracji.” Jak dziesiątą przyjeżdża Pan do własnej ojczyzny?

– Ta uwaga jest wyjęta z kontekstu czasu. Nie jest to tylko moje spostrzeżenie, że świadomy swoich zadań emigrant polityczny, w zasadzie, nigdy z Polski nie wyjechał. Jest znane powiedzenie Dantona, że ojczyznę nosi się na sandałach. To jest doświadczenie nie tylko polskie. Tutaj chodziło o to, że w pewnym okresie była próba zjednania sobie środowiska twórczego na emigracji przez zapraszanie do kraju. Tworzono różne organizacje polonijne, wymiany, łączności, żeby tylko potem powiedzieć, że ten i ten jest z nami. Wtedy myśmy mówili: Nie mamy co wracać do Polski, bo myśmy nigdy z niej nie wyjeżdżali. Ja osobiście, pracując w rozgłośni Radia Wolna Europa, wiedziałem nieraz więcej o Polsce niż ludzie, którzy wstawali o szóstej rano, jechali do pracy, wracali śmiertelnie zmęczeni... Emigracja jest bardzo podatna na różnych niewydarzonych szczerolapów, którzy szantażują, a to pielgrzymką do Częstochowy, a to wspólnym sztandarem, a to *ZBoWiD*owskim solidaryzmem od dziesięciu boleści, wspólną macierzą i tak dalej. Wtedy mówiliśmy i nadal tak uważam, że jest coś nietakownego w tym, żeby pojechać do kraju, który odbudował się z ruin, do Warszawy, stanąć na tle pomnika Nike i sfotografować się tak jak japoński turysta. To nie jest ładne. Tak jak błędem jest, jeżeli emigranci zbyt skwapliwie udzielają korepetycji z zewnątrz z wysokości łoża emigracyjnej. Nikt z nas nie wie, przynajmniej ja nie wiem, jak bym się zachował w godzinie pokusy. Nie byłem wystawiony na to niebezpieczeństwo, ale kto wie, może byłbym jednym z tych wielu biegających, którzy chcieli sobie ułożyć egzystencję z władzami. Nie wiadomo. Pamiętam spacer z Tadeuszem Borowskim na przedmieściach Monachium, kiedy on bardzo się zastanawiał czy wracać do Polski i ciągle mówił: Ja tam w Polsce więcej zrobię, tutaj mam w katolickiej gazecie pisać wiersze o Oświęcimiu, to mi się nie podoba. Bardzo to przeżywał, nie mógł się zdecydować. Myśmy się wszyscy zastanawiali, czy nie byłoby moralniej tam być pacjentem w klinice pana Różańskiego i być bitym, aniżeli w tym samym okresie opalać się na wybrzeżach adriatyckich. To są problemy, które już teraz należą w pewnym sensie do historii, ale życie człowieka jest wielowarstwowe i gdzieś tam to wszystko zostało.

Chcielibyśmy Panu bardzo podziękować za rozmowę. Na koniec, jeśli wolno, prosilibyśmy... jest Pan mistrzem anegdoty, więc może właśnie anegdotą zakończymy nasze spotkanie...

– Ponieważ „Tygodnik Literacki” zajmuje się między innymi teatrem, zdradzę wam, jaka była najkrótsza rola w dziejach teatru polskiego. Jest ona związana z Teofilem Trzczańskim, który przed Zygmuntem Nowakowskim był dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Rotwand - Czerwonocienny, bardzo bogaty obywatel miasta królewskiego Krakowa, miał jedynaka, którego koniecznie chciał widzieć wielkim aktorem. Synek się nie nadawał, ale ojciec miał trzy kamienie... i powiedział temu dyrektorowi: Będzie pan przez trzy miesiące na mój koszt biesiadował, jeżeli syn zostanie aktorem. Trzczański, ekumenicznie na dialog otwarty, przyjął tę propozycję mówiąc: Widzę, że pański syn odziedziczył po ojcu talent, ale na razie mogę mu dać tylko małą rolę. Będzie grał herolda, który wpada na scenę i do siedzącego na tronie króla Persów mówi: Królu Dariuszu, nieprzyjaciel wpadł w granice. Na dwa miesiące przed premierą ten młody Rotwand-Czerwonocienny biegał po Plantach i powtarzał: Królu Dariuszu, nieprzyjaciel wpadł w granice, królu Dariuszu, nieprzyjaciel wpadł w granice... Krytycznego dnia zaczyna się premiera, kurtyna idzie w górę... Rotwand jak zobaczył tę czerni widowni, te światła... zapomniał swojej roli. Król Dariusz niespokojnie poruszył się na tronie i mówi: A może nieprzyjaciel wpadł w moje granice? A ten na to: Hm... i uciekł. Taka była najkrótsza rola w dziejach teatru polskiego.

Warszawa, październik 1990

Rozmowę prowadzili:  
Roman Laudański i Paweł Rodak

dokończenie ze s. 1

tycznych zaczęto mówić i pisać, że ten polski romantyzm taki filozoficznie wąty; gdzież mu do ironicznej romantyki niemieckiej! A więc pisarze już wtedy po raz pierwszy nie sprostali postulowanemu powołaniu: nie zostali filozofami. Doctus brzmiało dumniej niż poeta. Kiedy jednak pojawiał się doctus, nie chiano go, jeśli nie miał intelektualnej charyzmy gigantów niemieckiej czy francuskiej myśli; taki los spotkał między innymi Stanisława Brzozowskiego, który nie dość, że nie poznał się na Sienkiewicz, to jeszcze ośmielał się odwozić polską literaturę od światowych wzorców. Także Witkacy jako powieściopisarz – zbliżył się do polskiego dopustu: napisał zle powieści świetnym filozoficznym piórem. Witolda Gombrowicza chwalono nie za *Kosmos*, a za *Dziennik*. Iwaszkiewiczowi nawet wielkie autorytety zarzucały „intelektualną jałowość”. O Parnickim nie mówiono źle, bo nie wypadało. Ale na Buczkowskiego nikt już nie spojrział. Zjawisko to nie zmieniło się także w ostatnich dwu dekadach: wystarczy przyjrzeć się fałszywym hierarchiom wartości użytym wobec prozy, która nie chciała stać się myślą ani polityczną, ani żadną.

Nieźmiennie oczekiwano zatem waloru filozoficznego prozy, jak u Tomasza Manna. Czekano na barwę intelektualną, jak u Sartre’a. Na rozprawienie się z narodową historią, jak u Sołżenicyna. Na szacunek dla problemu społecznego, jak u Wallraffa. Wołano wreszcie o zrozumiałość, czyli język objaśniający, jak u Leszka Kołakowskiego.

Czy to jednak oczekiwania niesłuszne? Ówsem, jak najsluszniejsze. Tyle, że dla stosownych gatunków, a więc dla dyskursu, prozy dydaktycznej, dla literatury faktu, zaś dla prozy powieściowej – na końcu. Nieprzy-

## Prozaiczna głębia

stawalność prozy współczesnej do oczekiwań statystycznie mierzałnej literackiej opinii publicznej wydaje się polegać u nas na użyciu pozagatunkowej skali ocen. Wszyscy znają skalę uniwersalną literatury i kultury, mało kto wydaje się znać skalę prozatorską, powieściową. Skala ocen stosowana dla literatury jako formy narodowego bytu nie ma zastosowania do poszczególnych gatunków i form literackich. A już szczególnie nie ma zastosowania do prozy powieściowej, czyli gatunku – wbrew pozorom – bardzo wąskiego i specyficznego.

Otóż (to nie demagogia!) proza powieściowa musi być banalna jak życie. Jej najlepsi bohaterowie to szaraki, najlepsi narratorzy to przeciętniacy. Rzeczywistość społeczna interesuje ją inaczej niż dziedzinę dziennikarską, w prozatorskiej perspektywie trudniej o puenty. Języki, coraz to nowe, po nowemu użyte, to jej podstawowa pożywka. Mądrość nie oznacza w prozie powieściowej zrozumiałej perswazji.

Tajemnicą natury prozatorskiej jest powierzchnia zjawisk. Należy ją doceniać, jak doceniają ją prozaicy. „Nawet gdy ktoś wierzy, że poznał sedno rzeczy, powinien się strzec przed niedocenianiem powierzchni zjawisk” (Jean Rostand\*). Mądrość prozy nie ma swego kamienia filozoficznego. Kryształ to konsystencja mądrości filozoficznej, traktatowej. Mądrość dostępna wyrazowi prozy powieściowej nie może i nie jest w stanie być kryształem. Bywa natomiast mętem, sygnałem, by odczytać wspaniałe znaczenie na porowatej, zapyziałej powierzchni. Tam kryje się głębia prozy.

Rzecz chyba w tym, że zapomniano, co to jest proza, jaka jest jej komunikacyjna natura i świadomościowe przeznaczenie. Wmówiono prozie natury cudzej i wtórne przeznaczenia, zapoznano naturę i przeznaczenia podstawowe. W ten sposób sprzeciwiono się prozie czystej, pokazującej językowy kształt zjawisk. To tak, jakby od kobiety oczekiwano pięknego stroju a nie ciała.

Uznanie, że literaturę wyczerpuje myśl i warsztat, jest uproszczeniem. Myśl nie stanowi w niej niczego samoistnego. Warsztat zaś to po prostu literatura. Do myśli prowadzi w literaturze droga, którą trzeba umieć przejść. Wtedy odkryje się walory filozoficzne, tajemnice społecznego bytu, ludzkie głębie. Myśl w literaturze to pewien cel na końcu korytarza: idąc, należy czytać napisy na ścianach. Jeśli ktoś tego nie lubi, niech skieruje

się do innych drzwi, do których nie prowadzi cały korytarz znaków, drzwi wychodzących wprost na ulicę. Za nimi odnajdzie krystaliczne sedno rzeczy. Kto zaś nawiązuje kontakt z obrazem literackim, tym napisem na ścianie długiego korytarza, winien traktować swą czytającą drogę do celu jako coś, co o naturze czynności stanowi najgłębiej.

Błąd krytyków może się więc brać z pewnego nieporozumienia. Żądając dzieł treściwych, zdają się zapominać, że są prostsze sposoby dotarcia do nich niż wertowanie prozy powieściowej. Szukając intelektualnego kalibru, omyłkowo wybierają teren poszukiwań. Krytycy ci winni sięgać do samego jądra problemu, a więc jak najdalej od światów fikcyjnych, w których problemu w ogóle nie stawia się na drodze rozumowania. Jeśli interesuje ich dowodzenie prawdy, niech uciekają od powieści, które są w stanie co najwyżej wysłać wiązkę sugestii. Skoro najważniejsza jest dla nich diagnoza rzeczywistości, niechże zostawią w spokoju diagnostę najbardziej zawodnego, jakim jest kreator.

Proza powieściowa nie ma żadnych szans ujmowania sedna rzeczy. Robi to za nią proza mędrców. Wyraz powieściowy nie ma prawa dokonywać samoredukcji do wyrazu retorycznego. Tak samo powieściowe poznanie, o ileż czulszymi niż retoryka narzędziami dysponujące, straciłoby swoje główne właściwości, gdyby miał badać – konkludowało. Pisarz nie nazywa rzeczywistości jak filozof, on ją zaklina. Ale zaklinanie to nie jest cczą zabawą, lecz rzeczą tak samo poważną jak najmądrzejsze eksplikacje. Zaklinanie, sugerowanie, szkicowanie tylko w myśleniu potocznym stanowią czynności niższe. Według kryterium teoriopoznawczego zajmują nawet wyższe piętro niż dziedzina nazywania, dowodzenia, konkludo-

wania; rozstrzyga o tym priorytet dany w literaturze pięknej władzom wewnętrznym potężniejszym niż rozum, pierwszeństwo obrazu przed higieniczną kategorią, prymat tajemnicy nad szaradą, życia przasnego nad modelowym. Efekty prozy powieściowej nie mogą być porównywalne z efektami prozy retorycznej, ani nawet poezji. Proza powieściowa nie dysponuje bowiem żadnym uwodzieleńskim środkiem właściwym tamtym gatunkom (no, i powieściom użytkowym, pisaniem dla zabawy, ku pokrzepieniu czy na zamówienie). Proza, im bardziej rasowa, tym mniejsze ma szanse, aby kokietować wyobraźnię, sycić przeświadczeniem o poznawalności i nazywalności świata, sprostać czytelniczej ambicji „dowiedzenia się”. Każda kokieteria jest grafomanią, sprzyjanie czytelniczym słabościom – trywializacją.

Niczego nie zmienia tu też fakt, że Zachód miał pisarzy godzących te sprzeczności. Dyskutując o literaturze obcej, trzeba by przyjrzeć się każdemu pisarzowi z osobna. Okazałoby się wówczas, że *Czarodziejska góra* to najslabsza powieść Tomasza Manna, a najtęższy jego esej. Wszystko zależy od trzeźwości patrzenia.

Problem zniknie, kiedy da się prozie żyć jej życiem, kiedy przestanie się wmawiać jej błędy niepopelnione, kiedy zaniecha się erudycyjnych postulatów. Proza pozostanie, jak była zawsze, dziedziną elitarną, arcytrudną, niewdzięczną. Nic się tu nie zmieniło z chwilą pojawienia się tak zwanej nowej prozy. Nowa proza była tylko „etapem prawdy” w ewolucji gatunku nieerudycyjnego, nie odpowiadającego za wizję całościowe, za substancje moralne, mijającego się w sposób naturalny z narodowymi imperatywami, nie uznającego bagażu imponderabiliów za swą konstytucję. „Profanacja” podmiotowych instancji prozy, czyli jawne uznanie – zgodnie z tradycją pierwszej światowej powieści nowożytnej – że nie są one domeną wybrańców i pomazańców, było właściwie tylko postawieniem na ostrzu noża sprawy, której dotąd nie rozstrzygano dla świętego spokoju. Nowa proza wzięła baty za prozę jako gatunek. Dramat pisarzy pokolenia Leona Gomolickiego powtarzają dziś autorzy pokolenia Adama Ubertowskiego (Ubertowski mógłby być prawnikiem Gomolickiego). Jest to dramat niezrozumienia, czy raczej dramat odmowy. Rzecz nieznaną w innych dziedzinach artystycznych (któż ośmieliłby się potępić kakofonię czy kubistów?). Rzecz dziwna i groźna – dla kultury i dla gatunku.

Jerzy Łukosz

\* Biolog, zmarł w 1977 roku.

# Czy pisarska porażka?

O *Dzienniku* pisanym nocą  
Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (2)

## Autoportrety

Bez względu na to, czy Grudziński pisze o totalitaryzmach, czy o lewicowych sympatiach we Francji i Włoszech, czy o Solżenicynie, cały czas w trakcie lektury narzuca się czytelnikowi autoportret, w którym dostrzec można co najmniej trzy wizerunki: pisarza walczącego, świadka porażonego tym, co dane jest mu zobaczyć i człowieka wrażliwego na Tajemnicę, na niepojęty wymiar rzeczywistości.

Obraz pisarza walczącego, broniącego z determinacją sprawę uznaną za słuszną dominuje na wielu stronach *Dziennika*. Jego Autor czujnie przysłuchuje się słowom innych, czy nie kryją w sobie pułapki. Z uporem dąży do prawdy, a jego nieustępliwość jest wyrazem tego dążenia, nie zaś celem samym w sobie. Mając świadomość obowiązków spadających na pisarza na obczyźnie, w całej swojej twórczości usiłuje je wypełniać. Zasadniczym tego warunkiem jest odwaga. Herling cytuje w *Dzienniku* zdanie George'a Orwella: „Dobre powieści piszą ludzie, którzy się nie boją”. I dodaje: „Nie boją się patrzeć w otchłań pod naszymi stopami, jak Orwell w 1984”. (24 X 1979)

Herling jest zaciętym wrogiem radosnych iluzji. Mógłby powtórzyć za Albertem Camusem, który tuż po wojnie mówił: „[...] nauczyliśmy się że nie wolno nam przyjąć żadnej optymistycznej koncepcji bytu ludzkiego, żadnej idei szczęśliwego końca. Ale wiedząc że optymizm jest głupotą, wiemy także że pesymizm wobec działania człowieka wśród innych ludzi jest tchórzostwem”. (18 I 1976)

W całej twórczości Herlinga poczawszy od pierwszej książeczki *Żywi i umarli* (Rzym 1945), zbioru szkiców pisanych w większości jeszcze w czasie kampanii włoskiej, można dostrzec dziedzictwo Conrada. We wspomnianym tomiku znalazł się między innymi wyimaginowany dialog z bohaterem *Tajfunu*. Conrad był bardzo ważnym twórcą dla pokolenia dojrzewającego intelektualnie w dwudziestolecie międzywojennym. Znamiennym świadectwem tego wpływu stała się postawa uczestników Powstania Warszawskiego. Tak było również w przypadku Grudzińskiego. W jego determinacji widoczne jest powinowactwo z Conradowskim kapitanem McWhirrem. Wierność do końca! Wierność kilku wartościom elementarnym, którym nie można się sprzeniewierzyć, bez nich bowiem świat przestaje być światem ludzkim.

Pisarstwo Grudzińskiego jest ciągnącą się przez lata dyskusją z nihilizmem. Znamiennym tego przykładem jest *Inny Świat*, ale nie tylko. Wypowiedzi o twórczości Tadeusza Borowskiego są tu bardzo ważne. W 1948 roku, po ukazaniu się tomu *Pożegnanie z Marią* Grudziński od razu dostrzegł jej autora – „drapieżnego noweliste i doskonałego obserwatora”. W recenzji z opowiadań obozowych, dał wyraz swojej postawie będącej przeciwieństwem postawy Borowskiego. Później kilkakrotnie w swoich szkicach i *Dzienniku* powracał do jego twórczości (zob. m.in. 3 II 1976). „Twórczość Borowskiego – wyznał pisarz w 1985 roku – jest pisarstwem człowieka wypalonego, człowieka, który po swoich doświadczeniach, po tym, co widział i przeżył, przestał w cokolwiek wierzyć. Jest to (...) twórczość w dużym stopniu nihilisty. Dla mnie zasadnicza formuła, która zresztą w mojej książce [*Inny*

*Świat* - ZK] jest wyraźnie podana, brzmi: nie wolno mierzyć człowieka według tego, jak zachowuje się w warunkach nieludzkich. Uważam to za upiorny nonsens naszych czasów i odrzucam go, podczas kiedy dla Borowskiego to właśnie była lekcja, czym naprawdę jest człowiek”.

Sygnalizuję tu jeden z zasadniczych problemów w twórczości Grudzińskiego, który zasługuje na uważne opracowanie.

W 1945 roku, w piśmie żołnierzy II Korpusu „Orzeł Biały” Grudziński napisał: „Pisarz odpowiada jako artysta za swoje dzieło wobec porządku panującego w sztuce; jako człowiek

fizycznego bólu i cierpienia bez nadprzyrodzonej aury męczeństwa”. (26 XI 1981) W innym miejscu opisuje Madonnę z kaplicy cmentarnej pod Arezzo: była to „najbardziej ludzka i ziemna Madonna jaką w życiu widziałem: ciężarna chłopka, w rozpiętej na dużym brzuchu sukni, o twarzy w której maluje się wzbieranie bólu”. (20 VI 1971). Herlinga fascynuje cierpienie, w obrazach Antonella uwagę pisarza przykuwa wizja zwykłości Ukrzyżowania, jakby w ten sposób sycylijski mistrz chciał „ukazać skróty powszechnej doli człowieczej”. (26 XI 1981)

Herling-Grudziński z uwagą śledzi stopniowy powrót rodzaju ludzkiego do stanu nowo-



Apostolorum

TADEUSZ BRZÓZOWSKI

natomiast wobec porządku obowiązującego w kręgu ludzkim, z którym czuje się związany”. Ze słowami tymi zapewne pisarz zgodziłby się i dziś.

2.

Autor *Dziennika* to nie tylko emigrant heroldyczny, jak go nieraz nazywano, czy postać rodem z Conrada. To także człowiek bardzo boleśnie odczuwający niedole swojego emigracyjnego losu, pisarz porażony „pustką bólu” i ludzką skończonością. W *Dzienniku* opisy udreżonych bliźnich powracają niemal obsesyjnie, podobnie jak rozważania dotyczące rozmaitych malarskich wersji Ukrzyżowania Chrystusa.

Antonello da Messina należy do ulubionych malarzy Herlinga. W *Dzienniku* pisze o jego wizerunkach Chrystusa „odartego z boskości i wyłącznie ludzkiego”, malarskim „studium

czesnego barbarzyństwa, którego wyznaczniki to przemoc, zniszczenie moralności i pogarda dla człowieka. Terroryzm jest dlań jeszcze jednym potwierdzeniem końca wieku wszelkich ideologii, wynikiem ich rozpadu i gnicia. W którymś miejscu nazywa terrorystów „zropanczonymi, obłąkanymi nekrofilami ideologii” (20 XI 1977). Grudziński, tak sceptyczny wobec wszelkich rozważań o „czynniku diabolicznym”, w zaślepieniu i obłądnie ludzi, szaleństwie naszych czasów dostrzega jednak „cień Szatana”, obecność „Księcia Ciemności”.

Oblicze Meduzy, w które pisarz usiłuje się wpatrzeć, chwilami go obezwładnia. W toku lektury *Dziennika* trudno tego nie zauważyć.

3.

Jednocześnie zaś Herling głosi namiętną pochwałę stworzenia. Kilkakrotnie pisarz przypomina zdanie Alberta Camusa z mło-

dziennej podróży do Italii o krajobrazie i jego niezwykłym darze „działania kojącego” (20 VII 1975). Pisząc o malarstwie Corota zauważa, że pejzaż „ogłądał z (...) miłością i wiarą w jego potajemne życie możliwe do odsłonięcia”, z pragnieniem dotarcia do jego „duszy” (20 VII 1975). Podziwiając dzieła mistrzów z Florencji i „genius loci” miasta pisarz przypuszcza, iż istniał tu „chyba splot życia i wiary tak silny, że sakralność przenikała z natury do dzieła sztuki i na odwrót” (20 X 1977). Utrwalone przez Herlinga pejzaże w opowiadaniach i w *Dzienniku* są skondensowane, zagęszczone, na pograniczu sennych wizji.

„Tamtą stroną” rzeczywistości między snem i jawą wciąż powraca w opisach Wenecji, czy utworów Schulza, Kafki, Kubina. Herlinga pociągają próby „przedarcia się poza surową i dotykającą rzeczywistość”, ku... „Ku czemu?” „Ku innemu wymiarowi?” „Ku Bogu Miłości?” „Ku „strasznej tajemnicy świata”? Próby daremne i wciąż podejmowane przez literaturę na serio, jak w *Miłosnym tajemniczeniu* Oskara Miłosza (31 X 1979).

To co najbardziej niszczące człowieka, cierpienie i świadomość własnej skończoności, Herling stara się widzieć w innej perspektywie. Świadome przeżywanie bólu i przemijania jest najbardziej elementarną religijnością (5 V 1978), jest obok pamięci przeszłości jednym z atrybutów człowieczeństwa. Przekreślenie bólu jako fundamentu ludzkiej świadomości rodzi wulgarność. Człowiek wulgarny zdaniem Herlinga to „człowiek jednowymiarowy; wżuty całkowicie z jakiegokolwiek «problematyczności», odcięty od przeszłości i odpychający przyszłość, niewrażliwy na tajemnicę, obojętny wobec mediacji” (26 XII 1977).

Pisarz wierzy, że w ludziach istnieją jakieś stałe elementy, które inni nazywają chrześcijańskim sumieniem i żaden despotyzm nie jest w stanie ich całkowicie „zetrzeć na miazgę” (2 XII 1979). Pisząc o *Dzienniku* nazwał Herlinga pisarzem religijnym w najszerszym tego słowa znaczeniu: „Z pokorą przystaje przed tym co nienazwane i wymyka się poznaniu. Świadom jest, że człowieczy los ma swój wymiar transcendentny, którego ludzie coraz częściej nie potrafią rozpoznać. Właśnie człowiek stanowi centrum metafizyki Herlinga, cierpiący i tragiczny wobec własnej skończoności, a jednocześnie zdolny do wzniesienia się ponad swą ograniczoność i instynkt samozachowawczy, zanurzony w odwiecznym porządku kultury, szukający Absolutu...”

## Czy pisarska porażka?

Naszkicowane powyżej portrety: pisarza walczącego, człowieka porażonego niedolą kondycji ludzkiej, a jednocześnie wrażliwego na Tajemnicę są tylko propozycją opisu. Wydaje się jednak, że wydobiją kilka charakterystycznych cech osobowości Grudzińskiego, interesującej, bogatej i pełnej sprzeczności.

Jeszcze raz wypada powtórzyć, iż Herling wyznaczał sobie cel nieosiągalny – „miniaturowy i ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza” urasta do wielkich rozmiarów, jest obecny wszędzie, w każdym zapisie, nawet tym odnoszącym się bezpośrednio do zagadnień politycznych. Z tego punktu widzenia *Dziennik pisanym nocą* jest kompozycyjną porażką – nie spełnia bowiem podstawowego założenia, jakie sobie Autor wyznaczył.

Grudziński za Arthurem Koestlerem wyróżnił „dwa główne impulsy, skłaniające ludzi do pisania o własnym życiu: impuls kronikarza i »motywu Ecce Homo«. Oba wypływają z tego samego źródła, które jest źródłem wszelkiej literatury – z potrzeby dzielenia swoich doświadczeń z innymi, by tą jedyną dostępną człowiekowi szczyliną publicznej intymności wydobyć się ze skorupy izolacji własnej osobowości w otaczającym nas świecie. Impuls kronikarza wyraża potrzebę dzielenia z innymi doświadczeń związanych ze światem zewnętrznym, »motywu Ecce Homo« jest sprężyną pchającą nas do odsłaniania przeżyć wewnętrznych.”

Jeśli przyjąć, jak proponuje za Koestlerem Herling, że dobra autobiografia powinna być syntezą obydwu motywów, należy stwierdzić, że jego *Dziennik* jest złą autobiografią. Obecne są w nim przede wszystkim opisy zjawisk i zdarzeń doty-

dokończenie na s. 8

czących świata zewnętrznego, zaniedbana jest sfera życia osobistego. Jednakże w sposób pośredni ów brak równowagi między wspomnianymi impulsami zostaje przywrócony. Osobowość pisarza dominuje na kartach *Dziennika*; o czymkolwiek pisze, wszystko naznaczone jest piętnem indywidualności. Na każdym poziomie tekstu, począwszy od słownictwa, stylu, formuły wypowiedzi, zakresu podejmowanych problemów daje się zauważyć wyrazista obecność autora. Paradoksalnie i jakby wbrew intencjom pisarza. Właśnie ów rozrastający się wielowymiarowy jego obraz, w którym opisane autoportrety zaledwie otwierają listę możliwości, stanowi chwilami zasadniczy temat utworu. Obraz wzbogacany wciąż przez upływający czas o kolejne wizjerunki, w których niczym w serii autoportretów Rembrandta uchwycony został dramat przemijania. Dokładniejsza analiza pozwoliłaby stwierdzić, iż ów portret pisarza nie jest jednolity. Kolejne lata prowadzenia *Dziennika* wnoszą zmianę akcentów, a jednak wśród spraw poruszanych znamieną wydaje się ciągła obecność wymiaru metafizycznego. Nie jest to złudzeniem. Wieloznaczny jest także tytuł omawianego dzieła, prowokujący różne interpretacje. Oprócz odczytywania dosłownego, w którym noc jest porą szczególnie sprzyjającą pisaniu, nasuwa się kilka innych możliwości. To właśnie w nocy zostaje wydany osąd wydarzeniom dnia ujrzanym już z pewnego dystansu. W osądzeniu Herling bywa nieprzejednany, w każdej niemal jego wypowiedzi

## Czy pisarska porażka?

mnożą się zdania wartościujące, trudno byłoby jednak znaleźć opinię pośpiesznie wypowiedzianą, nieprzemyślaną, nawet jeśli jest kontrowersyjna i niekoniecznie należy się z nią zgodzić.

Jak pisał Krzysztof Pomian, w twórczości Grudzińskiego wszystko „jest zakorzenione w doświadczeniu *Innego świata*. (...) To jego obecność określa naszą epokę i kształtuje jej znamienne rysy. To ona sprawia, że »dziennik« Herlinga jest »pisany nocą«.

W opowiadaniu „Gruzy” Grudziński napisał, iż „noc zdaje się potęgować grozę trzęsienia ziemi. (...) jest to groza stawiająca człowieka pytania ostateczne z wyjątkową jaskrawością i mocą”. *Dziennik* jest próbą odpowiedzi na niektóre z nich.

Równie pociągająca jest inna możliwość. Ludzie mimo wiary w swoje możliwości poznania i osvajania świata bardzo często przypominają *Slepców* na obrazie Bruegla. Otacza ich noc, przez którą nie przebijają żadne światła, błądzą w ciemności, a ich ruchy są chaotyczne i żałosne. Ale noc to nie tylko synonim złego czasu przynoszącego człowiekowi zagrożenie. To również pora, kiedy „rzeczywistość” odczuwana jest inaczej, intensywniej. „Elementy »tej i tamtej strony« ulegają stopniowo takiemu wymieszaniu, że zaciera się zupełnie przedział między snionym i realnym, między zamaskowanym i odsłoniętym” (26 VI 1975). Jak w rysunkach Schulza, które Herling nazwie *nocnymi*.

Na tym jednak nie koniec. W *Dzienniku* znajduje się zdanie o płótnach Georges de La Tour. Jego „*Tableaux nocturnes*», obrazy malowane nocą (...) to cud czystości (niekiedy aż abstrakcyjnej czystości) nocnej refleksji o »wszystkich naszych codziennych sprawach« (4 VI 1972). Pomijając wcześniejsze, półzartobliwe, a w rzeczywistości na serio, uwagi o związkach świec czy lamp naftowych z zagadkowym wymiarem człowieka, przytoczony cytat można chyba odnieść do samego Herlinga. Że nie jest to twierdzenie gołosłowne, wystarczy przypomnieć dwa fragmenty z *Dziennika*. Pierwszy dotyczy małej Ester, której „milczenie było znakiem religijnego zakochania się w świecie” (24 XII 1972). Drugi, to krótki opis grobowca Marii Węgierskiej. W jej twarzy Grudzińskiego porusza przejmująco uchwycony przez artystę sekret Snu i Śmierci (2 III 1971). W obydwu zapisach dar uwagi autora graniczy z kontemplacją. (Równie pociągająca możliwością interpretacji jest *noc mistyczna*, ale wymagałoby to zupełnie odrębnych rozważań).

Tych kilka naszkicowanych propozycji uświadomienia swoistości *Dziennika pisanego nocą*, w którego migotliwym tytule zbiegają się wszystkie istotne wątki podejmowane w *Dzienniku* – polityczny, moralny, odnoszący się do ludzkiej kondycji, pogranicza snu i jawy, a wreszcie metafizyczny.

Zamysł kompozycyjny Herlingowi nie powiódł się. Na szczęście jego ideał dziennika okazał się „niedościgniony”. Dzięki tej mniej lub bardziej zamierzonej „niekonsekwencji” powstał i wciąż narasta utwór jedyny w swoim rodzaju, jeden z najważniejszych we współczesnej polskiej prozie.

Zdzisław Kudelski

## sztuka

Piszę te słowa w połowie roku 1990, gdy nie istnieje już azył kościelny, chroniący znaczną część kultury niezależnej w Polsce.\* Większość twórców z ulgą myśli o tym, że nie ma już potrzeby korzystania z niego. Z kolei dostojnicy kurialni i duszpasterze wielu parafii oddychają zapewne swobodniej na myśl, że – cenna być może, ale i męcząca – intensywna obecność ludzi nauki i sztuki w świątyniach należy do przeszłości, że odpływają oni już w swoje świeckie strony i ograniczą odtąd swą aktywność w kościołach do spotkań w „duszpasterstwach środowisk twórczych”, udziału w „dniach kultury chrześcijańskiej” i innych okazji specjalnych, w których uczestnictwo fachowców od myślenia i wyobraźni będzie można uznać za uzasadnione.

Te myśli i odczucia – w których niemało kryje się obustronnych żalów, uraz i sądów krytycznych – jeżeli są głoszone, to tylko półgębkiem. Obie strony bowiem wydają się zadowolone z rozstania. Po pierwsze, dlatego, że nareszcie mogą bezboleśnie oddalić się od siebie (bezboleśnie, bo ani gospodarze nie muszą wypraszać gości jako uciążliwych, ani goście nie muszą wychodzić manifestacyjnie, by wyrazić swe rozczarowanie gospodarzom). Po wtóre, dlatego, że choć sojusz nieraz doskwierał sojusznikom, pozostawił im jednak przekonanie, że razem w tych wyjątkowych latach udało im się uczynić coś dobrego: dla ochrony praw ludzkich, dla kraju i Kościoła, no i dla kultury. Prawdopodobnie analiza i bilansowanie zysków i strat, omawianego tutaj sojuszu, mogą okazać się pouczające dla niejednego środowiska i rocznika komentatorów oraz badaczy kultury naszego kontynentu. Myślę bowiem, że jest to jedno z takich doświadczeń lokalnych, które w jakimś momencie okaże się ważne dla budowy „wspólnego europejskiego domu”, a także dla głębokich (a pewnie i dramatycznych) przemian całego chrześcijaństwa, zwłaszcza zaś Kościoła katolickiego.

Mając w polu widzenia cały rozległy zakres kościelnych przygód polskiej kultury lat osiemdziesiątych naszego wieku ograniczę się w mej wypowiedzi do wniosków, które wiążą się z przedstawionymi w tej książce poglądami i z opisanymi w niej doświadczeniem.

Na wstępie słówko o finansach: nasze przedsięwzięcia realizowane były najpierw głównie dzięki darmowej pracy i ofiarności materialnej osób prywatnych z kraju i z zagranicy – raz jeden otrzymaliśmy wsparcie z funduszy Episkopatu – później większość kosztów pokrywał Komitet Kultury Niezależnej. Natomiast gospodarze kościołów udostępnieli nam pomieszczenia, opłacali światło, czasem żywili naszych pracowników i uczestników spotkań, nieraz udzielali cennej technicznej pomocy. Zasadniczo jednak na koszt parafii wykonywane były tylko nieliczne aranżacje wewnątrz służące liturgii świątecznej lub innym uroczystościom kościelnym. Występowaliśmy więc zwykle w roli gości, częściowo tylko wspomaganym materialnie przez proboszczów, rzadko zaś w roli jego „zleceniobiorców”. W obu tych sytuacjach trzeba było improwizacją nadrobić brak wyszkolonego personelu, sprzętu, transportu i innych rzeczy potrzebnych do robienia wystaw. Ale za to towarzyszyła nam ogromna satysfakcja z pracy wolnej od biurokratycznych rytuałów administracyjnych i finansowych realnego socjalizmu.

Po dziesięcioleciach praktyki zawodowej w tym systemie, którego dokuczliwość wzmógł jeszcze stan wojenny, odczuwało się też bardzo przyjemnie nieobecność cenzury. Zarówno państwowej, która nie miała tu dostępu, jak kościelnej, która przy realizacji naszych przedsięwzięć nigdy nie dała znać o sobie. Ale rzeczą najcenniejszą dla nas i dla wielu bliskich nam twórców była możliwość związania naszych myśli i wyobraźni z budowlą sakralną. Z jej formą i przestrzenią nasyconą duchem modlitwy, z żyjącymi tu energiami szepotu i śpiewu, światła i milczenia. I wreszcie z samą liturgią, z którą staraliśmy się łączyć sens naszej pracy.

Kontakty nasze z klerem katolickim w sferze praktycznej ułożyły się pozytywnie. Biskupi odnosili się do nas i do naszych projektów życzliwie, choć z ostrożnością. Współpraca z proboszczami – z chwilą gdy przyjęli nasze propozycje – układała się zgodnie. Księża śledzili

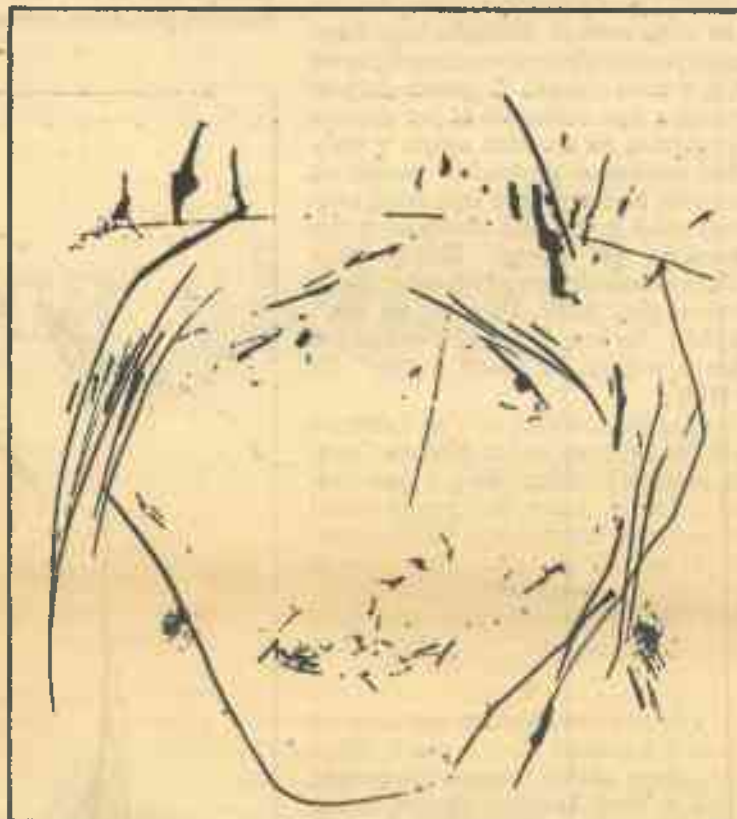
## Ankieta: Co się stało w sztuce lat osiemdziesiątych?

z uwagą postęp naszych prac, lecz nie wtrącali się do niczego, a my dbaliśmy o to, by natura i tradycja miejsca zostały uszanowane. Również w kwestiach organizacyjno-technicznych współdziałania obu stron były rzeczowe. Jedynie pod koniec dłuższej trwających przedsięwzięć niektórzy duchowni gospodarze stawali się jakby mniej

Janusz Bogucki

## Posłowie

odporni i z trudem już znosili naszą obecność. Zauważyliśmy, że towarzyszący naszym inicjatywom ruch ludzi i zdarzeń bywał dla personelu parafialnego najpierw atrakcją wśród rutynowych zajęć, później zaś utrapieniem zakłócającym ustaloną hierarchię i porządek rze-



Regina Apostolorum

TADEUSZ BRZDOWSKI

czy. Na kontakty z klerem parafialnym, któremu sprawialiśmy najwięcej kłopotów, dodatkowo wpływała stała współpraca wiążąca nas z intelektualistami w habitach i sutannach. Nie mieli oni wpływu na to, co nam się zdarzy w kościelnym gospodarstwie, ale chętnym i bezinteresownym uczestnictwem w sympozjach, dyskusjach czy spotkaniach ekumenicznych pomagali nam skuteczniej związać nasze poczynania z życiem świątyni.

W sumie więc roboczy bilans naszego współżycia z duchowieństwem wypadł dodatnio. A bilans duchowy?

Nielatwo dziś na to odpowiedzieć, bo bywa przecież, że głębsze skutki takich spotkań długo dojrzewają w ukryciu, a gdy się ujawnią – nie są wcale podobne do tego czego oczekiwali uczestnicy spotkania. Ale jedną rzecz da się stwierdzić: wielu twórców garnęło się w latach osiemdziesiątych do kościołów nie tylko ze względów moralnych czy politycznych, ale również w przeczuciu, że twórczość powracając do źródeł wiary doświadczy wewnętrznego oświecenia, że odmłodzona towarzyszyć będzie powstawaniu nowych wspólnot życia duchowego. Również i mnie bliskie były takie myśli, pokrewne moim pisanym prognozom i próbom działania. Ale to się na razie nie sprawdziło. W odczuciu niektórych twórców nie sprawdziło się głównie dlatego, że wśród ludzi Kościoła zabrakło osób mogących wyjść naprzeciw wspomnianym tu intuicjom i oczekiwaniom. Biskupi rozmawiali z artystami przychylnie i roztropnie, kler parafialny gościł ich i zapewniał godziwe warunki do działania w kościołach, księża – intelektualni i odpowiedzialni – organizatorzy życia religijnego – podejmowali w najlepszej wierze i wedle najlepszych swych umiejętności fachowców od robienia kultury.



Tym który samą swą obecnością nadawał związkom religii z kulturą wielki wymiar, który ożywił naszą ufność i nadzieję – był papież. Ale w samej historii omawianych kontaktów zabrakło chyba osób takich jak ksiądz Władysław Kornilowicz, który w czasach międzywojennych potrafił wyczuć rosnącą wśród ówczesnych elit inteligenckich potrzebę nawrócenia, połączonego z głębokim życiem umysłowo-religijnym. Nie był on ani kościelnym politykiem, ani społecznikiem, ani administratorem, czy budowniczym. Jako spowiednik i człowiek obdarzony apostołską intuicją wyzwał i łączył ze sobą twórcze energie jednostek i środowisk, kojarząc je z najcenniejszymi prądami myśli i duchowości chrześcijańskiej. Był równocześnie powiernikiem jednostek szukających drogi i kimś, kto tę drogę wśród ruchów kultury naszego wieku odnajdywał i współtworzył. Był jednym z tych, co skupiali i utrwalali w Polsce tradycję katolicyzmu światłego, który jest przeciwieństwem nietolerancji i wyznaniowego nacjonalizmu.

Choć więc „przykościelne” społeczności inteligenckie lat osiemdziesiątych spotkały się z pomocnym współdziałaniem wielu mądrych duszpasterzy, nie ujawnił się wśród nich jak dotąd nikt pokrewny duchem księdza Kornilowiczowi, ani Adamowi Chmielowskiemu, ani Honoratowi Koźmińskiemu, ani tym bardziej Franciszkowi z Asyżu. Myślałem o takich ludziach, ponieważ to oni osiągnęli świętość, czyli tracąc duszę swoją dla Boga stają się wolni od próżności i pożądań tego świata. Nie podlegają jego władzy. Dlatego niemożliwe staje się dla nich możliwe, podzielone – przez nich powraca do całości, świętość sztuki i świętość modlitwy odnajdują swoją wspólną głębię. To dla nich przekraczanie wszelkich ograniczeń rozwoju duchowego wiąże się paradoksalnie z zawierzeniem ortodoksji, a wierność własnemu powołaniu spełnia się przez uczestnictwo w mądrości zbiorowej.

Wyrażając tu, może naiwnie, potrzebę spotkania się ze świętością w obliczu duchowych przemian sztuki naszego stulecia, nie przestaję wierzyć w możliwość takiego spotkania, choć jest to pewnie możliwość ograniczona. Bo przecież nie od samych talentów, dojrzałości i woli człowieka ona zależy ale i od tego, co może być mu dane albo odjęte. Możliwość ta jest również dlatego ograniczona, że zależy od działania w jednej osobie dwóch rzadkich i wzajemnie dopełniających się darów: daru nawracania ludzi o rozwiniętych dyspozycjach twórczych i daru rozpoznawania ruchu energii, pobudzających dzieje i przenikających wszystkie warstwy i węzły życia zbiorowego. Jest to tak, jakby się czuwało nad lotem szybowca lub balonu, dysponując wiedzą o zmieniających się prądach powietrznych i innych zjawiskach atmosfery, od których zależy żegluga w przestrzeni.

Gdy mowa o świętości i to o świętości związanej ze szczególnym powołaniem i darem, nie ma też powodu szukać jej wyłącznie pośród księży. Duch bowiem, zwany też Ożywicielem „technie kędy chce”. I ożywia swymi mocami nie tylko tych, którzy o nie proszą, ale i tych, którzy nie spodziewali się niczego, ale zostali wybrani. Spośród wymienionych tu dla przykładu niezwykłych ludzi dwaj zwracają uwagę podobieństwem niektórych cech. Obaj mieli skłonność do przygód i do sztuki. Obaj we wczesnej młodości wyruszyli na wojny urzeczzeni ich szlachetnością i obaj powrócili bez zwycięstw, utraciwszy w dodatku zdrowie. Udziałem obu były kryzysy i niepokoje psychiczne, zanim każdemu z nich nie została odsłonięta jego droga, na którą wstępując obaj porzucają dotychczasowy sposób życia. Żaden z nich nie został kapłanem, choć obaj założyli wspólnoty duchowe, które stopniowo uzyskały aprobatę hierarchii kościelnej. Mowa jest tu o Franciszku z Asyżu i o Adamie Chmielowskim, który stał się Bratem Albertem. Może czasem trzeba tak jak oni: przejść wraz z tym wszystkim, co nam ciąży, co tu wydaje się nierozwiązywalne, wprost ze stanu świeckiego w doślawne praktykowanie Ewangelii.

Nie wiem czy perspektywa świętości przydana będzie kiedykolwiek omawianym tu próbom działania, a jeśli tak, to czy za sprawą kogoś takiego jak ojciec Kornilowicz, zatem kogoś o duszy apostołskiej i otwartej na losy sztuki, czy za sprawą ludzi podobnych do Franciszka z Asyżu albo do Brata Alberta, czy może jeszcze innym sposobem. Ośmielam się mimo braku kompetencji mówić o tej perspektywie, gdyż wiem że bez niej wszystkie owe próby, choć zorientowane w stronę sacrum, pozostaną tylko próbami artystycznymi, jakimś niedokończonym tropem w dziejach kultury niezależnej u schyłku PRL. Jest to zaś trop, który ani się w klimacie lat osiemdziesiątych nie zaczął, ani się wraz z nim nie kończy.

\* Tekst jest fragmentem zakończenia książki, w której autor opisuje inicjowane przez siebie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych spotkania i przedsięwzięcia z pogranicza sztuki i religii. Książka pod tytułem *Od rozmów ekumenicznych do Labiryntu* ukazuje się nakładem Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

## polemiki

W pierwszym numerze „Tygodnika Literackiego” (17 czerwca 1990) znalazło się pięć wierszy Marcina Świetlickiego i trzy poświęcone tym utworom wypowiedzi krytyków. Osiągnięcie wyniku remisowego nie jest jednak zamierzeniem autora niniejszego tekstu.

„Jest czerwiec” –

– stwierdza Marcin Świetlicki.

„Jest czerwiec: to mnie, niech pan wybacz, wcale nie porusza” odpowiada Jarosław Marek Rymkiewicz. Wybaczmy, za Świetlickiego, i – to jedyne, co za niego zrobimy.

Jest czerwiec. Dalej – nie się nie zgadza, burzy nie było od lat ale i tak czuję sympatię do Świetlickiego, który już dwa lata temu był w stanie prorokować czerwiec. Tymczasem Rymkiewicz przekonuje Świetlickiego, że żyje on (Świetlicki) tu i teraz, w tym, nie w innym kraju, w tym, nie w innym mieście.

Mówi też, że Świetlicki nie wie jeszcze (podkreślenie moje) z czego robić poezję. Pisanie wierszy jest więc wedle krytyka jeszcze jedną profesją. Do perfekcji prawdziwej dojść można, sugeruje Rymkiewicz, nie tylko poprzez mozołne (czy „natchnione”) doskonalenie formy, ale i poprzez kształtowanie materii swego wewnętrznego świata tak, by kwiaty, które się

To konstatacja. Ale jej gotowość do rozmowy (a może zgoda na spokojne zajęcie miejsca wobec innych konstatacji) przewyższa tę, o której krzyczy zdobiony znakami zapytania tekst Rymkiewicza. Może to sprawa smaku, ale nie lubię krzyku w rozmowie. Rymkiewicz pozostawia nas w poczuciu pokory opisałem już pokrótce niezwykle walory poznawcze jego artykułu. Ujawnia on też niezmierną wrażliwość na... wymogi *savoir-vivre'u* – retoryczne ukłony nie zmieniają przecież istoty zarzutów J.M.R. skierowanych przeciw dziwnie ahistorycznej, nieodpowiedzialnej poezji Świetlickiego.

Piętro niżej Marian Stala bezwiednie solidaryzując się z przedmówcą, oznajmia:

„Nie sądzę, by można było całkowicie oddzielić poezję od świata idei i wartości, osadzonych w obiektywnym bycie” – dla Stali nieufność Świetlickiego wobec „absolutnych wartości” (używam tego określenia wyłącznie jako cytatu) musi prowadzić do ujęcia jego poezji w kategoriach „rekonstrukcji prywatnego mitu”, o którego ważności trzeba dopiero przekonywać. „Jednostkowe doświadczenie” powtarza zawsze „historię, która zaczęła się od Adama, Ewy i węży”: W *theatrum mundi* zmienia się zaledwie dekoracja, może nastrój, ale i to niezależnie od „mojej głowy w moich rękach” (Świetlicki). Stałą drażnią przeczucia poety: dlaczego właściwie wędrówka „od litery do Boga” miałaby się okazać; jak u Świetlickiego, „upiornie długa i prawie niemożliwa”? Wszak nauczyliśmy się już Niewiadomego – choćby od Rymkiewicza!

Krytyk usiłuje wciągnąć nas w swoją *wizję*, którą chce sprzedawać jako *opis*. Cenię wizjonerów; gdy jednak w końcu pada:

## Z czego robić poezję

w nim pojawiają były piękne i nietrujące. A najlepiej – lecznicze.

Toteż niedaleko zajedzie twórca gardzący historią. Szczególnie taki, któremu, jak Świetlickiemu właśnie, obserwowane fakty historyczne nie tylko nie układają się w „niezłomny łańcuch”, ale i nie współtworzą tradycji. Nie wyjaśniają teraźniejszości, nie decydują o sytuacji egzystencjalnej poety.

Następnie – poznajemy, dzięki J.M.R. największego polskiego malarza naszej epoki. Dobrze, powiem wam: jest nim Artur Nacht-Samborski. Nie ulega to wątpliwości, a kto sądzi inaczej – błądzi (poezja jest miłością – czyżby u Rymkiewicza była ona ślepa?). Rymkiewicz donosi, że od czasów Boznańskiej (lata dwudzieste, lata trzydzieste) nikt nie kontaktował się z istotą rzeczy tak, jak Samborski.

Nasi ludzie przechwycili należący do Rymkiewicza notes. Prawda przerosła najstraszliwsze domysły. Pod literą „I” obok Ibsena i Ingardena, czytamy:

„Ist. Rzeczy 19-26-05 (przed południem)”.

Pozostaje reszka nadziei. *Popołudniowa* tajemnica bytu pozostaje na szczęście sobą i to jedyne, co w opisowy sposób da się o niej powiedzieć. Tajemnica jest tajemnicą. Świetlicki dodaje jeszcze:

[...] Jest czerwiec. Wyraźnie.

Tuż po południu była burza. Zmierch zapada najpierw na idealnie kwadratowych skwerach.



JERZY TCHÓRZEWSKI

„Negatywna strona poglądów Świetlickiego [...] jest mi w dużej mierze obca”, zastanawiam się, jak Stala połączy uważny namysł pierwszych sześciu akapitów ze swoim światopoglądem, który eksploduje w siódmym, pozostawiając iskry etcaeterów – zarzewia potencjalnego sporu Stali ze wszystkim, co Świetlicki chce wypowiedzieć. A także z tym, jak Świetlicki wypowiada. Zarzut „łatwego” – przedmiotowego traktowania „idei i absolutnych wartości”, ostrzeżenie przed „patosem, sentymentalizmem, tanią bebeczowatością, rozgadaniem”.

Czyżby ostał nam się jeno Miłosz? – obłaskawienie Absolutu, zakorzenie w Wartościach Etycznych Chrześcijaństwa i Kulturze Europy, czyli, jak mówi Świetlicki „... Ukraina, Litwa / Tomasz Mann, Biblia i konieczność / w jidysz...” – którego to Miłosza Stala, jak na ironię (oczywiście w kontekście swoich u-staleń), przywołuje pisząc o trudnej do uniwersalizacji „ważności jednostkowych doznań i emocji”.

Miłosz dąży raczej do uniwersalności, jego poezja zamienia się w traktat metafizyczny, spekulację – zapominając przy tym o byciu (myślę tu o „byciu” i „metafizyce” w sensie heideggerowskim).

Powróćmy do pytania: jak utrzymać światopogląd nie zaprzeczając Tajemnicy?

Stala: „wspomniane wyżej negatywne poglądy nie decydują o kształcie i wartości wierszy Świetlickiego”.

O wartości decyduje bowiem Krytyk, dla którego poezja nie przekracza tego, co wypowiadalne, lecz wypełnia czasami wąską, czasami ogromną, ale zawsze pomierzoną strefę usankcjonowanej tajemnicy. Rymkiewicz i Stala mówią ze zrozumiałą nostalgią o tej strefie. Jest to smutek kogoś, kto zawsze musi wiedzieć, dzielić, stanowić prawo.

Obsługiwana przez nich maszyna wyposażona jest także w dźwignię z napisem „metafizyka”. Zagląjąc do instrukcji Krytycy używają dźwigni z niezwykłym upodobaniem. Posiedli bowiem technę.

Poezja Świetlickiego nie jest przedmiotem moich refleksji; w „Dziesiątej elegii” Rainer Maria Rilke mówi:

„...On wchodzi samotnie na góry prastarego cierpienia  
I jego krok nie oddzwoni ni razu z głuchego losu...”

a ja zastanawiam się, czy Świetlickiemu odpowiada krajobraz prawdziwie górski.

„Teraz” jako magma równorzędnych-dla-mnie obrazów i doznań, otwarcie oczu na chaos i ruch, odrzucenie Praw... W tej magmie stanowisko „Ja” (jako determinanta) potwierdzone perspektywą, wynalazkiem europejskiego Renesansu, pozwalającym na uprzedmiotowienie świata w imię emancypacji podmiotu. Emancypacja ta przerodziła się dziś w dyktaturę „ego cogito”. Po odrzuceniu Boga, Historii, Sztuki, Technologii, w czasie „ucieczki bogów”, „kryzysu kultury”, „gonitwy izmów”, całkowicie suwerenny, jak nigdy znękany własnym poznawczym ograniczeniem podmiot ma wreszcie szansę zwrócić się przeciw sobie: Nie opierał się, nie unosił z prądem. Nie wybierał, nie być wybieranym. Nie szukać porozumienia.

Poezja. Przenikanie – wylanianie się rzeczy. Świat? Poeta. Miejsce (w świecie), w którym zachodzi wypowiadanie. Pęknięcie, przez które wycieka świat, powoli i nieodwołalnie zmieniając się w Słowo, wracając może do początku.

Adam Szymczyk

TYGODNIK  
LITERACKI

## Drogi Czesławie,

jednak widzę, że tym razem muszę się poddać ściślejszej dyscyplinie i mojej odpowiedzi wymierzyć węższy zakres, niż to uczyniłem poprzednim razem. Sam mi zresztą w tym dopomagasz, rozpatrując szczegółowo sens wątpliwości przede mną wysuniętych, aby przebiegłszy je jedną po drugiej nowe z kolei wątpliwości postawić. Okazuje się, że pytania rozczepiają się i mnożą, i poruszone przez nas zagadnienie normy etycznej w człowieku posiada wiele warstw okalających jądro sprawy, ów „kamień probierczy”, który odnaleziony i przyjęty miałby związać istoty ludzkie prawem niezmiennym. Pozwól, że nie spuszczać z oczu tego zagadnienia, dojdę do niego drogą nieco okrężną. Zgadza się z Tobą, gdy mówisz w zakończeniu, iż chcesz osądzić „miarą inną niż miara patriotycznych uniesień”. Nie dlatego, abym nie doceniał wartości wynikających z tradycji i wspólnoty narodowej. Przeciwnie, więź narodowa wydaje mi się i głębszą i istotniejszą od wspólnoty klasowej, a jej wartość etyczna, społeczna i kulturalna jest moim zdaniem nadrzędna w stosunku do hasła wyznawców religii proletariatu czy religii ludu, gdy się określa tym słowem jedną warstwę społeczną. Wiemy przecież z doświadczenia, jak rzeczywistość poczyna się zaciemniać złowrogo, gdy pojęcie narodu staje się ostatecznym sprawdzianem wartości, najwyższą instancją celów i środków działania. Kto wie, czy dzisiaj, gdy blisko 150 lat dzieli nas od „Przemówień do narodu niemieckiego” filozofa z Jeny, nie byłby czas właściwy na napisanie nowej pochwały nacjonalizmu (jeszcze jedno dobre słowo przesiąknięte odorem krwi i nienawiści) pochwałą, której apologeta umiałby się zatrzymać na właściwej granicy. Spośród wielu naszych koncepcji historiozoficznych XIX-ego stulecia aż po Norwida i Szczepanowskiego dałoby się ocalić wiele, wiele myśli, które wskrzeszone dzisiaj i nowym słowem wyrażone brzmiałyby w obecnym zgiełku barbarzyństwa, jak głos prawdziwego człowieczeństwa. Zdaje się, że wśród niewielu narodów zmanifestowało się z taką siłą, jak w naszym, przekonanie, że tylko prawda nadrzędna, niezmienna i uniwersalna używa narodowi istotnych sankcji etycznych. Można na to odpowiedzieć, że narody niosące w sobie tę świadomość również prowadziły wojny i uprawomocniały, przynajmniej w praktyce, gwałt, okrucieństwo i nienawiść. Zapewne. Lecz Francja Świętego Ludwika czy Joanny D'Arc, to jednak co innego, niż ta sama Francja Napoleona czy Niemcy nazistowskie. Różnica ta ukaże się każdemu, komu niedostatecznym się wyda spojrzenie w historię jako na związek pewnych faktów. Co do mnie miałbym daleko idące zastrzeżenia gdyby ktokolwiek obserwując np. obecnie pogromy Żydów, zechciał szukać dla nich precedensu w historii i znalazłszy go w czasach średniowiecznych choćby, położył pomiędzy tymi zjawiskami znak równania. Znane powiedzenie Lessingowskiego mędrca, że „wszystko to już było” nie jest tak bynajmniej oczywiste. I stopy z płonącymi czarownicami i heretykami a lochy GPU czy Gestapo, to duża różnica. Nie budzi we mnie entuzjazmu kongregacja św. Inkwizycji, lecz jej sędziów nie postawiłbym w jednym rzędzie z sędziami wydającymi swoje orzeczenia w cieniu swastyki. Czymś zupełnie innym wydaje mi się również palenie na stosie książek napiętnowanych przez *Index librorum prohibitorum* od podobnego ich losu na placu przed Operą berlińską. Sofistyka! – powie na to ktoś. Nie można nie doceniać faktów. Mają one swoją wymowę i cierpienia albigensów wyrzynanych pod pięknym niebem Prowansji – liczą się tak samo, jak cierpienia mordowanych przez gestapowców Żydów. Tortury Inkwizycji niosły

męczarnie nie inne od tych, których doświadczali uczeni krakowscy w obozie w Oranienburgu. A w imię czego się męczy i torturuje, to sprawa drugorzędna, pozwalająca co najwyżej w bardzo podejrzanym świetle postawić ideę, która w zakresie działania podobne metody nie tylko stosuje, lecz szuka dla nich sankcji i usprawiedliwień. Konsekwentny humanista nie może zająć stanowiska innego. Lecz czy nie nurtowały Cię nigdy podejrzenia, gorzkie, na pewno gorzkie, że ów konsekwentny, bezkompromisowy humanitaryzm rozmija się w tragiczny sposób z prawdą o życiu i z prawdą o człowieku, że apeluje do człowieka, którego nigdy nie było i nie ma, a którego, pozwólmy sobie na prorocstwo, nigdy nie będzie. Mogę w sobie wykrzesać przebliski optymizmu, gdy myślę o człowieku i jego losie, lecz nie znajduję tego nikłego blasku patrząc na historię. Posługując się katolickim pojęciem Łaski zaryzykowałbym przypuszczenie, że jeśli osobowość człowieka może się zawsze znaleźć w zasięgu tej Łaski, postrzępiony nurt historii toczy się od niej bardzo daleko. Nie wierzę w przyrodzoną dobroć człowieka, ani w możliwość doskonalenia się ludzkiego plemienia. Nie odczuwam większych złudzeń, gdy słyszę głosy entuzjastycznie się rozwijającym i postępującym cywilizacji. Daleko bliższe jest mi przeświadczenie, że człowiek zawsze będzie zlepkiem dobra i zła, i po kres swego istnienia będzie kochać i nienawidzić, rodzić i zabijać, budować i niszczyć. We wreszcie żaden ustroj społeczny nie usunie krzywdy, niesprawiedliwości i gwałtu i nigdy nie zbraknie nikczemnych, jak nie zbraknie świętych i bohaterów. Owszem, dostrzegam różnicę pomiędzy Hotentotem z głębi Afryki a synem tzw. dobrej Europy. Zaznaczyłem ją zresztą wyraźnie, zaprzeczając prawu zrównania gestapowca z sędzią Inkwizycji. I jestem pewien, że o żadnym z współczesnych wodzów nie mógłby poeta powiedzieć: „Wojnę pobożną śpiewam i hetmana, który święty grób pański wyswobodził”. Doceniam wagę obiektywnych faktów historycznych i nie co innego, jak ich wymowa, każe mi na dzieje ludzkie patrzeć pesymistycznie. Zdaje sobie jednak sprawę, że w ciągu wieków nieustannym zmianom podlegały motywy i racje zawsze tego samego ludzkiego działania. Twierdząc, że człowiek zawsze był gotów zabijać i nienawidzić, wiem również, że czynił to z coraz to innych przyczyn. Raz w hierarchii pojęć moralnych wznosiły się te racje wyżej, bardzo wysoko, kiedy indziej spadały, jak obecnie, na samo dno. Krzywa tych wahań, jak krzywa temperatury chorego, wykazuje ciągłą ruchliwość i żaden umysł ludzki nie może przewidzieć jej losów przyszłych. Można tylko stwierdzić istnienie tej krzywej i nic więcej. (...) Pytasz: „czy bez oparcia religijnego i metafizycznego słowo »człowiek« nie jest słowem zbyt wieloznacznym. Czy z chwilą gdy odbierze mu się takie znamiona jak dusza nieśmiertelna i odkupienie przez Chrystusa, nie rozpada się natychmiast na mnóstwo odmian, z których jedne godne są opieki i hodowli, a inne doszczętnego wytopienia.” Zdaje się, że dotarliśmy do ostatniej warstwy etycznego zagadnienia i od odpowiedzi i wynikających z niej konsekwencji zależy, czy „kamień probierczy” ukaże swój kształt, czy też się cofniemy śladami dotychczasowych rozważań. Tu jednak muszę wrócić do początku Twego listu. Można się zgodzić, że „wątpliwość jest rzeczą szlachetną”, choć wolałbym temu twierdzeniu ująć nieco pewności, a dodać nieco warunkowości. Bardziej byłbym przekonany, gdybym przeczytał, że „wątpliwość bywa rzeczą szlachetną”. Wątpliwość *ad infinitum*, względnie stałość postawy, którą charakteryzuje jednocześnie splątanie wątpliwości i wiedzy, nie wydają mi się szlachetne na tyle, abym pragnął jednej z nich na swój użytek. Bo zważ tylko: gdy odpowiem, że bez oparcia religij-

nego i metafizycznego człowiek jest rzeczywiście słowem wieloznacznym, gdy zatem przyjmuję prawo moralne istniejące poza mną, wieczne i niezmienne, gdzie tu miejsce na wątpliwość, jeśli praca mojego umysłu i moje życie nie mają się stać przysłowiowym krokiem raka. Są ostatecznie problemy, na które trzeba odpowiedzieć bardzo wyraźnie „tak”, albo „nie”. Pamiętasz to miejsce z *Biesów*, kiedy młody Wierchowieniecki wyznaje, że w każdej chwili, gdy pragnie coś uczynić, głos jakiś podszeptuje mu, aby uczynił coś wręcz przeciwnego. Nie bez głębszej racji refleksja ta zafascynowała Gide'a, który nie omieszkał jej opatrzyć wymownymi komentarzami w swojej książce o Dostojewskim. Perspektywy jakie się otwierają przed permanentnym współuczestnictwem wątpliwości i wiedzy biegną dość równoległe do konsekwencji dwoistości pragnień. Nie poruszałbym zresztą tej mimochodem przez Ciebie zaznaczonej sprawy, gdybym w niej nie dostrzegł zjawiska dość powszechnego wśród naszych czasów. Jednym z najtragiczniejszych załamania współczesnego człowieka, czyż nie jest niemożność oparcia się na prawdę. Człowiek współczesny nieporównanie łatwiej Prawdę zrozumie, oceni jej sens, jej celowość i użyteczność, niż w tę samą Prawdę bez zastrzeżeń uwierzy. Cień wątpliwości nie opuszcza go nawet wówczas, gdy staje przed wartościami, którym i z rozumem i z potrzeby gotów jest użyć sankcji nieodwołalnych. Można powiedzieć, że człowiek współczesny potrafi Prawdę odnaleźć i zrozumieć, lecz nie umie, nie chce, czy nie może Prawdzie tej podporządkować się, współżyć z nią według praw, których ta Prawda wymaga. Iluż można dzisiaj spotkać ludzi, i to spośród najlepszych, którzy naprawdę istotnie znają i rozumieją religię katolicką. Takie pojęcia jak grzech pierworodny, Odkupienie, Łaska, kara wieczna i nagroda, znajdują w ich umysłach pełne zrozumienie, a w sercach możliwość zaspokojenia najżywszych potrzeb i pragnień. Ludzie ci jak należy oceniają uniwersalny charakter Kościoła, potrafią zarówno w rygoryzmie kościelnym, jak w ustanowionych sakramentach i w liturgii odnaleźć tę więź społeczną, której równowagę i harmonię z życiem wiecznym jeden Kościół katolicki z kościołów chrześcijańskich potrafił ocalić. Ludzie ci myślą i mówią jak katolicy, a jednak nimi nie są. Gdyby zrozumienie sakramentu spowodowało prowadzić do krat konfesjonału – byłiby przy nich. Gdyby zrozumienie, że w białym opłatku wnoszonym grzesznymi dłońmi kapłana istotnie przebywa Odkupiciel, pozwalało komunikować się – codziennie słyszeliby nad sobą słowa: „Domine, non sum dignus, ut intres sub tectum meum...” Jednak doceniając personalny i społeczny sens praktyk religijnych – nie praktykują. Rozumiejąc wiarę – nie żyją wiarą. Potrzebując jej – nie żyją w niej. Nie będąc wyznawcami, nie są również heretykami. Ich niepokój, ich poszukiwania wymowniej być może charakteryzują nasz czas, niż jazgot faszystowski, który – trzeba mieć tę nadzieję – ściśnięte wreszcie, aby upiornym wspomnieniem straszyc lub śmieścić przyszłe pokolenia, póki nowy führer lub duce skinieniem ręki nie postawią tłumów w szereg. Natomiast laicyzacja uczuć religijnych – bo religijnymi laikami nazwać można wielu współczesnych ludzi – wydaje się zjawiskiem stokroć groźniejszym, niosącym w sobie możliwość nieobliczalnych przemian. Nazi pod swoją swastyką po prostu kłamie kłamstwem, laik religijny częstokroć kłamie Prawdą. „Kamień Probierczy” traci w jego dłoniach swój blask i nie wiem, czy nie zmienia się powoli w zwykły, szary kamień. Nie żałując, jak wspominałem, czasów Inkwizycji – żałuję, że dzisiaj nikt nie zabija w imię zbawienia swojej ofiary. Laicyzm religijny, to rozległe zagadnienie.

W poprzednim liście wyraziłem zastrzeżenie wobec Twego twierdzenia, jakoby katolicyzm „wysychał na miazgę”. Podtrzymuję to zastrzeżenie, bo znam katolików prawdziwych i żarliwych, zresztą wyznam Ci – potrzebna mi jest nadzieja, że ta pozycja nie jest jeszcze stracona. Nie sądzę również, aby największe niebezpieczeństwo groziło katolicyzmowi od wewnątrz. W tej mierze polegamy na mądrości i roztropności Kościoła, który w dziejach nie raz już przeżywał dotkliwe załamania, zawsze jednak potrafił podźwignąć się i odnowić. Jeśli grozi obecnie katolicyzmowi niebezpieczeństwo, to przede wszystkim od zewnątrz. I bynajmniej nie ze strony wojujących ateizmów czy faszystów. Wróg jawny zwykle bywa mniej groźny od ukrytego. Pozycje, z których faszysty i materializm dziejowy zwalczają katolicyzm są określone, a linia oddzielająca obie strony biegnie głęboką przepaścią. Natomiast ci, którzy stoją po jednej stronie barykady przy boku Kościoła, sympatyzując z nim lecz do niego nie należąc, ci są najgroźniejsi. Kościół katolicki przypomina obecnie konia trojańskiego, z tą tylko ważną różnicą, iż wielu dzisiejszych Agamemnonów i jego towarzyszy nie zdaje sobie sprawy z roli, jaka im przypada. Współcześni Ulissei są szczerymi przyjaciółmi katolickiej Troi. I gubią ją stając w jej obronie. Zabijają – nie zawsze wiedząc co czynią. Zarzuca się nieraz Kościołowi kompromisowość i giętkość jego polityki, usiłując skrzywdzić tych czy innych posunięć zapisać na konto całej instytucji. Wiele zarzutów jest niewątpliwie słusznych, bo jak każda ludzka działalność, posiada i Kościół swoje usterki. Kompromisowość rzeczywiście nie należy wśród nich do błędów najradszych. Lecz często się zapomina, że Kościół skłania się do kompromisów tylko w swojej ziemskiej sferze działania. Natomiast zawsze był i jest całkowicie bezkompromisowy wobec wszelkich zakusów na swój charakter sakralny. Łobuzami mogą być papież i wikary z zapadłej wioski, lecz to w niczym nie narusza Kościoła, w którym żyje i z którego promienieje mistyczne ciało Chrystusa. Ten drugi, wieczny, nadprzyrodzony Kościół żąda od swoich synów wiary pełnej i bez zastrzeżeń. Sakralny charakter Kościoła nie uznaje katolicyzmu cząstkowego. Albo się jest katolikiem, albo się nim nie jest. Trzeba przyjąć wszystko lub wszystko odrzucić. I dzisiejszy religijny laicyzm na tym właśnie polega, że nie chce przyjąć wszystkiego. Czyja wina. Nie chcę tu mówić o winie, nie czuję się ani w prawie ani na siłach. Postaram się więc ograniczyć do próby wyjaśnienia z pewnością niepełnego złożonych przyczyn jakie złością dzisiejszy nurt religijny, ów nurt, wśród którego wirów i lejów ludzie przechodzą z żywego brzegu sakralnego na pusty i złowrogi brzeg laicki.

1) Nigdzie historycyzm nie powoduje tylu спустoszeń, ile ich pozostawia użyty jako narzędzie badania dziejów i rozwoju ludzkich wyobrażeń religijnych. Nie mówię, rzecz prosta, o historycyzmie ujmującym rozwój religii na płaszczyźnie współzależnej rozwojowi układów gospodarczych, społecznych czy politycznych i uzależniającym ją ściśle od tych układów. Nie. Myślę o historycyzmie, który przystępując do zagadnień religijnych, na samym wstępie zakłada obecność istoty nadprzyrodzonej, stwierdzając, że „badania naukowe pochodzenia religii tak samo, jak i badania naukowe pochodzenia życia, są z góry skazane na jałowość.” Ten z pierwszych pewników poprzedzających *Religie świata antycznego* Zielińskiego nie stoi w żadnej sprzeczności z doktryną Kościoła. Zresztą, żeby ograniczyć się do tego jednego przykładu, w wielotomowym dziele prof. Zielińskiego znaleźć można niejednokrotnie akcenty głębokiej wiary w nadprzyrodzoną instancję wyobrażeń religijnych.

TO JUŻ DZIEŃ DOBRY. ■ KTO NIE PAMIĘTA PRZESZŁOŚCI JEST SKAZANY NA JEJ POWTÓRZENIE



KTO NIE PAMIĘTA PRZESZŁOŚCI JEST SKAZANY NA JEJ POWTÓRZENIE - ZAGADAŁ GENESIS P

SUPRANIEZALEŻNY FANZIN INTELIGENCKI □ Nr 6 □ 2 GRUDNIA 1990 □ redaguje ZBIGNIEW SAJNÓG

motto:

„co zlikwidować  
jak zlikwidować  
i co  
gdzie  
ile”

Ryszard Tymon Tymański

rozmowa z KRZYSZTOFEM SKIBĄ  
- ulubieńcem melomanów i  
członkiem grupy „BIG CYC”

- Jesteście ostatnio szalenie aktywni. Ukazała się wasza pierwsza płyta „Z partyjnym pozdrowieniem”. Odbiliście gigantyczną trasę koncertową po rubieżach Rzeczypospolitej. Jak było?  
- Ogólnie rzecz biorąc było miło. Zarówno płyta jak i koncerty to oczywiście nasz wkład w rozwój kultury śródziemnomorskiej. O tym, iż z naszymi poglądami utożsamia się wielu ludzi świadczą wyrwane pod naporem publiczności drzwi z zawiasów. Drzwi strzeliły w Kołobrzegu, Głogowie i Zielonej Górze. W Gdańsku większość publiczności wdarła się przez okna lub po trupach bramkarzy. Muzyka dawno już przestała fagodzić obyczaj (he, he!)  
- W jakich salach przyszło wam odprawiać swoje rockendrołowe egzorcyzmy?  
- My nie uważamy się za gwiazdę kalibru halowego. Ten typ grup w Polsce należy (podobnie jak wojny punickie) do przeszłości. Lubimy grać w dużych klubach takich, które mieszczą około sześćset osób. Choć na przykład w Lublinie graliśmy w hali do której przyszło kilka tysięcy ludzi. Zdarza się, iż gramy w sali Domu Kultury, który nie wyzwolił się jeszcze z mentalności plastusiowej i robotek ręcznych. Obsługę stanowią wówczas tak zwane leśne dziadki o szybkości uspiętego szachisty. Dla wykonawców sytuacja taka może okazać się tragiczna. „Big Cyc” to nie jest kwartet smyczkowy ani kółko graniaste. W Głogowie, w pierwszej minucie koncertu na scenę wskoczyło kilkadziesiąt osób wykonujących (sympatyczny skądinąd) taniec radości. Dziewczyny rzuciły się na szyję naszemu perkusiście, który pod ich cielesnym naporem padł plackiem pomiędzy bębny. Dopiero interwencja aktywistów z miejscowego klubu karate wprowadziła jakąś równowagę. Niestety oznaki sympatii też bywają niebezpieczne. Pamiętam jak na ślubie mojej trzeciej mamy rzucając „na szczęście” garścią monet o mało nie zabiłem tak zwanej „panny” młodej.  
- „Big Cyc” znany jest z tego, iż angażuje się w różne akcje pozamuzyczne. Kiedyś były to wspólne akcje uliczne z Galerią Działalności Maniakalnych z Łodzi. Jak to wygląda teraz?  
- W okresie wiosenno-letnim zorganizowaliśmy ogólnopolski bojkot biustonoszy, który odbywał się pod kryptonimem AKCJA NA RZECZ SWOBODY ODDE-

- Stodki Angelo (Andrzej Miastkowski)
- Rafał Tarnowski
- Piotr Skoszkiwicz
- Paweł Pallester (zapłacił)

Polacy nie kuracy  
ale i nie dłuży  
lecz język swój mają  
krucy i dłuży  
a zwłaszcza dłuży  
krucy srom i dłuży srom  
no to jacy???

HOW TO  
**DISAPPEAR  
DISAPPEAR  
DISAPPEAR  
DISAPPEAR  
DISAPPEAR**  
COMPLETELY  
AND NEVER BE FOUND  
by Doug Richmond

Nasza witryna

Nadzwyczaj sympatyczne (niczym PAMS „Smigło”) szwajcarskie piśmko „Alpenzeiger” poleca swoim specyficznym czytelnikom książkę Douga Richmonda pod przejrzystym tytułem: *Jak zniknąć kompletnie i nigdy nie zostać odnalezionym*. Znajdujemy w niej porady i precyzyjne objaśnienia co do techniki znikania, analizę wszelkich możliwych sposobów pościgu i prezentację wszystkich, którzy mogą cię szukać (biura osób zaginionych, policja, prywatni detektywi, kompanie ubezpieczeniowe) oraz zawiera instrukcje jak ich wszystkich wywieść w pole. Znajdują się tu też drobiazgowo dane: jak zaplanować zniknięcie, jak zdobyć nową tożsamość, a nawet jak stworzyć sytuację by myślano, że nie żyjesz lub że opuściłeś kraj, gdy naprawdę tak nie jest, jak przetrwać pierwsze dni po zniknięciu, zdobyć pracę, mieszkanie itd. Wszystko, czego potrzebujecie aby zniknąć kompletnie i nigdy nie zostać odnalezionym znajdziecie w tej wspaniałej książce. Cena 10 \$.



Z CYKLU: KLEJNOTY KULTURY ANTYCZNEJ  
Ręka, noga, mózg na ścianie

CHU. Miał on swoje happeningowe znaczenie, kto wie, czy nie większe od kampanii prezydenckiej Wałęsy. W październiku, przed koncertem w Warszawie zorganizowaliśmy pikietę uliczną pod gmachem telewizji oraz w okolicach Domów Centrum pod jakże miłym dla każdego rewolucjonisty hasłem *Koncerty rockowe okradają klasę robotniczą*. Podczas kilku koncertów urządziliśmy też klasyczny performance w stylu bojówkarsko-atakującym. W trakcie hymnu o pionierach wolnego rynku, słynnego hitu *Berlin Zachodni*, człowiek z transparentem *Europa* uciekał przed facetem z transparentem *Polska*, a muzycy z kublami na głowach trzymali transparent *Artyści: morda w kubel*. Ta ostatnia manifestacja to prztyczek w kierunku tych, którzy chcieliby traktować kulturę jak plantację pomidorów.  
- W trakcie waszego koncertu w Warszawie wysiadł prąd. Czy to też był happening?  
- Prąd wysiadł w momencie, gdy utwór *Aktywiści* zadedykowaliśmy Lechowi Wałęsie. Ręce Wielkiego Elektryka są jak widać długie... zresztą, nie wiem... może to zwykły cud.  
- Wasz ostatni hit *Ballada o smutnym skinie wzbudza wiele kontrowersji...*  
- I bardzo dobrze, bo ma wzbudzać. Ze strony skinów były już oznaki nienawiści i agresji. Pod sklepem „Polskich Nagrań” w Warszawie wylapywano ludzi kupujących naszą płytę. Po warszawskim koncercie, na który skinów nie wpuszczono, ortodoksyjna grupka łysych przyczała się i zaatakowała wychodzącą publiczność. Na jednym z koncertów jakiś przerażony balladą skin rzucił w nas butelką po winie „BARTOSZ”. W tej chwili *Ballada o smutnym skinie* jest rodzajem pieśni bohaterkiej, publiczność w swej masie domaga się śpiewania tego niczym *Czterech pancernych*, czy songu zagrzewającego do walki. Faszyzm należy tępić w każdej postaci, także ten skinolski ukrywający się pod płaszczkiem „kontrkultury”. Na marginesie wypadałoby dodać, iż dzięki łysym niektóre polskie koncerty zaczynają przypominać swym charakterem zabawy wiejskie czyli ręka, noga, mózg na ścianie. Najbardziej niebezpieczne miasta to Szczecin, Wrocław, Katowice. Skiny urządzą tam na koncertach regularne rzeźnie. Dostać sprężynowca w brzuch naprawdę nie jest przyjemnie.  
- Jakże są plany „Big Cyc”?  
- Przede wszystkim chcemy doprowadzić do sytuacji, w której nasze piosenki znajdują się w programach szkolnych obok takich twórców jak Słowacki i Mickiewicz.  
- A poważnie?

- Poważnie, to w połowie listopada wyruszamy na koncerty do zimnej Finlandii, w grudniu jedziemy do Berlina Zachodniego i ojczyzny zegarków. Na tych terenach skóry bądź wymarły śmiercią naturalną, bądź znajdują się na etatach / eksponatów stałych w Muzeum Osobliwości Cywilizacji Europejskiej. Za granicą śpiewamy po polsku, więc to też będzie niezły happening.  
- No to polemania gitar i szczęść Boże.  
- Amen - jak mówią wierni muzułmanie i harcerze ze szczepu „Solidarność” w Północnej Dakocie. Ze Skibą rozmawiał Krzysztof Skiba.

Janusz Rołt nie żyje

Miejsce na cytowanie złotych myśli Mike'a Oldfielda zawsze się znajdzie, podobnie jak na nakręcanie koniunktury zagranicznym koncertom przez szczegółowo-rajcujące artykuły o ich muzycznej konfekcji, ale nie ma miejsca na wiadomość o śmierci faceta, który przez ponad dziesięć lat tworzył niezależną muzykę w naszym kraju, który uczestniczył we wszystkich istotnych formacjach lat osiemdziesiątych od „Brygady Kryzys” przez „Armię” do „Prądfaty”. Grał z Janerką, z Kamanem, grał jazz... Od ponad trzech miesięcy nie żyje najlepszy perkusista rockowy w tym kraju. I do tej pory żadnej wzmianki w prasie, żadnej audycji radiowej - nic się nie stało. To straszne, tracimy instynkt samozachowawczy - a już na pewno stracili go dziennikarze muzyczni - nawet nie skorzystali z okazji podkręcenia sobie koniunktury wydobyciem tragicznego, czy sensacyjnego aspektu tej śmierci. Tak, ale żeby to zrobić, trzeba najpierw zauważyć, że coś się stało. Kto nie zauważa takiego wydarzenia, ten nie zasługuje na uwagę.  
Chamstwo, ciemniactwo.

Zbigniew Sajnog

W SZYSCY MURZYNI TO ŻYDZI...ITD

Motto:

... naród, który upierałby się czynić tradycję swą z tego, co jest chorobą myśli i woli (...), który by przez petyzm czynił z pamięci swej archiwum absurdu, sam stałby się absurdem."

Stanisław Brzozowski

Grzegorz Ociepa

# Polska neurotykiem narodów

Kilka miesięcy temu w jednym ze swych felietonów w „Polityce” KTT z ironią zauważył, że mimo iż w Polsce przez ostatnie pół wieku na pozór zmieniło się niemal wszystko, przyjdzie mu umrzeć w kraju dziwnie podobnym do tego, w którym się urodził: z prezydentem, dwuizbowym parlamentem, konkordatem, słabą lewicą i silną prawicą, zapatrzonym na Zachód i skłóconym z sąsiadami.

Nie pamiętam wprawdzie przedwojennej Polski, a los polskiej lewicy jest mi głęboko obojętny, ale faktycznie znów żyjemy w Rzeczypospolitej z orłem w koronie, „odradzają się” przedwojenne partie polityczne: PPS, SP, ND, PSL. Nawet „betoniarze” przyjęli dla swej nowej partii nazwę Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. (Obawiam się, że to nie koniec ich metamorfozy – spodziewają się po prostu zwycięstwa monarchistów w przyszłych wyborach, a wtedy będą już mogli „wrócić” do nazwy SDKPiL).

Wygląda na to, jakby mogła się sprawdzić kolejna przepowiednia genialnego wieszczka Witkacego, który w *Nienasyce* napisał, że po chińskim najeździe Polska powróci do stanu wyjściowego, „odegnie się siłą martwoty i słabości”.

Według mnie fakt, iż Polska odradza się w kształcie zbliżonym politycznie i kulturalnie do przedwojennej, tylko pozornie świadczy o jej żywotności. Naprawdę pokazuje (nie pierwszy raz w historii) zdumiewającą odporność naszej kultury na dziejowe impulsy. W stosunku do realnych problemów, zagrożeń i wyzwań, przed którymi stajemy, arsenał naszych odwiecznych narodowych symboli, do których się raz po raz odwołujemy, wydaje się stertą zardzewiałych i bezużytecznych rupieci.

Jeśli jeszcze przyjmie się styl politycznej rywalizacji polegający nie na walce na konkretne programy, wizje przyszłości i opcje światopoglądowe, lecz na wyrzucaniu sobie sparciałych sztandarów – to przy postępującej jednocześnie kulturalnej zapaści czeka nas jawny nawrót średniowiecza.

Dziś, gdy marzy się nam powrót do Europy i zniwelowanie dystansu, jaki nas od niej dzieli, wypada, abyśmy najpierw przyjrzeni się sobie. Przecież w naszym mesjanistycznym życiu umysłowym wciąż nieobecne są zasadnicze problemy cywilizacyjne. Czy wobec tego nasza zaściankowa kultura potrafi nas przestrzec i uchronić przed nadciągającymi zagrożeniami?

Jak dotąd nauczyliśmy się ponosić wszystkie klęski współczesnego człowieka nie odnosząc jego zwycięstwa (Brzozowski). Mamy już zdewastowane środowisko (naturalne i kulturowe), epidemię nerwic i społecznych patologii ale wciąż nie stworzyliśmy przyzwoitej psychiatrii, programów ekologicznej kontroli i mechanizmów chroniących kulturę.

Sprawiamy wrażenie rozbitka, który – na wpół utopiony, sponiewierany przez wiry (historii) – został wyrzucony na wyspę pełną dzikich zwierząt i ludożerców i który zamiast myśleć o znalezieniu broni, schronienia czy jedzenia, zajmuje się polowaniem i przypinaniem wyciągniętych z kieszeni zaśniedziałych medali. Dziś, gdy nie krępuje nas już cenzura ani względy taktyczne, które wielu ówczes-

Jerzy Podgoniec

# Na wycieczce

Klęknąłem, pochyliłem się i bardzo ostrożnie wzniciłem ogień. Jadwiga pomagała mi, osłaniając dłońmi pierwsze płomyki. Dym wsiąkał w zarosła – możliwe, że nikt nas nie widział. Wtedy błysnęło. Daleko, za sąsiednią górą. Pomyśleliśmy, że jeszcze zdążymy się ogrzać. Jednak ulewa nadeszła prawie zaraz. Uciekliśmy w dolinę. Stał tam stary szałas. Miałem nadzieję, iż ominą go pioruny. W środku zastaliśmy Tadeusza i Bożenę. Weszli chyba przed chwilą, Bożena wyciągała właśnie z plecaka przenośny telewizor. Uruchomiła go. Tadeusz siedział pod oknem. Przygotował notes i zaczął pisać.

Nie zauważyli nas.



PAULUS

nym opozycjonistom podsunęły pomysł instrumentalnego traktowania naszych tradycji (co wtedy było krótkowzroczne, a dziś jest niedopuszczalnym, cynicznym i szkodliwym oportunistycznym), gdy mamy wreszcie warunki, by odbyć powszechny narodowy rachunek sumienia – czyż nie powinniśmy się przede wszystkim zastanowić, co naprawdę są warte nasze relikwie i amulety, do których z takim sentymentem wracamy, mimo że nie uchroniły nas przed dziejowymi katastrofami?

Czyż nie nadszedł czas, byśmy głośno wyznali, że za nasze ostatnie klęski, upokorzenia i smutny stan obecny winę ponoszą nie obcy najeźdźcy czy marionetkowe rządy lecz my sami – nasza krótkowzroczność, głupota i bezsilność, nasz odwieczny zaskorupiały konserwizm i kulturalna zaściankowość.

Żaden dziejowy fatalizm (między Hitlerem a Stalinem, etc), a tym bardziej mesjanizm, nie powinien dłużej usprawiedliwiać naszych klęsk. Zarzucając odpowiedzialność za sytuację kilkudziesięciomilionowego narodu na obce, zewnętrzne siły sami czynimy się ich igraszką. A przecież to od nas zależy, czy jesteśmy podmiotem, czy ofiarą historii, czy ją współtworzymy, czy też pozwalamy, by rzuciła nami jak piłką – to na Wschód – to na Zachód.

Musimy zerwać wreszcie z samookłamywaniem się i przyznać, że w ostatnim półwieczu (choć i wcześniej) nie mieliśmy dość siły i rozwagi, by sprostać wyzwaniom historii. Musimy przyznać, że nasz narodowy organizm był i jest słaby i chory, a konstatując objawy tej choroby nie wolno na tym poprzestać – trzeba dociec jej przyczyn. Posługując się dalej tym porównaniem można by rzec, że komunizm, w którym dopatrujemy się przyczyn naszego obecnego położenia, był tylko nowotworem, który zaatakował chory już i skarłały organizm. Jednak faktyczną przyczyną tej choroby jest sztywna skorupa, zbroja (śpiewał o niej Kaczmarek),

Na klepisku leżały patyki. Pozbierałem kilka i rozpalilem drugie ognisko. Burza szalała.

Tadeusz poczuł swąd, spojrzał w moją stronę.

– Marian! Co za spotkanie! – zawołał z radością.

Uściskaliśmy się.

Bożena była wpatrzona w ekran.

Wszedł Donald. Miał dziwny, podobny do uśmiechu, grymas zaskoczenia na mokrej twarzy.

– To jest Donald – powiedziałem.

Tadeusz zmarszczył brwi. Odwrócił się w stronę Bożeny.

– Jak Boga kocham, Bożena, wyłącz to – krzyknął ostro.

Bożena nacisnęła guzik odbiornika. Podeszła do nas.

– Cześć – uśmiechnęła się.

– Słyszałem o panu – Tadeusz spojrzał na Donald. – Jest pan złodziejem i oszustem. Wiem o tym od Mariana.

– Donald, to wszyscy wiedzą, nie przejmuj się – machnąłem ręką.

– Marian! – Jadwiga ożywiła się. – Marian, daj mu spokój. Czy ty wiesz, co się dzieje w głowie takiej, jak jego? Nie dokuczaj mu! Przecież... on cierpi!

– Jadziu – objąłem ją – on nas zniszczy, jeśli go nie zabijemy. – Byłem spokojny.

Jadwiga odsunęła się ode mnie, podeszła do ogniska, uporządkowała je i dołożyła drew.

– Łatwo wam mówić – rzekła Bożena.

– Jest pan nędznikiem – Tadeusz patrzył groźnie na Donald.

Donald był przemoczony i zziębnięty. Kręcił się bezradnie w miejscu. Nagle podniósł z ziemi kamień. Wycelował we mnie. Rzucił. Nie trafił. Przewrócił się i złamał rękę.

– Jadziu, bądź uprzejma podać mi jakąś patkę – poprosiłem.

Jadwiga nie zareagowała. Bez przekonania krzątała się przy płonących głowniach.

Bożena spojrzała w okno.

– Nie pada – zauważyła.

– Idziemy – powiedziałem.

Tadeusz opłuł Donald.

Zaczęliśmy się zbierać, było trochę zamieszania przypakowaniu plecaków. Tadeusz z Bożeną wyszli pierwsi, za nimi poszedł Donald, z ręką na temblaku.

Zaświeciło słońce. Wziąłem w dłonie głowę Jadwigi, ucałowałem ją. Wróciliśmy na szlak. W krzakach zobaczyłem Donald. Niezdarnie przeglądał portfel Tadeusza.

w której ten organizm został uwięziony i która uniemożliwiła mu swobodny rozwój. Tą skorupą jest skostniała i nieelastyczna „przedmurzyńska” (od Przedmurza), mesjanistyczna forma naszej narodowej kultury, która od momentu wykształcenia się w XVII wieku wciąż dominuje w naszym życiu umysłowym, ograniczając je i deformując. Jej istotą jest rozluźnienie kulturalnych więzów z Europą, nieobecność w jej dziele „wznoszenia” cywilizacji i oferowana w zamian rola obrońców najistotniejszych rzekomo wartości.

Cała absurdalność tej postawy leży w tym, że przyjęcie chrztu, założenie uniwersytetu, ani nawet kopiowanie mód literackich nie wystarcza, by stałe do Europy należeć. Cechą bowiem kultury w ogóle, a naszej zachodniej w szczególności, jest ciągły rozwój, kumulatywność i dialektyczna zmienność. To, co w jednej epoce jest synonimem kultury, w innej może już uchodzić za barbarzyństwo. Na przykład dla Nietzschego (sto lat temu) wskaźnikiem poziomu kultury ludzi i narodów był ich stosunek do chrześcijaństwa. A jaki był jego – wiadomo...

A przy tym sprawdzianem jest zawsze samo nieublagane życie. Nie wierność, nie zasługi, lecz zdolność do trwania, rozwoju, pokonywania przeszkód – cywilizacyjna prężność.

Niektórych mogą szokować te sformułowania. Jak to – powiedzą – przecież to nasza wierność tradycji sprawia, że przetrwaliśmy kolejny okres niewoli, pierwsi rozbiliśmy komunę i w sprzyjającej chwili tak łatwo zrzucamy obcy, komunistyczny nalot. Gdyby nie Kościół i narodowe tradycje dawno by nas zsołowiali.

Cóż, nie przeczę, że w porównaniu z komunistycznym barbarzyństwem katolicyzm jest dojrzałą, ukształtowaną przez wieki formą kultury. Ale po pierwsze, w tym zestawieniu nawet o totemizmie można by to powiedzieć, po drugie zaś – nie tyle

Lopez Mausere

## Wiersze niemieckie



kociwianka  
jedna miała  
chłopca z drewna  
pojechał na  
wojnę  
zostały mu  
się widle  
gnojne

### ALEKSANDRA

Problem  
dwunarodowości  
istnieje w domu  
tych państwa  
tata czerwony  
kniaź  
a brat to (Peter)  
rewizjonista  
Peter

czarną koszulę  
ma nasz koleżka  
i w Polsce już  
nie mieszka



MIKAR KAUFERER - Poczta

### Maria. Fraszewska

\* \* \*

jeżdżę palcem po ścianie  
wodzę ścianę za nos  
palce wiozę

już niedługo  
palce  
wdrozę

## ACID

Ostatnio w prasie muzycznej („Non Stop”, „Rock'n'Roll”) ukazało się trochę pocziwych informacji na temat istnienia i działalności „Psychick TV” i jej guru – Genesis P. Orridge'a. Podjęto także kilka prób sprowadzenia grupy na koncerty do Polski – jak dotąd niestety nieskutecznie. Latem tego roku my („Totart”) również prowadziliśmy bardzo zaawansowane rozmowy w tej sprawie, a w ramach akcji informacyjno-reklamowej zaprosiliśmy Petre („Ritus ± 23”) z berlińskiego biura „Temple ov Psychick Youth” do udzielenia serii wywiadów radiowych. Oto kwasowy fragmencik jednego z nich:

**Z.S.** – Jaką muzykę gra teraz „Psychick TV”?

**Ritus:** Muzyką, jaką gra teraz „Psychick TV” jest acid music, acid-house. ~

*A czym jest acid?*

– To jest nowa muzyka nowej dekady... jest nowym myśleniem lat dziewięćdziesiątych. Jest ruchem ludzi, którzy lubią swoje ciała, którzy lubią sex, którzy nie lubią granic i ograniczonych umysłów, którzy chcą uwolnić się od wszelkich systemów i czarno-białego myślenia.

*Czyż nie jest to tylko moda?*

– Kto wie, musimy poczekać jeszcze kilka lat i dopiero wtedy dowiemy się czy to tylko moda, czy coś więcej. Dla niektórych ludzi to może tylko moda, ale nie dla wszystkich.

*Czy myślisz, że „Psychick” będzie grał w Polsce acid?*

– Mam nadzieję. Ich acid house nie jest komercyjny. Myślę że będą grali acid z video, filmami, efektami i dymem – tak, że nie widzisz, kto stoi obok ciebie i możesz tańczyć jak we śnie.



chodzi mi o sam katolicyzm (choć uważam, że w epoce totalnego spełnienia ludzkich popędów, jego misja sublimacyjna jest już anachronizmem), ile o jego swoiście polską odmianę od wieków monopolizującą naszą kulturę i skazującą ją na skarlienie.

Zresztą przydatność dominującego w społeczeństwie modelu kultury najlepiej można ocenić na podstawie jego realnych skutków. „Zadna moc na świecie i żadne politowanie nie zmieni złośliwego nowotworu w pożyteczny organ, nie sprawi, aby trwałem i zdolnym do życia stało się to, co żyć nie jest w stanie.” Tak tę prawdę sformułował kiedyś Brzozowski. Spójrzmy zatem, jakie są praktyczne dowody „wydolności” naszej kultury. Spróbujmy skonfrontować idee z rzeczywistością. Cóż wtedy zobaczymy?

Oto „mesjasz narodów” tulający się od Berlina po Moskwę i Stambuł z tobołami tandety, przeganiany z pogardą przez byłego policjanta, wykrwawiony przez wojny i ciągle tracący najlepszą krew przez emigrację, ciemny, pijany, usypiany od wieków tą samą nauką wiekuiestej rezygnacji. Oto nasi bohaterscy ułani doszukujący się dziadków w Wehrmachcie i wystający pod energowskimi konsulacjami, by tylko się wyrwać z tej ziemi.

Oto „Przedmurze Europy”, o którym Europa zaczyna pisać jako o kraju egzotycznym, niacywilizowanym; oto chrześcijańscy rycerze, przed którymi Zachód broni się jak przed inwazją barbarzyńców wznosząc wciąż nowe wjazdowe zapory. Oto synowie tego dumnego i rycerskiego narodu – rzesze sprostyowanych funkcjonariuszy – „redaktorów” oplacanych za plucie i szczekanie, z równym zapałem relacjonujących msze Glempa jak niegdyś pierwszomajowe pochody. Oto duży kraj w środku Europy, bogaty w tradycję i wszelkie dobra, zamieniony w ruinę, w tani burdel dla Arabów.

Jak długo można nie zauważać, że nasze „umilo-

wanie tradycji” to nic innego, jak kulturalna impotencja, która zamyka nas w zaklętym kręgu mitycznych problemów, uniemożliwiając reagowanie na realne dziejowe szanse i zagrożenia. Że nasze niewolnicze trzymanie się historycznych mitów i stereotypów – to polskie „milion lat walki o niepodległość” i „tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem” – było już przyczyną wielu narodowych tragedii i wciąż uniemożliwia Polakom wzięcie swego życia we własne dłonie, skazując ich na los obłąkanych, którzy w swych urojeniach wypełniają Boskie misje, a realnie dogorywają na nędznej pryczy.

Taka postawa duchowa – przekonanie o własnej wielkości i wyjątkowości – podtrzymywana wbrew wszystkim, przy zupełnej nieumiejętności czy niechęci, by zająć się sprawami co prawda przyziemnymi, ale podstawowymi dla realnego bytu, dawno już zostały wyodrębnione przez psychologów i psychiatrów i nazwane mechanizmem samoalienacji. Wyobcowanie to polega na koncentrowaniu uwagi i energii psychicznej na rozwijaniu (a raczej ochronie) przez chorego swego wyimaginowanego, idealnego, a przy tym fikcyjnego obrazu, przy jednoczesnym zaniedbywaniu realnie (to znaczy w chorym) tkwiących uzdolnień i życiowych potencji. To zaburzenie samoświadomości (i osobowości) jest jednym z centralnych objawów nerwicy.

Wydaje się, że analogia do kształtu naszej narodowej kultury jest na tyle pełna, że pozwala nazwać Polskę raczej neurotykiem niż Chrystusem narodów. Ta psychoanalityczna analogia pozwala również odtworzyć „patogenezę” neurotycznego charakteru polskiego „ducha narodu”. Sądzę, że przyczyną niewydolności naszej kultury jest jej niesamodzielność, zależność od Zachodu. Europa zaszczerpiła nam własne wartości, ale jak mówi psychoanaliza, taki zabieg może stać się sposobem podporządkowania, zniewolenia; np. społeczeńst-

wo socjalizując jednostkę, wpajając jej własne normy, jednocześnie zdobywa nad nią władzę. Jeśli nie potrafi się ona wyemancypować, odrzucić niewydolnej, wewnętrznej kontroli – postępuje w interesie nie swoim, lecz swego „tresera”. Myślę, że i w tym wypadku analogia do naszej sytuacji jest wyraźna. Z żarliwością neofitów głosimy prawdy i wyznajemy wiary, które nasi nauczyciele dawno porzucili lub wobec których zdobyli dystans. Zauważmy, jak rozpowszechnione są w naszej kulturze wątki prometejskie i mesjanistyczne, a jak nikłe są wątki faustyczne. Nie mamy własnego Machiawellego, Goethego, Nietzschego. A przecież – jak zauważył Spengler – cywilizacja zachodnia już dawno przestała być chrześcijańska i stała się faustyczna. Nie musi się to nam podobać, ale nie można tego faktu ignorować.

Postępujący od XVII wieku i trwający właściwie do dziś rozbrat z ogólną tendencją rozwoju Europy, doprowadził Polskę do wewnętrznego rozkładu, a następnie utraty niepodległości. Nie twierdzą, że powinniśmy się zamienić w Japończyków, którzy groteskowo wręcz przejmując obce zwyczaje i naginając się do cywilizacyjnych reguł gry, odnieśli wprawdzie oszałamiające sukcesy gospodarcze płacąc jednak za to przerażającą dehumanizacją życia i zanikaniem tradycyjnej, narodowej kultury. Powinniśmy jednak zrozumieć, że nasze mesjanistyczne cierpiętnictwo szkodzi nam samym, a i światu nie pomaga w odnalezieniu dróg wyjścia ze ślepej uliczki, w którą zabrnął.

Chrześcijaństwo, które dla znacznej części Polaków jest kulturowym drogowskazem, nie zmieniło ludzkich popędów i motywacji. Zakryło je jedynie maską obłudy. Dla nas ta maska jest wciąż prawdziwą twarzą Zachodu. Dlatego też biorąc jego deklaracje za intencje, wciąż wpadamy w nowe tarapaty, a gdy szamocemy się rozpaczliwie, by się z nich wydobyć – nasz Wielki Guru dodaje nam otuchy i zachęca do nowych wysiłków, które często nie nam przynoszą korzyści. Nasz pseudoidealizm jest więc po prostu brakiem kulturowej samodzielności i polityczną głupotą.

Cóż, życie jest okrutne, a jego prawa bezwzględne. Jeśli więc los nie uczynił nas gigantem, jak chociażby sąsiadów z prawa i lewa – powinniśmy mieć tyle rozsądku, by wreszcie nauczyć się optymalnie wykorzystywać swe siły i możliwości. Tylko to pozwoli nam wydostać się wreszcie z zaklętego kręgu wciąż nowych nieszczęść.

Aby to uczynić powinniśmy wreszcie porzucić kiczowatą pozę mesjanistycznego pawia (czy też raczej zapawianego Mesjasza), którą z wiadomym skutkiem gramy wobec świata. Powinniśmy przestać być zarazem niewolnikiem, dłużnikiem i bękartem Europy i zdobyć się na trudną pracę tworzenia nowej kulturalnej tożsamości. Wiele historycznych kostiumów, masek a nawet bohaterów trzeba będzie przy tym wyrzucić na śmietnik, a wydobyc z naszej tradycji te zapomniane i przemilczane postaci, które w przeszłości heroicznie usiłowały nadrobić kulturowe zapóźnienia rodaków i znaleźć samodzielny obraz ich sytuacji. A przecież nawet w tym stuleciu mamy pisarzy naprawdę europejskiego formatu – jak Miciński, Brzozowski i Witkacy, którzy mogli – (by) – stać się zaczynem twórczego, intelektualnego fermentu. W swoim czasie zostali oni jednak odrzućeni przez naszą młdą i zakisłą patriotyczno-klerykałną kulturę, a i dziś są przezornie trzymani w kryptach bibliotek jako martwi klasycy, warci najwyżej skromnych wzmianek w podręcznikach, bo ich dzieła mimo upływu czasu, wciąż zachowują moc demaskowania fałszu, hipokryzji i miakkości naszego życia umysłowego (zwróćmy choćby uwagę, jak niepokojąco współcześnie brzmią wykorzystane w niniejszym artykule cytaty z dzieł Brzozowskiego).

Jeśli w najbliższym czasie nie podejmiemy wysiłku przewartościowania naszych kulturowych tradycji i nie zdobędziemy się na odwagę kwestionowania narodowych świętości i podważania dotychczasowych aksjomatów naszej tożsamości, na zawsze pozostaniemy cywilizacyjną prowincją, o której pisał Spengler: pozbawioną najlepszej krwi i skanalizowaną przez prężne metropolie, sennym, wyeksploatowanym krajem, gdzie „powstaje typ fel-lacha”.

„ZADZWOŃCIE PO MILICJĘ” —  
AUDYCJA W PROGRAMIE I PR WE  
WTOREK O 21.30. SŁUCHAJCIE.

GLUPOTY I BAWIĄ SIĘ GADZETAMI. - NIESPODZIEWANIE WYLAŁ SIĘ MACIEJ PÓ 64 GODZINACH OGLADANIA MTV.

# NOC PAŹDZIERNIKOWA

RUJNUJE. --- TO DOBRANOC. --- TO JUŻ... ■ PEWIEN AMERYKAŃSKI PISARZ

POWIEDZIAŁ KIEDYŚ PRZY KOLACJI: CZŁOWIEK CAŁE ŻYCIE MĘCZY SIĘ. STARA SIĘ COŚ ZBUDOWAĆ. A ZA JEGO PLECAMI JAKIŚ TAKI PIŹDZIELEC CAŁY CZAS TO

Zbigniew Sajnóg: - Byłeś 3 października pod Reichstagiem.

Artur Kudłaty Kozdrowski: - Tak. Specjalnie przyjechałem do Berlina 2 października ostatnim autobusem z Gdańska. Była przyjemna, ciepła noc. Przeszronny, rozległy plac pod Reichstagiem okolony nie tyle uroczymi, co urokliwymi ścieżkami, skwerami z krzewami, drzewami. A między nimi trawniki.

- A konkretnie, czy działo się tam tej nocy coś szczególnego?



- W zasadzie tak, choć byłem przygotowany na szczególność innego rodzaju. Mając w pamięci stare kroniki, filmy historyczne i fabularne spodziewałem się fanatycznej fiesty.

- A nie było tak?

- Chyba tak, ale bardziej między wierszami.

- To może powiedz najpierw, co było w wierszach.

- Noo, Niemcy, a do tego muzyka, lasery, pochodnie, fajerwerki, flagi, chorągiewki, plakietki, czapeczki, opaski...

- I umieli wykorzystać to oporządzenie?

- Na pierwszy rzut oka tak; perfekcyjny, świetny spektakl na niebie, bezbłędna choreografia na ziemi, w każdym miejscu placu dźwięki słycać było jak z walkmana, czapki świeciły, flagi trzepotały. Ale sami Niemcy zachowywali się jakoś dziwnie. Owszem - wzruszenie, powaga, swoisty patos, ale jakby z odrobiną konsternacji, pomieszania. Odniosłem wrażenie pewnej nienaturalności. Jako bardziej na miejscu odebrałbym polewanie się piwem i chóralne hajhiltowanie. A tak zachowywali się trochę jak na pogrzebie. Ale nie swoim. W powietrzu czułem napięcie i pewien kryptopower. Może dlatego, że ich uczucia były uwewnętrznione. Nie było zabawy, karnawałowości.

- To dziwne. Byłem w Berlinie kiedy Niemcy zdobyli mistrzostwo świata w piłce nożnej i urządzili wtedy karnawał jak w Rio: rakiety, pijaństwo, wyjące samochody i skandowanie.

- Może teraz byli trochę zażenowani swoimi myślami i szybko się rozeszli.

- Rozumiem, że odczułeś wyraźny rozdźwięk między rozmachem uroczystości, a zachowaniem się ludzi. Mogłbyś określić tę sprzeczność?

- Nie zauważyłem jawnie manifestowanej radości, luzu, za to wyciszenie przy zachowanej wszak jedności i wyczuwalnym poczuciu wspólnoty. Można by to ująć w tabelę, tudzież wykres:

- |                                  |        |
|----------------------------------|--------|
| 1. rozmach                       | —————> |
| 2. gadzety techniczne            | —————> |
| 3. historyczna doniosłość chwili | —————> |

- |        |  |
|--------|--|
| <————— | 1. lapidarność części oficjalnej (1-2 minuty przemówienia) |
| <————— | 2. znikomość hulanki                                       |
| <————— | 3. nieujawnienie uczuć                                     |

stan pośredni: wzruszenie  
katalizator: ciepły wieczór

## Zbigniew Sajnóg

z cyklu „Parnas zimowy”

To już dobranoc

To już po Rapallo -

- bawcie się chłopczęta

po berku najmodniejsza gra

jest w prezydenta.



### Rozdział 0 czyli PROLOG

Tomasz przecesał zgrabnie szpakowate swe włosy. Rzucił na twarz obustronne plastry z wody kolońskiej sporządzone, a ciastowate policzki wchłonięły je jak bibułka atrament. Zbliżył swą głowę do lustra i stroił się w głupie miny przez bez mała kilka minut. Zrogowaciałyymi opuszkami palców wtarł nie zaakceptowane jeszcze przez zwiędłą skórę kropelki pachnidła. Poklepał się kilka razy po twarzy otwartą dłoń - tak swojsko - na odlew, aż piasnęło w ciszy nocy.

- Aaaaa...! - zachnął się udobruchany.

- Tomkul Coś tak się rozbisurma-

nił? - doleciał z kuchni żabi skrzekot.

- Ha, ha, ha...! - Wilmowski obie- ma dłońmi na zmianę okładał się zapamiętałe po policzkach i pokrzykiwał niczym młodzik. Po pewnym czasie zaczął całym swym kolosalnym ciałem kolebać się i gibać oraz przytupywać nożycami w rytm siarczastych uderzeń, które brzmiały zwielokrotnione echem, niczym werbel oporządzany wprawnymi dłońmi.

Tomek zapamiętał się dobrze. Trze- cią ręką uderzał się jeszcze w klatkę, która to, opustoszała będąc od kilku dobrych lat, wydawała dźwięczny od- głos niczym dzwon. Plask, dum, plask, plask, dum, plask!!!

- Ty szaleńcu głupi, ty, przestań! - zaskrzeczała znowu siwowłosa już Sally, stając w drzwiach Tomkowego pokoju.

Wilmowski jednak zszamanił się do cna. Jego ruchy z każdą chwilą nabie- rały płynności i pewności, a czerwona jak wnętrze oka, opuchła już twarz pokryła się kroplami potu, które łączy- ły się skwapliwie w dobrane parki z kroplami wylanej wcześniej na der- mę wody kolońskiej.

Skóra z twarzy objana wielkimi

łapskami zaczęła płatami odłazić mu.

- Tomasz, przestań! - Sally pod- biegła do swego małżonka, ale ten, choć niechętnie, załamał na chwilę rytm i walną Australijkę aż zawirowa- ła na brokatowym kobiercu. Tomek im dalej w las (?), tym okrutniej sobie poczynał, aż pierwszy płat purpurowej skóry z czoła, łagodnym, spiralnym lotem, wylądował u jego stóp na pers- kim dywanie, gdzie natychmiast zo- stał rozdeptany traperskimi buciorami podróżnika.

- Aaaaaaa...! - zawył Wil- mo, bo skóra na twarzy zaczęła mu nagle pękać w kilku miejscach jedno- cześnie i na lustro siknęły cienie strużki krwi.

- Horror... - jęknęła Sally i wyczoł- gała się sprawnie z pokoju jak mała zmiyka.

Skądś odezwał się tubalny \* wokal Smugi:

- METAMORFOZIS!!!

\* tubalny - „dźwięczny jak przez tubę; głośny, donośny, grzmący, gromki, sil- ny”: Tubalny głos, śmiech. (Słownik języka polskiego pod red. M. Szymczaka, W-wa 1981)

Do gabinetu Wilmowskiego wbiegł w piżamie Marian - jedyny i pierworo- dny syn Marian. Wilmowski miał już drgawki, a krew ściekała mu z twarzy wszędzie prawie, a zwłaszcza za kol- nierzyk wybrochmalonej, bielutkiej koszulki.

- Ojczy naszyl - Marian chwycił Ojca swego za ramię.

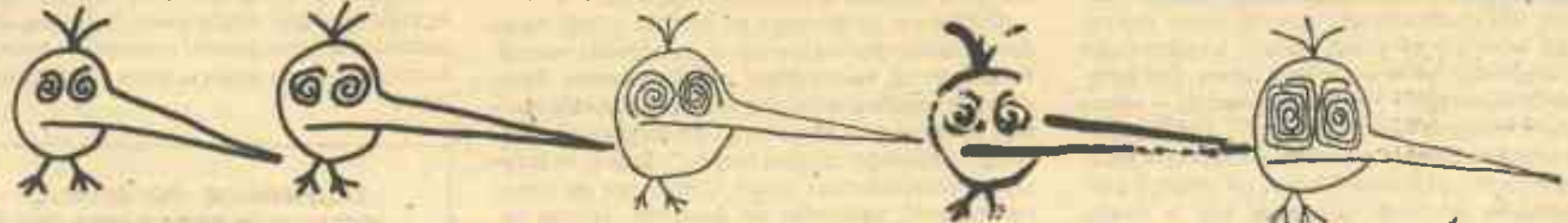
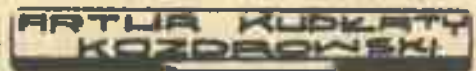
Wiatr zerwał firankę, wyszedł księ- zyc zza chmury, z niedokręconego kranu kapła systematycznie woda. Uderzył piorun w stół. Kopytko na strychu zaczął grać Bacha na skrzyp- cach. Wilmowski był już jeno krwa- wym zewłokiem, turlejącym się nieregularnie po podłodze. Przypelzła zno- wu Sally w postaci zmiyki oślisłej i za- syczała smutno:

- Hasbandzie... - często polską fle- ksję przydawała do swych tajemni- czych anglosaskich leksemów.

Deszcz siekł po twarzach.

Nowicki przedzierał się przez koso- drzewinę i parł naprzód - do Wil- mowic...

cdn



NIELIST kiwi GALLERY BY KONJO → TO JUŻ DOBRANOC

# JERZY ANDRZEJEWSKI □ Korespondencja [3]

Lecz wystarczy wyjść poza Objawienie Chrystusa, aby w poprzedzających je systemach religijnych odnaleźć aż nadto wyraźne pokrewieństwa wyobrażeń, podobieństwa symbolów, tysiączne filiacje, z których wynika ważny fakt: każda religia jest związkiem treści ludzkich z treścią boską. Rozwarta głęb wieków ukazuje coraz doskonalszy kształt Boga i normę etyczną coraz wyższą. Jeszcze krok jeden, a wyłoni się wątpliwość, czy prawda zawarta w Ewangelii jest ostatecznym wyra-

chrześcijański od abstrakcyjnego Absolutu umysłów współczesnych. Być może proces dematerializacji Absolutu jaki odbywa się na naszych oczach i przy naszym współudziale jest jako przełom w dziejach ludzkości nieporównanie istotniejszy i donioślejszy w skutkach, niż powstanie chrześcijaństwa. Cokolwiek się powie słusznego o wyższości chrześcijańskiej religii nad religiami wcześniejszymi, różnice dzielące wiarę człowieka pierwotnego od wiary chrześcijanina mniejsze są, niż religia

świeckie mogły z pełną odpowiedzialnością stworzyć obraz materialny Boga Ojca, zdobyć się na wizję nieba Fra Angelica i wizję zmarłych wstania ciał Signorellego. Mogła również powstać i nie brzmieć fałszywie *Boska Komedja*.

Dzisiaj dogmaty i wyobrażenia eschatologiczne przeniosły się w większości umysłów w sferę abstrakcyjnych, rozumowych pojęć. Duch św., nie unosi się blaskiem gołębic jak na obrazach el Greca, Bóg Ojciec wylaniający się z mgieł stworzenia nie dotyka wyciągniętym palcem dłoni powołanego do życia Adama, aniołowie w białych szatach i złotych aureolach nie spacerują po kwiecistej łące nieba, a trąby Sądu Ostatecznego nie wskrzeszają zmarłych. Nie przypuszczam, aby umysł ludzki mógł wrócić do zmaterializowanych pojęć religijnych, chyba pod warunkiem, że z dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego ostatnich wieków kamień na kamieniu nie pozostanie. Nie licząc się z taką możliwością, można raczej przypuścić, że powoli zanikają i te resztki materialnych wyobrażeń religijnych, które dotąd zachowały się wśród wierzących tradycyjnie. Przyjdzie być może czas, gdy abstrakcyjność pojęć ostatecznych okaże się wystarczającą dla potrzeb człowieka.

Dzisiaj sytuacja daleka jest od podobnej równowagi. Jesteśmy wśród przełomu, potrzebami raczej do przeszłości należąc, możliwościami do lat przyszłych. Jesteśmy zbyt zrośnięci z kulturą z górą dwudziestu wieków, abyśmy mogli się nagle od niej oderwać i nie chwiejąc się stanąć na równych nogach. (...) Samotność religijnego laika jest gorzka i bolesna. Obraca się niejednokrotnie w kręgu tych samych pojęć, które tworzą konstrukcję katolicką, lecz odartych z ich charakteru sakralnego. Cień tajemnicy i nieznanego zgestniał i pociemniał. Człowiek traci na ziemi grunt pod nogami, a jego dusza nieśmiertelna przestaje ogarniać ostateczny wymiar sprawiedliwości niosącej nagrodę i karę.

Dla Conrada, który jest wielkim pisarzem religijnego laicyzmu, nie istnieją już zmaterializowane pojęcia metafizyczne. Znak nieprzeniknionej tajemnicy stoi u progu pozaziemskiego świata. I jedyne co może wśród ciemności człowieka ocalić, to idee obowiązku, odpowiedzialności, honoru czy wierności, zawieszony niby idee platońskie gdzieś w nieznanym. W kilkanaście lat później Malraux postawi wymowne pytanie: co robić z duszą, gdy nie ma łaski. Jednak gdy poczniesz szukać normy etycznej, która by przywróciła człowiekowi godność – znajdzie ją w laickim pojęciu braterstwa. Zatem znów powrót do człowieka. I raczej tęsknota, niż wiara i wiedza, usiłuje etyczną sankcję oprzeć o mglisty i abstrakcyjny kształt Boga.

2) Miałeś zapewne sposobność niejednokrotnie spostrzec, jak częstym zjawiskiem w naszych czasach jest rozdźwięk pomiędzy światopoglądem człowieka a jego życiem. Rozdźwięk stary co prawda jak świat, lecz wydaje mi się, że obecnie szczególnie ostro zarysowany. Do rzadkości należą ludzie, którzy żyją tak, jakby się można było tego spodziewać po ich wypowiedziach. Żyją gorzej, nędzniej i tchórzliwiej. Swoim życiem na każdym kroku zadają kłam swoim słowom. Zewsząd zalewa nas bezmiar kłamstwa, obłudy i cynizmu. Powątpiewam, czy Diogenes żyjąc współcześnie zechciałby mieszkać w beczce. Podejrzewam, iż pisałby artykuły i wygłaszał przez radio przemówienia zalecające ten tryb życia, lecz mieszkałby w luksusowej, nowoczesnej willi. Chociaż wszystkie współczesne ideologie zalecają trudne życie, heroiczne i męskie, ideał do którego większość współczesnych zdążyła i który praktycznie realizuje jest życiem łatwym.

Gdy ideologia propaguje wyrzeczenia się i ofiary, jej wyznawcy skłonni są raczej używać życia pełną garścią. Współcześni z godną po-

dziwu zręcznością wydoskonali się w utrzymywaniu lewicy w niewiedzy, co czyni prawica. Zbyt rozległe to zagadnienie, abym się podjął dokładniejszego jego zbadania w ramach tego listu. Chciałbym się tylko podzielić z Tobą przypuszczeniem, czy ten rozdźwięk światopoglądu i życia nie wynika w pewnej mierze (bo przyczyn na pewno jest więcej) z laickiego stylu myślenia. Czy dematerializacja takich pojęć jak niebo, piekło, dusza nieśmiertelna, łaska, nie wpłynęła na osłabienie instynktu etycznego nawet wśród tych, którzy przyjmują te pojęcia, lecz w ich abstrakcyjnym, zagadkowym kształcie. (...) Nowa eschatologia zaledwie się zarysowuje, w starą mało kto wierzy, jej rekwizytów niewielu ludzi bierze poważnie. Można by powiedzieć, że przeżywamy okres bezkarności eschatologicznej, przejściowy zamęt i bezład bezniebia i bezpiekła. Że katolicyzm ponosi przy tym straty najdotkliwsze, to jasne. Żąda bowiem od człowieka najwięcej i rzeczy najtrudniejszych. Lecz łaska i sankcje etyczne zawieszono nad ludzkim plemieniem nie są zdolne siłą odpowiedzieć na siłę pokus zła. Równowaga została zachwiana i chyba na czas dłuższy, bo kto wie, czy nie minie wiele pokoleń, zanim nowe niebo i nowe piekło przyjmą zbłąkane dusze nieśmiertelnych, a Łaska odnowi z nimi nadwątlone przymierze. Ostatnia wreszcie uwaga. Chodzi mi o nagminne współcześnie zjawisko polegające na odwróceniu hierarchii wartości. Nigdy jeszcze w dziejach Kościoła nie otrzymano tylu co obecnie ofert. Dostaje je z lewa i z prawa. Różni są adresaci i różne adresy. Inaczej redaguje je polski oenrowiec, inaczej francuski socjalista czy komunizujący katolik, albo katolizujący komunista, ten niezwykle dziwoląg określa międzywojennego. Lecz przy wszystkich subtelnych różnicach łączy religijnych zalotników pewne powinowactwo: katolicyzm pojęty jako środek, nie cel. Mimo wstrętu do naszego rodzimego faszyzmu, zdają sobie sprawę, że wielu z młodych oenrowców szczerze uważa się za katolików, a swoją ideologię za szaniec Kościoła. Myślę tu o reprezentantach najlepszych, pomijam tych, kto wie czy nie liczyli się, którzy zalamują się ze świadomym cynizmem. Lecz i wśród tych najlepszych łatwo się zorientować, że są katolikami dlatego, ponieważ katolicyzm pasuje do ich ideologii. Praktykują trochę z tych samych przyczyn, z jakich kobieta doбира kolor pantofli i kapelusza do koloru sukni. Prawda w ich światopoglądzie ustępuje miejsca użyteczności Prawdy. Dlatego uważana jest za Prawdę, bo jest użyteczna. Za rok, gdyby wymagała tego sytuacja, może przestać być Prawdą, zastąpi ją prawda inna. Właśnie w ten nie inny sposób myśli wielu dzisiejszych katolików i katolizujących. Spośród wszystkich współczesnych Ulissesów katolickiej Troi ci wydają mi się najgroźniejsi. Bo chociaż w najlepszej nieraz intencji i w zgodzie ze swoimi sumieniami, przecież uderzają w najczulsze jądro religii, w jej nadrzędność i transcendentność. Ponieważ są to przeważnie ludzie czynu, walczący o konkretne sprawy polityczne, społeczne i ekonomiczne, tym gorzej, tym większe możliwości spustoszeń. I gdyby podobny sposób myślenia miał się z latami pogłębiać i upowszechniać, pewnego dnia Europa doczekałaby się bezbolesnej śmierci swoich uczuć religijnych. Jeśli się jednak przyjmie istnienie pozaziemskiej normy etycznej – możliwość taką trzeba odrzucić. Nie ma dla niej miejsca. Nie może bowiem zginąć to, co będąc niezależne od człowieka, nierozdzielnie jest związane z jego ziemskimi losami i choć raz rozbłyśnie wielkim blaskiem, kiedy indziej przygasa w najmniejszy cień światła, istnieje przecież zawsze, nawet wbrew woli ludzkiej, zawsze z sobą niosąc nadzieję odnowienia.

dn. I IX 42.

Ciąg dalszy korespondencji w najbliższych numerach



JACEK SEMPOLIŃSKI

zem Objawienia Boga w człowieku, czy też stanowiąc osiągnięcie jak dotąd najdoskonalsze, ustąpi z czasem miejsca sankeji jeszcze doskonalszej i wyobrażeniu Boga tak różnego od chrześcijańskiego, jak Bóg Trójcy Świętej, różni się od Zeusa czy Amona. Tęsknoty XIX wieku zwrócone ku nadchodzącej epoce Parakleta, to właśnie oczekiwanie nowego Objawienia.

Dalsza konsekwencja: jeśli za przedmiot uczuć religijnych uznamy konkretyzację Absolutu, ujrzymy, że w ciągu wieków linia rozwojowa tych uczuć stale i konsekwentnie ulega dematerializacji. Od Absolutu skonkretyzowanego w religiach pierwotnych w siłach przyrody i zwierzętach do Absolutu chrześcijan skonkretyzowanego w Bogu Człowieku i w Bogu myślącym kategoriami naszego umysłu, droga jest równie odległa, jak ta, która dzieli Absolut

chrześcijański od abstrakcyjnego Absolutu umysłów współczesnych. Wszystkie bowiem wierzenia do chrześcijaństwa włącznie narzucały Absolutowi cechy rodzaju ludzkiego i ostatecznie Apis Egipcjan i Zeus Greków podobnie jak Trójca Święta stworzeni zostali z elementów ludzkich przerzuconych w sferę Absolutu. Bogowie greccy jeszcze i w sferze czynu upodobnieni są do ludzi i na podobieństwo śmiertelnych dzielą z nimi perypetie miłosne, macierzyńskie i wojenne. W sferze Absolutu działającego zamianowało chrześcijaństwo więzy Absolutu z plemieniem ludzkim w postaci Chrystusa. Natomiast Bóg chrześcijański nie ingeruje już jako materia w sprawy ziemskie, myśli tylko po ludzku, jego sprawiedliwość jest idealną sprawiedliwością ludzką, jego wieczność z niebem i piekłem idealnym wymiarem kary i nagrody. Ikonografia kościelna i malarstwo

Janusz Węgielek

## Bestsellery

Człowiek-spieg z bestsellerów o tematyce szpiegowskiej jest mistrzem niedościgłym, zarówno w ucieczce (wprowadzanie w błąd, maskowanie), jak i w pościgu (kradzież informacji). Apokryfy te zarysowują przeciw pewną sferę idealną, do której szpieg sowiecki czy amerykański może się tylko zbliżyć.

Co innego biografie szpiegów rzeczywistych. Zgodnie z przyjętymi w nich założeniami, ukazują one cyniczną osobowość w rozwoju, w procesie stawania się, często przy wzbogaceniu postawy hermeneutycznej autora o aspekt historyczno-polityczny. Przede wszystkim jednak każdy z biografów bierze sobie za punkt honoru wyszczególnienie tych wszystkich cech charakteru, które pomagają w robocie szpiegowskiej lub w ogóle ją umożliwiają, takie zaś istotne kwestie, jak sposób przeżywania przestrzeni i korzystania z niej, swoistość aktu demaskacji i aktu śledzenia, ciągłość nastawienia na kodowanie i szyfrowanie czy wreszcie określenie macierzy gry, z reguły leżą odłogiem.

Należy wspomnieć również o innym poważnym braku, którym charakteryzują się wszystkie pozycje „biblioteki szpiegowskiej”. Niezmiennie bowiem o osobowości cynicznej pisze tu osobowość krytyczna, a co za tym idzie, pisze opierając się na fundamentalnych zasadach krytyczności, takich na przykład jak zasada poznawalności świata czy uniwersalności punktu widzenia. W ten sposób autor daje złudne wrażenie, że uchwycił przedmiot, gdy w rzeczywistości nawet do niego nie dotarł. Zdradza go jedynie obecna w jego dziele atmosfera poklasku, podziwu, grozy i sensacji, towarzysząca zwykle pokazom linoskoczków.

Ma się rozumieć, atmosfera taka nie sprzyja śmiechowi. Z osobowości cynicznej osobowość krytyczna nigdy się nie śmieje. Przeczują jak gdyby, że oto entuzjazmuje i podnieca się czymś, co najrealniej jej zagraża.

Ale czy śmiech jest obecny w życiu człowieka-spiega? Śmiech – nie. Człowiek-spieg bierze świat na serio, jakkolwiek by niekoherentnym i pełnym głupstwa świat mu się wydawał i mimo całej przeciwstawności między nim a światem. Lekceważący stosunek do świata, traktowanego jako przedmiot śmiechu i zabawy, z punktu widzenia cynika jest błędem.

Trochę inaczej sprawa wygląda z uśmiechem. O uśmiechu łatwo temu, kto posiada władzę, w tym wypadku przewagę nad partnerem w grze. Do tej przewagi cynik przez cały czas dąży, aż wreszcie ją osiąga, choć może tylko na chwilę. I ta chwila może być właśnie chwilą uśmiechu.

Bywa, że stać cynika wówczas nawet na ryzykowny żart.

Z czego pan żyje, panie Foot, jeśli wolno zapytać? Jak to, nie wie pan? Jestem szpiegiem.

Tak oto najlepszym sposobem zamaskowania czegoś bywa czasami wydobycie tego na światło dzienne. „Odkryta twarz jest maską najlepszą, najbardziej zwodniczą” (de Custine).

Annały obu wielkich wojen światowych notują epizody, kiedy z rozkazu starszego oficera wywiadu i ku zgrozie jego podwładnych ważne informacje szły w eter otwartym tekstem i, jak się okazywało, wróg nie zwracał na nie żadnej uwagi lub podejrzewał fortel.

Znane są również szpiegowskie autobiografie. Jedne ciekawia, drugie nudzą, wszystkie są kłamliwe.

W sumie każdy z nas zna modelową sylwetkę szpiega prezentowaną przez bestsellery. Pewne motywy i symbole, zawarte w tym komiksowym poniekąd portrecie, zasługują na uwypuklenie.

Przede wszystkim motyw wolności od wszelkich determinizmów. Odrzucenie więzów, jakie na jednostkę nakłada język ojczysty, narodowość, klimat, rodzina, pochodzenie klasowe, dziedzictwo kulturalne i historyczne i co tam jeszcze – czyni ją obywatelem świata, istotą do szpiku kosmopolityczną. Pomijając rasę i płeć, zostaje już bodaj sama tylko czysta egzystencjalność.

Co do przynależności rasowej, to wiadomo, że Francuz z Grenoble nie zmieni się w chłopca z okolic Kantonu ani w Murzyna z serca Afryki. „W inwazji szpiegowskiej Japończyków na Amerykę największą przeszkodę stanowił dla nich ich charakterystyczny wygląd, którego nie sposób zmienić i po którym z miejsca poznawano w nich nie tylko cudzoziemców, ale właśnie Japończyków.” (Seth) Natomiast strefa pośrednia bardziej sprzyja metamorfozom: Europejczyk o określonych cechach fizycznych w zasadzie może „wejść w skórę” mieszkańca Mekki.

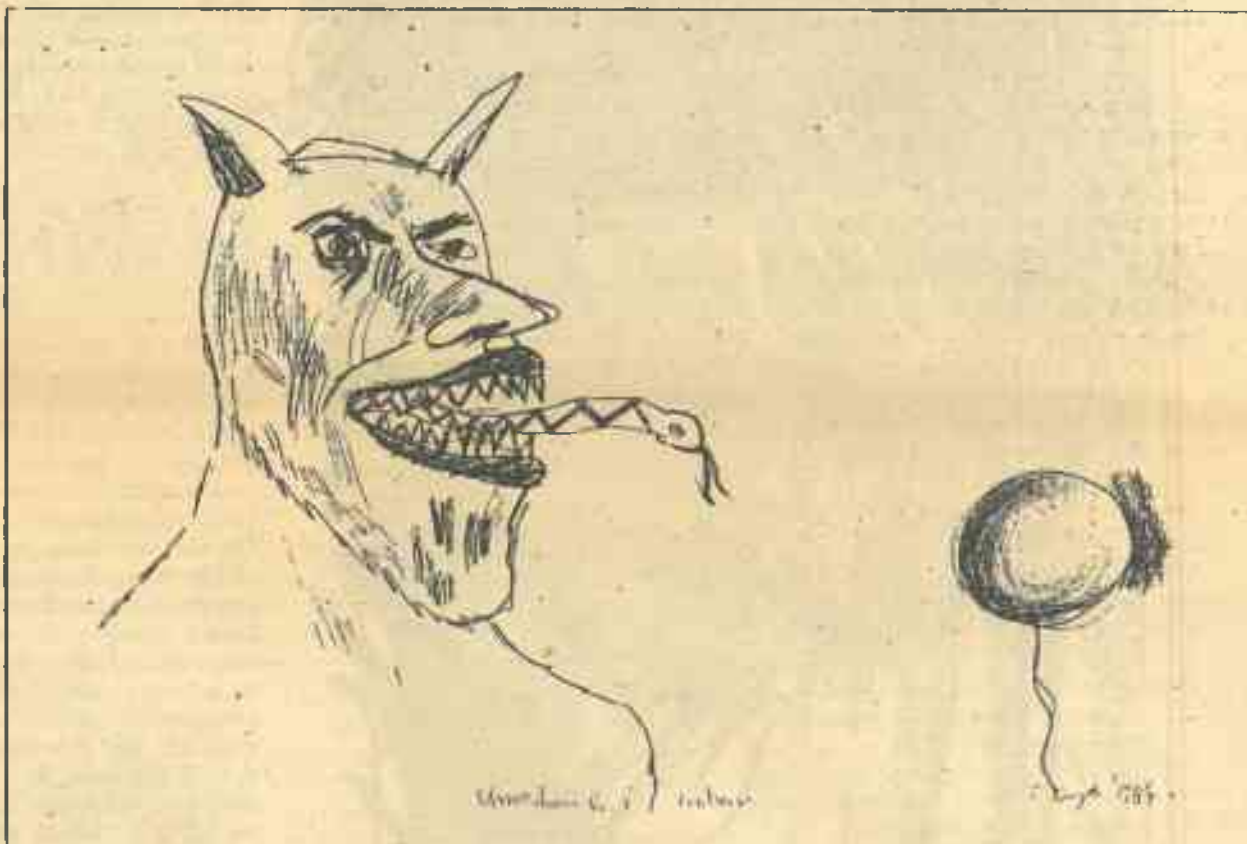
Złożona symbolika władzy nad sobą organizuje drugi istotny motyw. Wszystko, co szpieg reprezentuje własną osobą, odsyła ku woli dyktującej bezwzględnie. W literaturze szpiegowskiej wiele się mówi o surowości względem samego siebie. Nic jednak o tym, że jest to surowość wyłącznie funkcjonalna. Mit wraz z jego niezmiennym

systemem wartości zaznacza tu swą obecność ledwie dostrzegalnie. Szpieg poskramia ciało poza wszelkim kontekstem grzechu i pokory. Robiąc to czyni po prostu zadość pewnym wskazaniom taktyczno-strategicznym.

Panowanie nad ciałem i jego namiętnościami, właśnie dlatego, że jest wyłącznie metodą, nie wyklucza niczego, co jest w jednostce potencją, a tylko stawia temu chwilową przeszkodę. Nie idzie wszak o to, aby zdolności do czegoś w dobrym i złym szpieg miał być pozbawiony, lecz żeby potrafił (gdy sytuacja tego wymaga) ukrócić jedno, a wyzwolić drugie. Stwierdzamy prymat sytuacji charakterystyczny dla mimikry. Podczas gdy mit w zawiłościach ascezy nakazuje osobie podporządkowywać sobie niepowtarzalne sytuacje, cynizm do zawsze zmiennej, każdorazowo innej sytuacji stara się dostosować metodę działania. Ustawiczna potrzeba szybkiej improwizacji i inicjatywy dla zmylenia i wyprzedzenia akcji przeciwnika, jak również związana z tym konieczność zapewnienia sobie nieograniczonej wprost możliwości wyboru środków, klóciłaby się z dominacją w jednostce jednej zasady czy tendencji. Stąd chyba najtrudniej wyobrazić sobie cynika jako istotę

strony wiadomo, że w pracy wywiadowczej pośpiech jest niewskazany i „najgorszą rzeczą jest przygotowywanie i wykonywanie zadania wywiadowczego pod naciskiem i przymusem czasu” (Schelenberg). Niech to jednak nikogo nie myli. Projekcja w przyszłość nie uchyla niezwykle ważności chwili obecnej. Jedności własnej osoby cynik może doświadczać jedynie tu i teraz, nie zaś w przeszłości i tradycji.

Mówiąc językiem nie-swoim, nosząc maskę nie-swojej kultury, szpieg wszelką odrębność i indywidualność kultur traktuje instrumentalnie, jako coś w gruncie rzeczy zbędnego. Cynizm sprawia, że pożąda się w gruncie rzeczy świata zniwelowanego do jednolitego poziomu przeciętnej cywilizacji światowej, w której wszystko byłoby przystrzyżone i dopasowane do jednego wzorca. Wszystko zresztą zdaje się sprzyjać takiemu dążeniu, zarówno łatwość komunikacji, jak i wszechobecność środków masowego przekazu, jak wreszcie groźba biologicznej zagłady, wobec której istniejące różnice i sprzeczności systemów, ideologii, interesów gospodarczych i lokalnych ambicji politycznych, a więc w istocie całe bogactwo kultur i cywilizacyjnych propozycji wydaje się



RYSZARD GRZYB

ideologicznie uformowaną lub w ogóle przykróconą do jakiegoś wzorca katolika, komunisty, dżentelmena, bon vivanta. „Katolikiem czy komunistą może się głosić, lecz jest to tylko maska.”

W końcu charakterystyczna dla szpiegostwa ważność chwili obecnej. Niewątpliwie szpieg żyje najbardziej intensywnie. Akt śledzenia na przykład jest osaczeniem ofiary przez chwilę obecną, tożsamiem się teraźniejszości w przestrzennym labiryncie, a przecież w roli śledzonego czy też śledzącego szpieg często się widzi. Z drugiej

wielu ludziom wręcz „śmieszna błahostka”. Dodajmy jeszcze do tego „bunt mas” oraz uniwersalny aspekt ideologii komunistycznej, adresowanej wszakże do mniej cywilizowanych lub niecywilizowanych wcale i stąd „braterskich” dołów społecznych, a skonstatujemy, że w modelowej postaci szpiega przelamuje się niczym w pryzmacie najistotniejszy dla naszych czasów wątek antycywilizacyjny.

Jako że nie ma cywilizacji światowej, ogólnoswiatowa może być tylko antycywilizacja. ■

## ZESZYTY LITERACKIE Nr 31 (LATO 1990)



W numerze: PROZA I POEZJA: ZBIGNIEW HERBERT, Gerard Terborch. Dyskretny urok mieszczaństwa; JULIA HARTWIG, JERZY KRONHOLD, ADAM ZAGAJEWSKI: Wiersze. PREZENTACJE: HANNA KIRCHNER, Nieznany utwór Janusza Korczaka; JANUSZ KORCZAK, Dzieci Biblii. Mojżesz; CHARLES SIMIC, Trzydzieści próz poetyckich. LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KAPIŃSKI, Van Gogh – „tęsknota za krajem obrazów”. SYLWETKI: KAZIMIERZ BRANDYS, Ulica Vaneau. SPOJRZENIA: MARIA DANILEWICZ-ZIELIŃSKA, Inna droga do domu na Lincoln's Inn Fields w Londynie. ROZMOWY: STANISŁAW BEREŚ, Trzeba o tym mówić. Rozmowa z prof. DANIELEM BEAUVOIS. O KSIĄŻKACH: TADEUSZ NYCZEK, Czarne litery na ciemnym tle; JAN ZIELIŃSKI, Wiersze Rydza-Śmigłego; BARBARA SOLA, Inna liryka. NOTATKI, KRONIKA, Z LISTÓW DO REDAKCJI, OD REDAKCJI, INFORMACJA, NOWE PUBLIKACJE, NOTY O AUTORACH, RESUME, ZESZYTY LITERACKIE 1-30: Wykaz publikacji.

Wszelkich informacji na temat prenumeraty na drugie półrocze 1990 r. oraz warunków sprzedaży udziela:

AGORA Sp. z o.o., Warszawa, ul. Iwicka 19, tel. 41 66 55



JOHN DOS PASSOS, *Ciężkie pieniądze*. Przełożył i opracował Krzysztof Zarzecki, Czytelnik 1990

John Dos Passos jest w gruncie rzeczy autorem jednej książki. Tą jedną jedyną książką była trylogia *USA* (1930-1936), której trzeci tom *Ciężkie pieniądze* ukazał się nie tak dawno w bardzo dobrym przekładzie Krzysztofa Zarzeckiego. Oczywiście Dos Passos pisał sporo i sporo publikował. Zarówno przed wydaniem *USA* jak i później. Publikował wiersze i przekłady wierszy, ekspresjonizujące dramaty i artykuły poświęcone sztuce teatralnej, reportaże i eseje, szkice historyczne i biografie, zapiski z podróży, zbiory publicystycznych artykułów, wreszcie wspomnienia. Przede wszystkim jednak zajmował się prozą fabularną. Był powieściopisarzem. Opowiadał poniechał wcześniej. Ostatnie z nich *July* ogłosił w 1924 roku. Później pisał już tylko powieści. Umierając zostawił po sobie ich kilkanaście, przy czym jedną z nich *Century's Ebb* w rękopisie. Wydano ją w pięć lat po jego śmierci. Ale z tego, co po sobie zostawił, a dorobek to wcale okazały, liczy się tylko *USA*. Reszta wydaje się tworem chybionym, choć tu i ówdzie prześwieca przez nią konstrukcyjny pomysł, a wielu jego tekstom, zwłaszcza z późniejszego okresu, niepodobna odmówić i zdrowego rozsądku i bezspornej inteligencji.

Zapewne wielu historyków literatury – oni bowiem głównie zajmują się dziś Dos Passosem – może tu zaprotestować. Mogą upomnieć się o *Trzech żołnierzach* (1921), a zwłaszcza o *Manhattan Transfer* (1925). Niewykluczone, że niektórzy (choć z tym już mniej wypada się liczyć) wystąpią w obronie *Midcentury* (1965), bo wątpię, by ktoś chciał podejmować się rehabilitacji drugiej trylogii Dos Passosa *District of Columbia* (1939-1949) czy też powieściowej wersji amerykańskich dziejów końca XIX i początków XX wieku, którą stanowił *Chosen Country* (1981). Niemniej wszyscy oni zgadzają się z tym – co zresztą po latach wydaje się całkiem oczywiste, co trąci całkowitym banałem – że *USA* jest najważniejszym dziełem pisarza, jawnie przerastającym pozostałe. Spór więc dotyczyć będzie tego tylko, czy z dorobku Dos Passosa dałoby się jeszcze coś uratować. Nie bardzo w to wierzę. Dlatego powtarzam – jest on autorem jednej jedynie książki. Było nią *USA*.

Zaproponował nową formułę epiki. Przyjmuje się, że formuła ta sporo zawdzięcza kinu. Bez wątpienia jest w tym wiele racji. Dos Passos brał pewne rozwiązania od Eisensteina i uczył się od Griffitha. Wypada jednak zachować tu ostrożność i wystrzegać się zbyt daleko posuniętych analogii, sugerowanych przez tytuły poszczególnych segmentów tekstu – „Kronika”, „Oko kamery”... Nie zapominać o różnicy materii, różnicy tworzywa i o płynących stąd uwarunkowaniach. Zresztą nie filmowa konstrukcja nadawała szczególnie charakter *USA*, ale łączenie „epickiego obiektywizmu” z powieścią liryczną i aliaz awangardy z amerykańskim naturalizmem.

„Epicki obiektywizm” podporządkowywał sobie warstwę fabularną trylogii – opowieść o dwunastu jej bohaterach. Bohaterowie ci niejednokrotnie się nie znają. Ich losy bieżą równoległe; obowiązuje tu przecież zasada symultanizmu wypróbowana już wcześniej w *Manhattan Transfer*, a przejęta nie tyle od Julesa Romainsa, ile od Joyce'a; wywodząca się przede wszystkim z dziesiątego epizodu *Ulyssesa* (tak zwanego epizodu „wędrujących skał”). Każdemu z owych dwunastu bohaterów poświęcił pisarz osobny segment opowieści. Jedną z zasad konstrukcyjnych staje się tu punkt widzenia głównej postaci. Wiemy tyle, ile wie ona w danej chwili. Nic ponadto, nic więcej. Nie dzieje się tak zawsze? Można wskazać na wyjątki, na odstępstwa od zasady?

Owszem, tak. Niemniej, wyjątków tych jest niewiele, odstępstwa zdarzają się rzadko.

Obok zasadniczego bloku narracyjnego pojawiają się sześćdziesiąt osiem „Kronik” złożonych w całości z cytatów – z nagłówków gazet, ulamków wypowiedzi i artykułów, z przytoczeń tekstu modnych szlagierów i popularnych reklam (naturalnie, pomysł ten ma filmowy rodowód) przy czym aranżacja tych cytatów niedwuznacznie zdradza ironiczną intencję pisarza. Do tego dochodzą biografie. Jest ich dwadzieścia sześć. Niemal zawsze są to biografie autentycznych osobistości tego czasu – prezydenta Wilsona i bankiera Morgana,

logu. wewnętrznego o bezspornie Joyce'owskiej genealogii. Stanowi on jakby rozsądnik liryzmu. Istnienie takiego notatnika lirycznego, podejrzanego niebezpiecznie o auto-biografizm – w obrębie epickiej powieści wiąże się chyba z dość ważkim zamysłem Dos Passosa, to jest z próbą równoczesnego przedstawienia „obiektywnego” kształtu świata i „subiektywności” podmiotu, który światu tego doświadcza.

Jak już wspomniałem, *USA* jest powieścią wywiedzioną z tradycji amerykańskiego naturalizmu. Na egzemplarzu książki podarowanym Teodorowi Dreiserowi Dos Passos wypisał dedykację. Stwierdziła ona, że gdyby nie autor *Siostry Carrie* żaden z młodych pisarzy amerykańskich nie napisałby tego, co napisał. Można by się tu dopatrywać grzesznościowej formułki. A jednak... W rzeczy samej proza Dos Passosa jest w pewnym sensie przedłużeniem Dreiserowskich romansów. Podobnie jak i książek Stephena Crane'a. Oczywiście związki autora *Ciężkich pieniędzy* z ame-

rygodnić fikcję, jakby nadać jej pozór relacji o faktach. Toteż przeplatał opowieść o zmyślonych bohaterach biografiami autentycznych postaci i kolażem nie sfingowanych przytoczeń.

Na tę werystyczną prozę, prozę „dosłowną”, pozbawioną „drugiego dna” (co nie znaczy, że wyzuta z „lokalnego” symbolu) nakładały się awangardowe zapędy pisarza. Ich przejaw stanowiły pożyczki od Joyce'a, czy od Cendrarsa, a i od Gertrudy Stein. Naturalnie młodej Gertrudy Stein, tej, która tak wiele zawdzięczała Flaubertowi, słowem: autorki *Trzech żywotów*. Owszem, „steinizm” Dos Passosa słabnie w *Ciężkich pieniądzach* ale nawet tam trwa nadal, choć bardziej rozwodniony niż w *42 równoleżniku* czy w *Roku 1919*.

John Dos Passos zaczynał jako pisarz lewicy. Właściwie pisarzem lewicy stał się w latach dwudziestych. Skończył jako zagorzały zwolennik neokonserwatywnego tępiącego wszelkie objawy kontestacji, więcej, ścigający amerykańskiego liberała pod każdą postacią. *USA* są

# Autor jednej książki

Rudolfa Valentino i Isadory Duncan, Henry Ford i Williama Randolpha Hearsta, braci Wright i Edisona. W pewien sposób wiąże się one z „tematem” sąsiadujących z nimi opowieści. W tym właśnie miejscu pęka „epicki obiektywizm”. Biografie bowiem mają wyraźnie poetycko-publicystyczny charakter. Ich źródłem był Whitman (zresztą w pewnym sensie *Żdźbła trawy* są wzorem dla *USA*) przepuszczony przez Sandburga i Mastersa. Jednakże ostentacyjnym przejawem powieści lirycznej okaże się dopiero ten wycinek trylogii, który nosi podtytuł „Oko kamery”. Pięćdziesiąt jeden rozdziałików tak nazwanych układa się w zapis treści doznań anonimowej postaci – niejako trzynastego bohatera trylogii. Zapis ten podporządkowany zostaje regułom mono-

rykańską wersją naturalizmu nie stanowiły nigdy związków idei. Natomiast amerykańska wersja naturalizmu podyktowała autorowi *USA* rodzaj konwencji.

Rozwój zachodnioeuropejskiej prozy fabularnej przebiegał pod znakiem zaostrożania się rygorów weryzmu. W Stanach rzecz przedstawiała się podobnie z tym jednakże, iż werystyka konwencja zadomowiła się tam znacznie później – mniej więcej na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Później doszły do głosu postulaty wymagające od literatury tego typu spełniania coraz to „mocniejszych” warunków. Uzewnętrzała je amerykańska odmiana naturalizmu. Do nich to właśnie sięgał Dos Passos. W *USA* czynił to niemal ostentacyjnie. Staral się uwia-

świadczeniem tej przemiany. Dwa pierwsze tomy trylogii pisał komunizujący radykał. Trzeci to dokument rozczarowań „popuczyska”. Tak sądzi się na ogół, przyjmując rok 1934 za datę przełomu. W roku 1934 po raz pierwszy bowiem konflikt pomiędzy pisarzem a partią stał się jawny, publiczny. Pretekstem okazał się wiec potępiający pacyfikację socjalistycznej milicji przez austriacką Heimwehrę. Wiec ten dla stalinowskiego kierownictwa Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych był wydarzeniem niepożądanym. Był przecież poparciem austriackiego „socjalfaszysty”. Toteż należało go rozbić. Wiec rozbito. Dos Passos zaprotestował przeciw temu w liście skierowanym do partii komunistycznej. List spotkał się z odpowiedzią, w której pisarza potraktowano łagodnie („chwijny intelektualista”), niemniej udzielono mu stanowczej odprawy. Tak się zaczęło... Potem przyszła „wielka czystka”. Reakcje Dos Passosa wykazywały zadziwiającą trzeźwość. Kiedy wojna domowa ogarnęła Hiszpanię, Dos Passos znalazł się w Walencji i w Madrycie. Tam spotkał Orwella (poświęcił mu entuzjastyczną biografię w *Century's Ebb*) i kłócił się z lewicującym wówczas Hemingwayem. Hiszpania roku 1937 dokończyła przemian. Pisarz wyjechał stamtąd jako zdeklarowany przeciwnik nie tylko stalinowskiej wersji bolszewizmu, lecz całej marksistowskiej doktryny we wszelkich jej odcieniach. Czy jednak dokonało się wówczas gruntowne przeobrażenie pisarza? W pewnym sensie – tak, ale tylko w pewnym sensie. Dos Passos utracił wiarę w możliwość uzyskania przez jednostkę pełnej autentyczności. Autentyczności zapobiegały formy społeczne. Wdzierały się w świadomość. Zaludniały ją stereotypami, takimi jakie bez reszty wypełniają umysły wszystkich bohaterów *USA*. W ten sposób „człowiek prawdziwy” ulega „człowiekowi sztucznemu”. Bo „człowiek sztuczny” jest tworem społecznych konwencji. Dos Passos wydał wojnę nieautentyczności. I tym samym wydał ją formom. Ich zniweczenie obiecywała rewolucja październikowa. Stąd brał się alians pisarza z bolszewikami. Właśnie alians, bo on sam nigdy nie był marksistą. Natomiast partię bolszewicką traktował jako środek prowadzący do celu. Celem miała być autentyczność jednostki. Ale w połowie lat trzydziestych Dos Passos dostrzegł, że środki zamieniają się w cele, że to, co miało niszczyć wszelką formę społeczną samo staje się formą, tyle że inną. A zresztą czy w ogóle osiągalny jest „człowiek w pełni prawdziwy”? Wątpliwości skłoniły pisarza do poszukiwania takiej struktury, która w najmniejszym stopniu ogranicza autentyczność jednostki. Znalazł ją i utożsamiał z amerykańską demokracją, z jej stanem pierwotnym, który osadzał na



TOMASZ CIECIERSKI

dokończenie na s. 14

# Autor jednej książki

dokończenie ze s. 13

przełomie XVIII i XIX wieku. Arkadia ukrywała się w przeszłości. Przeszłość należało więc powtórzyć.

John Dos Passos przeżył samego siebie. Zanim umarł, umarło jego pisarstwo. Bo nawet USA jest dzisiaj powieścią zmuszoną. Wylóżmy rzecz jaśniej. Nikt nie kwestionuje znaczenia tej książki w dziejach amerykańskiej prozy. Ma ona trwałe miejsce w każdym podręczniku historii literatury Stanów Zjednoczonych. Co więcej, dzięki USA Don Passos stał się niezaprzeczną wielkością. Tyle że – wielkością czasu przeszłego. Jego oddziaływanie na współczesną literaturę amerykańską jest nikłe. Oważem, zaważył on na *Nagich i martwych*, debiucie Normana Mailera, choć było to oddziaływanie raczej powierzchowne. Ale później zaraz po wojnie odegrał ważką rolę podczas inwazji powieści amerykańskiej na Europę. Świadczą o tym choćby *Drogi wolności* Sartre'a. Zżywał dobrej sławy u krytyków. Niemniej urwało się to w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. W Stanach skończyło się jeszcze wcześniej i niewiele pomogła nieoczekiwana poczytność *Midcentury*, które przez kilkanaście tygodni figurowało na liście bestsellerów. Sytuacja nie ulegała zmianie. Nie uległa aż po dzień dzisiejszy, mimo że formuła epicka USA, co prawda w zmodyfikowanej postaci, ozwała się w *Czerwonym kręgu* Solżenicyna. Jedno jest więc pewne – pisarstwo Dos Passosa nie wchodzi w skład żywej tradycji amerykańskiej prozy współczesnej. I to wszelkich jej nurtów. Zarówno tych, które odwołują się do osiągnięć neoawangardy, jak i wyrastających z przeciwstawnych orientacji. Zapewne, spotykało to też inne wielkości okresu międzywojennego. Czyż w podobnym położeniu nie znaleźli się Steinbeck i Thomas Wolfe? A w jeszcze gorszym Farrell, Erskine Caldwell czy Richard Wright? Właściwie przetrwał Faulkner i wczesny Hemingway reaktywowany przez minimalistów z nie tak dawno zmarłym Raymondem Carverem na czele. Ocalała też Gertruda Stein i, mimo wszystko, Francis Scott Fitzgerald. Równocześnie zaś dokonana się rewaloryzacja pisarzy kiedyś niezauważanych, takich jak przede wszystkim Nathanael West i – w mniejszym już zakresie – Djuna Barnes czy Henry Roth.

Jakie względy zadecydowały o „uhistorycznieniu” USA? Było ich wiele. Myślę, że przesądziło o tym i odrzucenie formuły epickiej, którą pisarz stosował, i niechęć do prozy dosłownej, którą tak bardzo sobie cenil, i rozdarcie pomiędzy awangardą a naturalizmem, i chyba nacisk publicystycznych formuł na jego dzieło. Na koniec pewne znaczenie miała również ta postawa, jaką zajmował przez ostatnich kilkadziesiąt lat swego życia – neokonserwatyzm. Jej następstwem stawało się to, że płynął pod prąd, przeciwstawiając się ideom kształtującym atmosferę intelektualną głównych ośrodków opiniotwórczych Ameryki.

Dos Passos został więc pisarzem wielkim, lecz martwym. Pamiętajmy jednak, że dzieło, które znalazło się pośród wartości, choć dziś odsunięte na bok, na poły zapomniane, jutro może zmartwychwstać. Takiego zmartwychwstania doczekał się Henry James w latach czterdziestych i Herman Melville w *Gravity's Rainbow* Pynchona. Myślę, że w przypadku USA istnieją po temu pewne szanse. W każdym razie chciałbym w to wierzyć.

LECH BUDRECKI

P.S. Warto raz jeszcze podnieść zalety przekładu, który wcale nie był sprawą łatwą. I zalety przypisów. Zajmują kilkadziesiąt stron *Ciężkich pieniędzy*. Są nadzwyczaj rzetelne. I są nieodzowne. Bez nich polski czytelnik miałby znaczne trudności ze zrozumieniem co najmniej pewnych fragmentów tej książki. Jej fabuła osadzona jest przecież wyjątkowo starannie pośród amerykańskich realiów okresu międzywojennego.

L.B.

# recenzje

Nakładem wydawnictwa „Znak” ukazał się pierwszy oficjalny w kraju, poprzedzony edycją londyńskiego „Pulsu” i uzupełniony o „Elegię z Tymowskich gór” wybór wierszy Jana Polkowskiego. Doczekaliśmy się zatem jednego jeszcze nietypowego debiutu. Trudno się dziwić, skoro utrwalona w nim została biografia ułożona przez najnowszą historię. Skoro jej bohaterem jest „człowiek ery”, kolejny „kosmopolita”. Co gorsza wedle własnego samopoczucia, rzeczy mało podatnej na tzw. analizy, a przecież wpisanej w biogram

Wata – bądź z „Trybuny Ludu”. Słowa biblijnego psalmu – albo szyderstwo dwudziestowiecznej przypowieści, reżyserowanej przez kapryśną Anankę. Nieważne... W tej przestrzeni nie się od wieków nie zmienia, „każdą podłość można zrymować z Polską”. Tragiczny to i okrutny demokratyzm: wszystko nadaje się do kontynuacji, nakładają się wciąż tak samo nieszczęsne biografie, natrętne obrazy, ironia czyichś rad, przesłań, prorocत्व, metafor. Trudno od tej twórczości zresztą wymagać optymizmu – byłby oszustwem.

Małgorzata Łukaszuk

## To nie jest poezja

literacki, wydaje się Polkowski istotnie bratem młodszym tej generacji, która w latach siedemdziesiątych dokonała krytycznego bilansu dotychczasowej literatury, by w latach osiemdziesiątych przejść przez kolejne Czerwone Morze i – zmiernie nareszcie ku Liryce ulec przeobrażeniu.

Z kontestacji w Imię Prawdy i Społeczeństwa ducha Barańczaka, Zagajewskiego, Krynickiego, Karaska czy – Kornhausera, miała się zacząć ta twórczość. Oraz ze wspólnej – im i nam – lektury Herberta; z ethosu rycerskiego i przesłania Pana Cogito. Ze wskazań Miłosza wreszcie, który uczył młodych, o czym winni pamiętać, podczas gdy pierwsi lingwiści sugerowali im ponoć, jak pamiętać tę (wraz z wynikającymi z bezsilnego gniewu czy pogardy sankcjami moralnymi) w wierszu nowoczesnym zapisać. Jan Polkowski nie jest oczywiście lingwistą i nie eksperymentu à la Białoszewski należy się obawiać. Raczej – patosu, przebarwień, stygmatów, do których przyzwyczajały nas pokolenia uwikłanych w dylematy epoki intelektualistów. Jest przecież poeta krakowski powiernikiem starego Wata, Wierzyńskiego, Lechonia, Witlina, kolejnych po Herbercie i Miłoszu wspólnych naszych autorytetów... A wsłuchuje się on przecież w odleglejsze jeszcze naszępy przeszłości. Pielgrzymie, mesjańskie czy profetyczne toposy narodowe są w tej, tak silnie zorientowanej etycznie poezji, aprobowanym dziedzictwem. Dają wszak szansę porozumienia z to samo – tak samo – czytającym i pojmującym odbiorcą, stanowiąc przy okazji idealny punkt wyjścia dla sformułowania własnej, terazniejszej (mądrzejszej zatem) sentencji wyroku.

Tu faktycznie słychać Ich wszystkich. Książę i błazen, Hiob i Zagłoba każdy chory na Polskę, zarazy i porażony Polską, przypisany małej, skrywanej pod stopą, Ojczyźnie. To poezja „na temat”, poezja zamierzono-go cytatu i aluzji, parafrazy lub dyskursu, rozmów z duchami, z cieniami przodków i mistrzów o tym, co poezji naszej przystoi. A więc rozmowy o Prawdzie i Kłamstwie, Wolności i Niewoli, Dobru, Złu, Podłości, syndromie Poety i syndromie Niewolnika, pisarza czy odbiorcy złowionego w folklorze współczesności. Powiedziane przez Mandelsztama, Jesienina, Brodskiego – lub Mołotowa, Wasilewską. Cytat z Mickiewicza, Norwida,

Stawała się ona przecież (najdosłowniej w tomie *Ogień*) w miejscu nie-poetyckim, w więzieniu, w naszej „realności” szaleństwa czy schizofrenii, w kraju, „który jest jak błąd gramatyczny”. Rodziła się z tego, co od dawna literaturę rodzimą żywi, więc z gniewu, odrzy, doznanej krzywdy, niezawinionego cierpienia. Rozpięta między pokorą a tyrteizmem kiepskich Tyrteusz i Hektorów, równie nieudanych Don Kichotów i Hamletów, była manifestem wydziedziczenia, kastracji, pustki po świętej krainie Hölderlina. Musiała być opatrzona znakiem zapytania lub wprowadzona w nawias. Mogła być jedynie artykulacją braku, czy

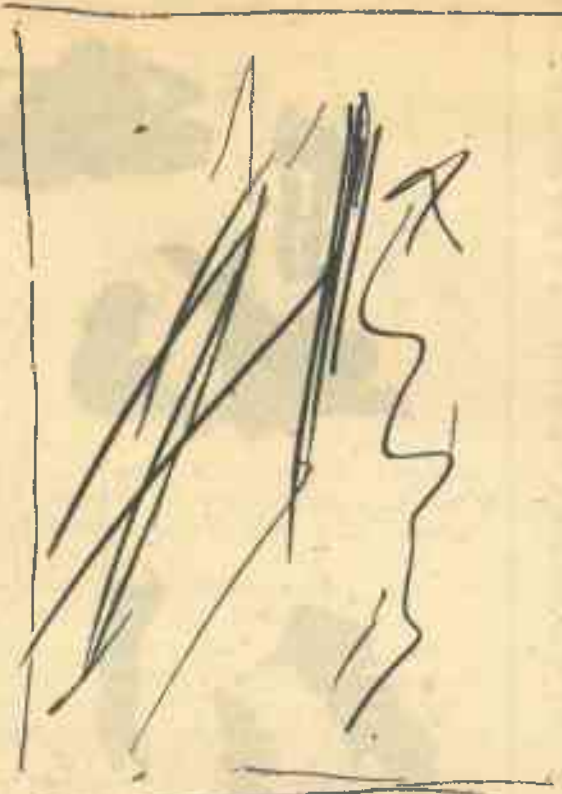
(czy neokatastrofizmowi) wychylonej poetce. Są ryzykiem wwikłania słowa, metafory, wyobraźni bądź w nihilizm, bądź w rzeczywistość nasyconą historią, urządzoną i zarządzaną przez tyranów i tyranobójców. Są zatem niebezpieczeństwem ponownego znieprawienia języka poezji. A w konsekwencji okazją do przyjęcia za własną powszechnie stosowanej aksjologii realizmu, aktualności, przylegania i prześwieclania, owego „zerowego poziomu”, o który zabiegano nieprzerwanie przez cały powojenny okres i tylko inicjatorzy czy sponsorzy poszczególnych kampanii się zmieniali.

Paralizujący wszelką tzw. poetyckość tzw. historyzm jest brutalnie cieleśną co prawda, ale przecież tylko – i na szczęście – maską, ponad którą (czy: drażąc którą) nazywa się świat i człowieka poetycko, więc odpowiedzialnie. Dając imię – powołując do istnienia. To z Miłosza: „co nie jest wymówione, zmierza do nieistnienia”. Jeśli klócimy się już dziś, a raczej – jeżeli jeszcze się spieramy o emploi autora

*Drzew*, to właśnie dzięki temu: te wiersze to przecież apologia Poezji! Ta poezja jest Poezją Możliwą, to jest akceptującą własną, niemodną poetyckość, komunikatywnie zadomowienie, troszczącą się często bardziej o „temat” niż niebawem dotąd organizację. No tak, po ważkich dokonaniach awangardowego formizmu, po lekcji Peipera-Przybosa, anachroniczna to nieco koncepcja, tyle tylko, że na tym anachronizmie daje się bezpiecznie i wiarygodnie uprawiać Poezję. Skoro wszystko zostało utracone w słowie, tylko poprzez Słowo – sakralne i pierwsze, bardziej niż „myśl” (czy rzecz) „materialne” jak pisze poeta – można odzyskać pewność siebie, świata, poezji.

W tej liryce dat, miejsc, nazwisk, wydarzeń i konkretno, liryce jakoby celebryckiej powszedniości (bo czysta) i zmierzającej do amorficznego brulionu (bo usprawiedliwiony zachowaniami współczesnej literatury), wszystko przed eksjologią doraźności i realizmu się broi. Nie dajmy się uwieść Polkowskiemu, gdy w metapoetyckiej głosie wymusza matrycę i uproszczenia pokoleniowych syntez. Trud cały, (wiwisekcja tego „co jest”), po to został podjęty, by spośród tumultu znieprawionych słów wydobyć te ważne, niezniszczalne, odwieczne i pewne, ahistoryczne zatem. To nie powszechnie głosząca inercja mitu i zastępujące dawne sacrum reizmy, minimalizmy, liturgie codzienności czy rupieciarstwo każą Polkowskiemu parafrazować słowa Księgi (śródziemnomorskiej księgi i Księgi (Narodu i Pielgrzymstwa) oraz angażować w tekst własny ich symbole. Polkowski używa Słów niczym starych, magicznych zaklęć, tajnych inkantacji dostępnych wybrany. To Poeta-kapłan, prorok, wieszcz, który wie, jak brzmią Słowa pierwsze i ostatnie. Rozpoznanie siebie – Człowieka-Poety możliwe jest przeto jedynie w tautologiach, w wielości, głos uzupełnień

parentycznych, które niczego oczywiście nie wyjaśnią dziś, tu i teraz. Kobieta (karmiąca, brzemienna), Syn, Matka, Ptaki, Wozy, Pusta Ulica, Spacerujące Lasy, Dom, Kościół to żaden konkre! Żaden Łądek-Zdrój. Żadne wybory do Rad Narodowych. To elementy umownego, wymyślonego dużo wcześniej pejzażu po (czy przed?) Apokalipsie (stad siarka i chlor), Piekla na Eliotowskiej Ziemi, Semper Pamięci Ludzkości. To ustanawiane – na użytek własnej wyobraźni i męskiego intelektu



Nieborów, wykrót w lesie

JACEK SEMPOLIŃSKI

lepiej – uświadomieniem sumy wszelkich potencjalnych i już w liryce zrealizowanych nieufności. Poczynając od najważniejszej z nich, wcale nie odkrytej przez nasze stulecie, nieufności do języka, niewiary w słowo, więc i w nadbudowane nad nim i z niego systemy kultury, mitu, samej poezji wreszcie. Aż po finalne „nie można”, „nie istnieje”, „nic”, „nicosć”, „nikomu”, „niczemu”, obcy kraj, obce twarze, obca mowa. Podobne formuły negacji towarzyszą każdej ku katastrofizmowi

– pojęcia; winno się je pisać z wielkiej litery, nawet wtedy, gdy naprawę z rzeczywistości zostały wywiedzione. Niczym się one nie różnią od pojęć abstrakcyjnych, od Przeznaczenia, Przekleństwa, Miłości i Śmierci, Samotności i Poniżenia.

Jan Polkowski jest bowiem jednym z tych, ponoć coraz liczniejszych współczesnych naszych poetów, którzy na serio, mądrze, nie asekurując demiurgicznych czy prorockich kreacji autoironią, układają opowieść quasi-genezyjską, przwracając Poezję największe jej mity, a nam wracają wiarę w poważne uprawianie Poezji i profesjonalizm. Dyskretna troska o strukturę przekształca wiersze w baśnie, litanie, przypowieści i aforyzmy. Postaci, zdarzenia, rzeczy okazują się figurami parabol i dopiero w jej dwupoziomowej anegdocie znaczą, osaczone przez migotliwą pajęczynę egzegez, prefaktów, symboli najświętszych i o najpełniejszej sile absorpcji. Wypowiedane „w narzeczu zagłady”, sprofanowane, przedłużone o dzisiejszą, niechlubną zawartość znaków tradycji, są i tak jedynymi, od których można konstytuować świat na nowo i dla siebie. Sprawdzone raz jeszcze, warte są intelektualnego skrótów czy fabuły. Jak symbol chleba, ognia, krzyża, napisu na ścianie, doliny Jozafata, Syna Człowieczego, Wielkiej Obietnicy... Jak obraz domu, arcyarchetypu, Bachelardowskiej „przestrzeni sławionej”, przeniesionej „w siebie” z zagłady: jesteśmy w nim, yale i on jest w nas (i dalej – Żona, Dzieci, Matka... kot z fotografii). Cała reszta to atrakcyjna zapewne, ale ledwie mgławica fenomenów, które poza potencją gromadzenia metafor i ewokacji, żadnej ocalającej funkcji nie spełniają. U-finału poczętej z nich pracy wyobraźni aż nazbyt wymowny „strzał w tył głowy”; u końca owego „widzę i opisuję”, z hiperrealistycznych interpretacji – cęla. Z nich, o ile nie zostaną włączone w prywatną mitologię, Poezji nie dałoby się odtworzyć. Co najwyżej można sprytnie diagnozować historię, wydawać ucziwy wyrok, przedrzeć nią innowacje nowomowy. Polkowski wie, że Poezja zaczynać się powinna od uroczystego tańca w jaskini Lascaux, od obrzędu, od uświadomionego uczestnictwa w przestrzeni symbolicznej i przyjęcia odpowiedzialności za odnawianie jej każdorazowym wyborem, za prokreowanie czy naśladowanie prągu Stwórcy oddzielającego Ciemność od Światła i czyniącego świat z miłością, więc poetycko...

Powiada się, że racją nowoczesnej ars poetica jest cielesność, sensualizm, minimalizm, antyromantyzm, ostateczne porzucenie rojeń o zglębieniu tajemnicy Bytu czy Historii, asceza metafory, wstyd liryki. Gdy Polkowski pisze o poezji „czystych przedmiotów”, dodajemy: to Heidegger, to „Ding an Sich” fenomenologii. To *Wstęp do kamienia i Po stronie rzeczy* Francis Ponge’a. To plagiat. Herbert miał szufladę, Karpowicz – stół i nóż, Grochowiak – pogrzebacza, Czycz – zegar, Herasymowicz – windę. A są jeszcze Urszula Koziół, jeszcze Kuriata, Małgorzata Hillar. No i mistrz Białoszewski, z piccem, podłogą, makatką, matracem, krzesłem, parasolką (ulubione notabene rekwizyty Kantora), kluczem, łyżką durszłakową, burakiem... ułożonymi w „Sztuki piękne mojego pokoju”. Przy nich rupieciarzni Polkowskiego wygląda niepozornie. Kiedy jednak Polkowski tytułuje swój tekst „Strumień wieczności”, kiedy w poincie wyjaśnia: „to stanie się poezji, pierwszy obrót ziemi” (znów Białoszewski!), gdy w „Świecie prostym jak sen dziecka” (to Miłosz) dokonuje tej samej, bo kosmogonicznej paraleli, kiedy tłumaczy poprzez Rilkego, Trakla, Hölderlina, Pounda „podwójne istnienie przedmiotów – żadna to już skromność metonimii, żadna redukcja według Ponge’a. I żaden minimalizm.

Te wiersze, o których Jan Błński pisał, iż są palimpsestami cierpienia, to jakże często arcydziełka poetyckiego kunsztu, magicznej tautologii, lirycznego, czyli łagodnego paradoksu, retoryki powtórzeń czy pytań nawet. Spisywane z myślą o niedozwolonych już Wyspach Szczęśliwych i utraconych Ogrodach Hesperyd, otwarte ku malarstwu i muzyce, urabiane w modlitwy, suplikacje, psalmiczne przekleństwa-błogosławieństwa-prośby. Wiersze uroczyste, wiersze-wizje, stylizowane, z archaiką składni, z biblijną proweniencją. Byłoby naiwnością wierzyć Polkowskiemu, gdy w autocharakterystyce oznajmia, że jest poetą „pokornym”, unikającym metafory, „bez cienia chęci, by powiedzieć coś więcej”. Po pierwsze – to cytat. Po drugie – z konkretnego, z widzianego czy zapamiętanego powstaje za ledwie erzac świata. Tu metafora jest konieczna – ona przemieni fragment prawdopodobnego świata w jego poetycką syntezę. Inaczej po prostu się nie da. Elipsa, oksymoron, paradoks, rygor intelektu i selekcji, pointa – owszem. Ta poetyka nie znosi wielosłowa i logorei, stroni od baroku. Trudno zresztą się dziwić – takie wiersze to ulubiona forma dojrzałych, przestoczonych poetów, Pawlikowskiej, Miłosza, Grochowiaka, Iwaszkiewicza, Krynickiego. I Kornhausera. To szansa uczestnictwa wraz z Nimi w przestrzeni kulturowej, szansa opanowania przestrzeni semiologicznej, hierarchizacji emocji bez wyrzekania się liryzmu. Jak w *Elegiach*, gdzie każda z miniatur jest doskonale i poza hipotetycznym impulsem samowystarczalna, wypelniona tajemną inskrypcją, która niczego – nawet biogramu – z zewnątrz nie chce i nie musi już dokumentować. Mimo iż niekiedy o donos z rzeczywistości zostanie poszerzona lub od niego zainicjowana.

Polkowski zawierając swoją z nami umowę, proponuje bowiem nie tyle szczerą spowiedź czy naiwny ekshibicjonizm. Kunszt maski, kostiumu, gry, aktorstwa – oto atuty. Ani dziur, ani protokół ze świata, nawet nie dziecięca radość z istniejącego mimo wszystko piękna. Raczej – satysfakcja z uprawiania Poezji i satysfakcja z „męskich” efektów poetyzowania. Pewność tego że jest się Poetą, pewność Poezji – Wielkiego Porównania, Najdoskonalszego ze Smutków, Najuroczystszej Fikcji.

# Amerykane

Tę prawdę poznano dopiero w naszym stuleciu: zasadnicze zmiany w sztuce dotyczą stylu, lecz sensu; zmieniają się nie formy, ale samo rozumienie tego, czym sztuka jest. Ortega y Gasset rozpoczyna sztukę nowożytną „malarstwo dla malarzy”, itp. – od wyniosłego i zagadkowego Velázqueza.

Za dzieła sztuki uznawano najpierw obrazy, rzeźby i przedmioty piękniejsze niż inne, potem zwrócono uwagę właśnie na te inne, a jeszcze później w ogóle przestano mówić o dziele sztuki. Wtedy to Beuys powiedział słynne zdanie: „Jeder Mensch ist ein Künstler” („Każdy człowiek jest artystą”). Szukał alibi w masie, w tłumie? Każdy, a więc kto? Taki sąd zwalnia od odpowiedzialności za „dzieło”. Twórcie sami, a jeśli nawet nie nie zrobicie, to również będzie sztuka. Ta swoista teleologia przyzwolenia ostatecznie zagubiła sens rzeczy dobrych, a wszystko to dokonało się najpierw w głowach. W umysłach ludzi. Sztuka to coś mentale, tak chciał Leonardo, ale jego myśl doprowadzono do absurdu: teraz wystarczy sam pomysł, trochę śmieci, trochę bałaganu, trochę hałasu. Nastała epoka artystów-bez-dzieła:

Jeśli wierzyć teoretykom, jesteśmy dziś świadkami kolejnej przemiany: sztuką jest znowu to wszystko, co można wskazać palcem. Ta nowa sztuka przywraca poniekąd rzeczywistości jej wymiar tragiczny, ale czyni

to w sposób ptasi: ożywia świat spłoszonym spojrzeniem kury. To, co powstaje – niezborne i migawkowe – nie musi być oglądane. Dla tej sztuki widz nie jest potrzebny. Artysta ma sprawę nie z Bogiem, nie z rzeczywistością, lecz z samym sobą. W tym wstydlivym zmaganiu się z res extensa, materia niejasną i rozciągliwą, każdy widz jest po trochu intruzem. Uwierzyłbym w sens tej nowej sytuacji (której znakiem są też rzeczy na tej wystawie), gdyby nie pewna osobliwość: otóż blahości nowej sztuki, jej motyli niepokój i lęk, całe to niespełnienie, sprawia się po jubilersku i pokazuje jako zadbane i bogate, syte i zadowolone z siebie. Na wystawie w Muzeum Narodowym wygląda to tak, jakby pustkę przystłonięto kryształową szybą i zamknięto w hojnie złożone ramy. Guzik w złotej oprawie.

Ta sztuka nie potrzebuje odpowiedzi na pytania istotne, bo nie stawia sobie takich pytań. To malarstwo (we wszystkich swych postaciach) utraciło dawne znaczenie społeczne, przestało być ważne dla ludzi. Zagubiło wewnętrzne poczucie swego sensu i zamknęło się w pracowni zagubionego wyrobniaka. Spotkał je los poezji; stało się bezbronne. Jak muzyka uciekło w chaos, w tautologię bezładu. Bohaterski i obrazoburczy jest dzisiaj porządek. Jak pięćset, jak tysiąc lat temu. Czyżby znowu wszystko trzeba było zaczynać od początku?

Rajmund Kalicki

*Sztuka amerykańska późnych lat osiemdziesiątych* – wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie przygotowana przez Institute of Contemporary Art oraz Museum of Fine Art w Bostonie; wystawa trwa do końca listopada br.

## Pusty namiot sztuki

Gdyby przyjąć, że wystawa *Sztuka amerykańska późnych lat osiemdziesiątych*, czynna w warszawskim Muzeum Narodowym jest w pełni reprezentatywna dla obecnej twórczości plastycznej w Stanach Zjednoczonych, to wnioski z niej płynące byłyby bardzo pesymistyczne. Oczywiście nie myślę tu o walorach samego rzemiosła, precyzji warsztatu czy dojrzałości koncepcji, bo te u dwudziestu sześciu wystawiających artystów są perfekcyjne. Myślę o tym, co z ich twórczości zdaje się wynikać.

Nie w tym rzecz, że sztuka ta nie przynosi nowych pomysłów formalnych czy stylistycznych. Epoka wielkich przemian skończyła się już przed kilkunastu laty, osiągając kres swoich możliwości i kompromitując równocześnie – przynajmniej na czas jakiś – ideę nowatorstwa jako podstawowej wartości. W jej miejsce przywrócono stare kategorie piękna, wyrazu, intelektualnego i emocjonalnego sensu, tradycyjnych sposobów określania i komentowania świata.

Na wystawie została więc zaprezentowana twórczość programowo eklektyczna. Różnorodność ta to efekt łączenia w niejednakowy sposób i w różnych proporcjach ekspresyjnej abstrakcji, pop-artu, minimal-artu i konceptualizmu oraz posługiwania się środkami z nich wywiedzionymi w sposób biegły, swobodny i dojrzały. Eklektyzm jest cechą sztuki naszego czasu i wydaje się całkowicie naturalny wówczas, gdy wraca się do zapomnianych wartości. Usprawiedliwiony jest jednak tylko wtedy, gdy istotą powrotów jest poszukiwanie głębszego znaczenia, a nie wtedy gdy traktuje się je jako wartość samą dla siebie. Gorąca abstrakcja, minimal-art, a zwłaszcza konceptualizm miały u swego podłoża pytanie o sens sztuki: pojęcia, kulturowego fenomenu, ludzkiego działania. Decydowało to o ich dramatycznej, eschatologicznej w istocie wymowie. Jednak kontynuacja, nawet w formie ironizujących odniesień, choć przywraca porządek, wyrzekając się samej koncepcji zmiany, nie jest i nie może być nośną dla podstawowych wartości, bo istotą sztuki okresu przemian była redukcja, ogranicze-

nie, oczyszczenie, zawężenie. Na tym zdaje się zresztą polegać jeden z głównych dylematów postmodernizmu.

Dlatego też oglądając wystawę widzimy wyraźnie, jak niewiele może wnieść – poza czystą żonglerką znanymi sposobami i chwytami – kojarzenie, sumowanie i przetwarzanie elementów sztuki lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Mało więc wynika z faktu, że Robert Gober zamiast jednego pisuaru pana Mutta proponuje dwa pisuary nowoczesne, a zamiast małżeńskiego łoża – łóżeczko dziecięce, przywołując tym samym i Duchampa i Oldenburga; że Tishan Hsu wykonuje piękną abstrakcję typu informel, wplatając w nią samochodowe zderzaki, bezkolizyjnie łącząc ją tym samym z pop-artem; że Mike Kelley przetwarza nasyczone treściami społecznymi i politycznymi *environnements* Kienholtza w ironizowanie z obrzędu picia piwa; że Amiette Lemieux, jeszcze raz prezentując „przedmiot gotowy” w innym materiale, wybiera kapeluszy i jego opakowanie; czy że Jeff Koons ponownie powiększa stereotypowe straszdelka-zabawki tym razem w ceramice, którą znakomicie potrafi naśladować plusz; a Mey Webster znowu wycina i przenosi na wystawę kawałek ziemi, być może demonstrując szlachetną myśl ekologiczną. Zresztą myśli jest czasem nieco więcej, czasem nieco mniej; więcej na ogół u tych artystów, którzy posługują się fotografią. Obok poważnych odniesień i do kondycji ludzkiej, i do problemów społecznych, napotyamy tu jednak – pod wpływem konceptualizmu właściwie zbędne ilustrowanie fotografiami znaczącymi tekstów, bądź – zbyt liczne tekstowe uzupełnienie znaczących fotografii.

Jest na wystawie jedna praca, która stanowi niezamierzone jej podsumowanie. Tony Labat z obrazów-pastisów sztuki XIX i XX wieku, zarówno tej wielkiej jak i małej zbudował namiot; pusty w środku namiot sztuki. Sądzę, że pomylił się, jeśli myślał o współczesnej sztuce jako całości, nie pomylił się jednak, jeżeli myślał o sztuce, która na wystawie jest prezentowana jako sztuka amerykańska późnych lat osiemdziesiątych.

Maciej Gutowski

film

LEON GUZ. *Targowa 64*. Dziennik 27 I 1943–11 IX 1944. Czytelnik Warszawa 1990.

□ □ □

To ludzie prości, zwykli, najrzetelniej opowiadają o zbrodni. Leon Guz jest świadkiem zbrodni niepojętej – zagłady Żydów. Osobisty dziennik cudem ocalonego jest wielką księżką. Prostota przystoi tragedii.

W.T.

Nakładem  
działającej przy TYGODNIKU LITERACKIM  
Oficyny Wydawniczej PLEJADA  
ukazał się

*Dziennik pisany nocą 1984-1988*  
GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Pierwsze wydanie  
w Instytucie Literackim w Paryżu w 1989.  
Pierwsze wydanie krajowe  
(w dwóch woluminach)  
proponuje Państwu PLEJADA

Gustaw ..  
**Herling-  
Grudziński**

Plejada

**Dziennik  
pisany nocą**  
1984-1988

Nie jest to pamiętnik, a zapis codziennych duchowych zmagania z historią spuszczonej za łańcucha. Niespieszny neapolitański przechodzień pisze ten dziennik z perspektywy więźnia cywilizacji totalitarnej – jakby nie wyszedł do końca poza obozową zonę. Jego słowa, twarde i oszczędne, mają w sobie sekret ludzkiej mowy uformowanej na więziennych spacerkach, w zasięgu strzału z wieżyczek strażników koncentracyjnych obozów.

Adam Michnik

*Dziennik pisany nocą* jest książką człowieka, który wiele razy wkraczał w ogień i przeżył. Autor *Dziennika* jest tu zawsze nieco z tyłu. Mówi o sobie jedynie niebezpośrednio. Jego książka jest bardziej suitą medytacji i dociekań niż autoanalitycznym esejem. Jeśli ktoś mówi – nierozsądnie – że *Dziennik pisany nocą* jest książką o życiu pisaną przez kogoś, kto nigdy nie zapomina o śmierci, to ryzykuje sformułowanie całkowicie fałszywej opinii na temat tych stron tak żywych, tak przeszywających, tak odważnych i tak śmiałych (...) Herling przywiązuje uwagę do wszystkiego, do wielkich wydarzeń (opis jego pobytu w miasteczku zniszczonym przez trzęsienie ziemi jest fragmentem niezwykłym) i drobnych epizodów. Osiąga równowagę ducha bez zniecierpliwienia. (...) To, o czym pisze Herling, nigdy nie jest poświęcone tylko literaturze, nawet wówczas, gdy mówi on o Cwietajewej czy Orwellu, Kafce lub Conradzie. A są to słowa zawsze precyzyjne i głębokie, wypowiedziane z prostotą tego, kto wie, co ma znaczenie, i kto wie, co się nie liczy.

Claude le Roy  
„Le Nouvel Observateur”

## przeгляд zagraniczny

W 13 numerze „The Economist” (19 X 1990) ukazał się wywiad z JOSIFEM BRODSKIM, którego fragmenty poniżej publikujemy.

„The Economist”: *Od wielu już lat mieszka Pan poza Rosją. Jak się Pan czuje, rozwiedziony z ojczystym językiem?*

– Josif Brodski: Mniej niepewnie teraz, niż przez pierwsze dwa tygodnie mego pobytu w Wiedniu. Pewnego dnia szukałem rymu po rosyjsku i pytałem sam siebie: czy to możliwe, żeby nie było takiego rymu? Czy zaczynam już zapominać własny język? Jest takie czeskie porzekadło, odnoszące się dokładnie do opuszczania stron rodzinnych: „Jeśli mnie opuścisz, to się skończysz”. Bardzo to czeskie, ale też bardzo rosyjskie. Stopniowo jednak obawa mnie opuszczała.

jest matką etyki. Pospolitość zaś jest ostatecznym rezultatem błędnych wyborów moralnych. Zło jest wulgarnie.

*Pisał Pan o mnemonicznej sile poezji.*

– Poezja, abstrahując od faktu że Rosjanie wciąż uczą się jej na pamięć, w istocie nie podnosi człowieka na duchu. Po prostu nie dopuszcza do ostatecznego pogńębienia jednostki.

*Czy wróciłby Pan do życia w Rosji?*

– Wątpię... Nie jestem bumerangiem. Nie jestem nawet wahadłem. Przez całe życie zależało mi, aby uniknąć – by powstrzymać się – od podróży i od melodramatu. Poza tym nie ma możliwości powrotu do czegokolwiek. Czy mam zacytować Heraklita? O tym, że nie wchodzi się dwa razy do

## Niech czytają Prousta

Zazdroszczę moim rodakom nie tylko tematów, ale także sposobu ich wyrażania, na przykład użycia żargonu, za którym osobiście nie przepadam, ale który bywa użyteczny. Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że wszyscy ulegliśmy praniu mózgu, którego rezultatem jest przekonanie, że poeta powinien posługiwać się językiem ulicy. Myślę, że to jest odwrotnie. To nie ulica tworzy język literatury, lecz literatura wpływa na język ulicy. Cóż, może przemawiam jak mól książkowy...

*Nazywał Pan tradycję poetycką salonowym obciążeniem dla współczesnego poety.*

tej samej rzeki? Nawet gdyby miały to być wody Newy.

*Lektura opublikowanego ostatnio manifestu Solżenicyna pozwala przypuszczać, że szykuje on sobie grunt do powrotu do Rosji.*

– Nie wiem i nie rozumiem o co mu chodzi. A tekst był głupi, był po prostu makulaturą.

*Dlaczego makulaturą?*

– Mam na myśli pomysły dotyczące państwa rosyjskiego. Być może jest możliwość zorganizowania kraju jednolitego etnicznie... ale ta jednolitość jest uwarunkowana niewielką przestrzenią i niewielką liczbą ludzi. Wprowadzenie ekonomii rynkowej czy nawet demokracji nie jest wcale uniwersalnym rozwiązaniem. Nie, budowanie państwa wedle kryteriów narodowych jest czystą iluzją. Każdy teraz zajmuje się projekowaniem, a ja uważam, że pisarz powinien być ostatnią osobą angażującą się w tego typu praktyki. Planowanie nie istnieje. Trzeba zdawać sobie sprawę, że w perspektywie mamy chaos i należy się tylko modlić o trochę umiarkowania, o trochę powściągliwości.

*Więc nie ma szansy uniknięcia podziałów?*

– Jest taka możliwość. Ktoś powinien mówić zupełnie szczerze o przyszłości, ktoś, o kim można sądzić, że jest moralnym autorytetem.

*Może Solżenicyn ma się za taką osobę. A może Pan?*

– Ja się za kogoś takiego nie uważam. Poza tym w ogóle nie byłbym wysłuchany, bo przecież jestem Żydem.

*Czy to powinien być poeta?*

– Jeśli poeta, to taki, co pisze rymy ze spiżu. Nie wiem... Gdybym ja był przy władzy, to kazałbym wszystkim „Prawdom” i „Lzwistiom” drukować Prousta, żeby cały naród mógł go przeczytać. Prousta, a zaraz potem Musilę, tego geniusza niepewności. Byłaby to lepsza edukacja sentymentalna dla kraju niż nie kończące się przemowy rodaków.

*Wiadomo, że jest Pan osobą wyjątkowo strzegącą swej prywatności. Czy Nagroda Nobla była w tym utrudnieniem?*

– Od początku było źle, a z czasem coraz gorzej. Jedno co dobre to to, że otrzymując nagrodę byłem stosunkowo młody. Gdy człowiek jest starszy, ma więcej rutyny, za którą idzie pewność bez pokrycia. I wtedy zaczyna pouczać.

*Czy życie w Ameryce wpłynęło jakoś na Pański wewnętrzny przymus pisanie poezji?*

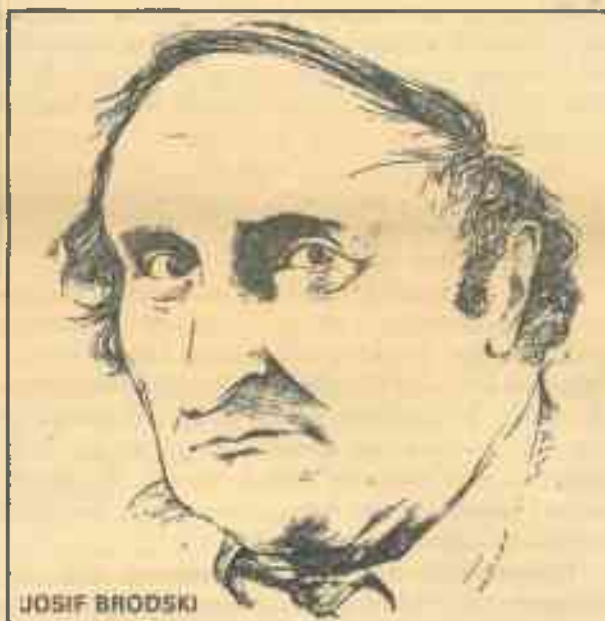
– Zupełnie nie.

*A czy żyjąc w kraju o represyjnym reżimie odczuwa się ten przymus bardziej?*

– Nie. Myślę, że człowiek pisze, bo lubi pisać. Iluż to grafomanów pęta się po tym świecie, czy jest on represyjny, czy nie. Na jakość twórczości to również nie ma wpływu. Mieliśmy w Rosji wspaniałych poetów, ale ich kariery przeważnie rozpoczęły się dobrze przed społeczną rewoltą 1917 roku. Mówię o tych, którzy są tak szalenie popularni na Zachodzie – o Pasternaku, Cwietajewej, Mandelsztamie, Achmatowej. Wszyscy urodzili się pod koniec XIX wieku. W istocie, biorąc pod uwagę to, co się stało w Rosji, ich poezja powściągliwie odnosi się do tego tematu, mówi o nim nie wprost.

Ponieważ mieszkam teraz w Ameryce, nie ma sensu rozważać co by było, gdybym został w Rosji. Być może pisałbym więcej, a może bym wcześniej umarł, zważywszy na mój stan zdrowia. I jeśli ktoś uważa za właściwe mówić o Ameryce jako źródle rozkładu, miejscu, które skłania do lenistwa, do duchowej dezintegracji... to ja odpowiem, że leniwość jest się zawsze na własny rachunek.

Tłumaczyła Hanna Baltyn



JOSIF BRODSKI

JACEK GAWŁOWSKI

– W moim odczuciu ta tradycja budzi o wiele większy strach niż oderwanie od ojczystego języka. To strach, że coś, co wymyśliłeś, już ktoś przed tobą powiedział. Ja na przykład wyrosłem w kraju, w którym informacja o tym, co dzieje się w kulturze Zachodu była bardzo ograniczona.

*Podkreśla Pan również umiłowanie książek w Rosji w latach trzydziestych i czterdziestych. Książki wielbiono wówczas jak świętość. Czy ten stosunek do książek zmieni się wraz z ogólną liberalizacją?*

– Nie sądzę. Rosjanie i to dobrze świadczą o nich (czy może o nas) odczuwają ogromną tęsknotę za zachodnią kulturą i pic tego nie zmieni. To jest żarłoczność na każdy przejaw cywilizacji teologii, filozofii i im podobne. Jest to wynik położenia geograficznego. Rosjanin zainteresowany tym i owym, zawsze podejrzewa, że istnieje poza jego zasięgiem jakaś prawda absolutna. To nie jest to samo, co absolutyzm duchowy – jeśli już, jest to raczej duchowy kompleks niższości co, w moim przekonaniu, jest wspaniałą postawą w każdym wymiarze egzystencji. To najpowszechniejsza cecha mego narodu. Co mi się teraz nie podoba, to pojawienie się nowego typu Rosjanina, który uważa się za równego, powiedzmy, Niemcowi.

*Trudno chyba wyobrazić sobie Anglików traktujących poezję z równie moralną powagą i zaangażowaniem jak Pan.*

– Tu nie chodzi o moralną powagę. Choć można się doszukać i moralnej powagi i zaangażowania, to przede wszystkim chodzi o zaangażowanie i powagę natury estetycznej, co jest o wiele ważniejsze. Uważam osobiście, że estetyka

# Ratować Rosję

Nie ma cienia wątpliwości, że bardzo trudno opracować choćby pobieżny przegląd sowieckiego życia literackiego i kulturalnego ostatnich kilku miesięcy. Życie literackie Rosji jest dziś takim samym chaosem jak cała Rosja, a nad chaosem trudno zapanować i trudno go opisać. Mimo to będę usiłował wylowić zeń to, co istotne. Dziś część pierwsza, niebawem ciąg dalszy.

Swego rodzaju alegorią Sowietów A.D 1990 może być leningradzki Ermitaż. Jak donosiła jeszcze w sierpniu Elwira Gorczakowa, korespondentka „Sowieckiej Kultury” (nr 33 z 18 VIII), muzeum dosłownie się rozpada: z ram okiennych wypadają szyby, tynki osypują się ze ścian, kolumny są odrapane, eksponaty niszczone. I wszystko to, mimo nakładów finansowych idących w miliony rubli i nieustających remontów. Ermitaż – o czym autorka już nie wspomina – jest muzealnym imperium, powstałym tak samo jak imperium rosyjskie, a potem sowieckie, dzięki najazdom i grabieżom i dziś tak samo jak ono rozpada się w proch wskutek całkowitej nieudolności organizacyjnej zdobywców.

Jak ratować Ermitaż? – pyta Elwira Gorczakowa. „Jak odbudować Rosję?” – pyta w słynnym dziś już memoriale Aleksander Solżenicyn („Litieraturnaja Gazieta” nr 38 z 18 IX).

Memoriał Solżenicyna jest na pewno najważniejszym tekstem publicystycznym i politycznym, jaki ukazał się w sowieckiej prasie, od początku tak zwanej pierestrojki. Założenia politycznego programu pisarza znamy już z relacji dziennikarskich. Pokróćce: domaga się on przyznania niepodległości wszystkim republikom nie-słowiańskim, chciałby natomiast zatrzymać przy Rosji Białoruś i Ukrainę. Nowa Rosja powinna zrezygnować z prowadzenia polityki globalnej i ustanowić „normalne” stosunki gospodarcze z krajami postkomunistycznymi. Pozwoli jej to okrzepnąć politycznie, wzmocnić się gospodarczo i odrodzić moralnie. „Najwyższy czas dokonać ostatecznego wyboru: między imperium – zgubnym przede wszystkim dla nas samych – a duchowym i materialnym ocaleniem naszego narodu.”

Memoriał Solżenicyna nie mógł, naturalnie, przejść bez echa. Dość prędko (nr 40 z 3 X) „Litieraturnaja Gazieta” zamieściła kilka wypowiedzi ustosunkowujących się do wystąpienia wielkiego pisarza. I tak, publicysta Jurij Czerniczenko zwracał uwagę, że niezależnie od treści memoriału, istotny jest sam fakt włączenia się Solżenicyna do trwającej w ZSRR dyskusji. „Jestem głęboko wdzięczny Solżenicynowi, rozczulony i wzruszony zaimkami »my«, »nasze«, »nas« pojawiającymi się w rozważaniach o naszych sprawach (...) Rosyjska myśl społeczna byłaby bez Solżenicyna kwadratem bez jednego boku, naczyniem bez dna. Dziękuję za »my«”. Artykuł znanego duchownego prawosławnego, ojca Gleba Jakunina, „On budzi naszą myśl” pozwala jeszcze lepiej zrozumieć, jak wielkie znaczenie ma dla Rosjan publikacja rozprawy Solżenicyna. „Zainteresowanie słowami wielkiego człowieka jest tak nadzwyczajne, że wielomilionowe nakłady czasopism (oprócz „Litieraturnoj Gaziety” tekst Solżenicyna drukowała również „Komsomolskaja Prawda”) okazały się zbyt niskie i nawet u nas w Radzie Najwyższej Rosji widzę w rękach czytających kserokopie”. Za nader trafne uważa Jakunin spostrzeżenie, że choć komunizm upadł, pozostał kult imperium i właśnie antyimperialny ton wypowiedzi Solżenicyna najbardziej go cieszy. Wielki pisarz poświęca wprawdzie zbyt mało miejsca sprawom Kościoła Prawosławnego, ale niewątpliwie ma rację stwierdzając, że Cerkiew to strefa nie tknięta przez pierestrojkę: „...nie istnieje drugie środowisko – przyznaje Jakunin – w którym KGB, KC KPZR i jego służby ideologiczne tak by się panoszyły, tak komenderowałyby i tłumili każdą autentyczną inicjatywę”.

Więcej uwag krytycznych odnajdziemy w artykule Starowojtowej „Odpowiedzialność narodu”. Solżenicyn, jej zdaniem, nie rozumie roli, jaką w życiu społeczeństwa sowieckiego odgrywają uczucia narodowe, w szczególności lekceważą aspiracje Ukraińców, których poczucie kulturalnej odrębności jest silniejsze niż sądzi. „Wielu delegatów ludowych z Ukrainy nie zgodziłoby się na proponowane przez Solżenicyna przystąpienie do Związku Rosyjskiego. Nawiasem mówiąc, należałoby go raczej nazwać słowiańskim, bo w przeciwnym razie sama nazwa zakłada dyskryminację.”

Najbardziej pesymistycznie, rozpaczliwie wręcz brzmi głos prozaika Wiczesława Kondratjewa („Znowu jak w siedemnastym?”, „Litieraturnaja Gazieta” nr 43 z

24 X). Pisze on o swej młodzieńczej fascynacji pierwszymi dziełami Solżenicyna (zapoczątkowały one proces duchowej regeneracji narodu), lecz jednocześnie prawie nie widzi dla Rosji dróg ratunku. Tylko naiwni mogą uważać „Jak odbudować Rosję” za „receptę polityczną”. Autor *Archipelagu GULag* przez tyle lat przebywający na emigracji wyraźnie idealizuje swą ojczyznę. „Tymczasem – pisze Kondratjew – sytuacja jest tak skomplikowana, tak ciężka, zabrnęliśmy w takie bagno, że wydobyć się z niego jest nie tyle niewiarygodnie trudne, co, obawiam się, prawie niemożliwe”. Solżenicyn pokłada zbyt wiele nadziei w odrodzeniu religijnym. W rzeczywistości sprowadza się ono na razie do odrodzenia tradycyjnych obrzędów, nie zaś autentycznej duchowości. Chaos społeczny w Rosji osiągnął już takie rozmiary, że ludzie gotowi będą wkrótce zaakceptować każdą władzę gwarantującą minimum porządku. Wszystkie siły reformistyczne i „postępowe” powinny zjednoczyć się dla ratowania kraju, toteż prawdziwym przekleństwem jest rozbić inteligencji na grupowania polityczne, które wciąż nie przestają się dzielić. „Partia demokratyczna, socjaldemokratyczna, liberalno-demokratyczna, jest ich bez liku... I po cóż to? Komu to potrzebne?”

Memoriał Solżenicyna i sprowokowane przezeń polemiki należy umieszczać na tle zataczającego coraz szersze kręgi sporu o dziedzictwo i przyszłość kultury rosyjskiej. Ciekawą próbą uchwycenia specyfiki tej dyskusji jest szkic znakomitego włoskiego rusycysty Vittorio Strady „Nowy stary spór” („Litieraturnaja Gazieta” nr 30 z 25 VII). Strada (obok J. Etkinda, G. Nivata i J. Sermana, współautor siedmiotomowej „Historii literatury rosyjskiej”, wydawanej właśnie we Fran-

artykuł niepolityczny

## Leiris

Dwa miesiące temu (30 września) zmarł Michel Leiris. Najbardziej dyskretny z odchodzących francuskich świadków stulecia. Przyjaciel André Bretona, George’a Bataille’a, z którym założył w roku 1929 pismo „Documents”, i Rogera Caillos, z którym (i z Bataille’m) ufundował Collège de Sociologie w 1937. Przyjaciel Maurice’a Blanchota i Claude Lévi-Straussa, Francisca Bacona i Pabla Picassa, Alberto Giacomettiego i André Massona, uczestnik zjazdu „postępowych intelektualistów” w Hawanie w roku 1968 i monarchista, ubolewający nad ciężkim losem hrabiego Paryża. Etnolog, poeta, introwertyk, strzegący zazdrośnie własnych „reguł gry”.

Miał osiemdziesiąt dziewięć lat i nie mógł oddychać. Chociaż kilka miesięcy wcześniej wybrał się jeszcze do Grand Palais, by obejrzeć donację Jacqueline Picasso. Chociaż podpisywał petycję przeciwko wojnie w Algierii i popierał czerwony maj na bulwarze Saint-Michel, potrafił ocalić coś w rodzaju cichej niewinności. W końcu tytuł pierwszego tomu jego gigantycznej autobiografii *L'Age d'homme* przejęło wydawnictwo Dimitriewicza, dobre (choć przebiegłe) i bez lewicowych odchyłań, a tytuł innego dzieła: *La Règle du jeu* – nowy periodyk ogólnohumanistyczny przychylny młodym demokratom w środkowej Europie.

Najpierw opublikował dwa zbiory wierszy, a w roku 1928 napisał jedną powieść *Aurora*, surrealistyczną z ducha, którą zdecydował się wydać dopiero po wojnie. W latach 1931–1933 wziął udział jako „sekretny archiwista” w wyprawie etnograficzno-językowej do Afryki, przecinającej kontynent ze wschodu na zachód, od Dakaru do Dżibuti. „Dziennik podróży” ukazał się w roku 1934 pod tytułem *L'Afrique fantôme* i to był wielki szok dla wszystkich: uczonych załamujących ręce, że można się przyznawać głośno do tego, że się czegoś nie wie i w ogóle rozprawiać o duchach w sposób mało odpowiedzialny, poetów, że etnolog, wchodząc może w sen i pasjonatów rozczarowanych dowodem Leirisa, że trans czarownika posiada strukturę stereotypową. Claude Lévi-Strauss powiedział po śmierci Leirisa, że *L'Afrique fantôme* sprawia na nim ogromne wrażenie

cji i Włoszech, a mającej także ukazać się w ZSRR) zaczyna od rozważań o duchu europejskim. Europa, sądzi, może dać początek nowej koncepcji patriotyzmu. Byłby to patriotyzm kontynentalny, mieszczący w sobie patriotyzm narodowe. Fundamentem kultury europejskiej jest chrześcijaństwo, które rozumiane jest tutaj bardzo szeroko (w pewnym sensie należą doń także ruchy antychrześcijańskie zrodzone w Europie). Wielkie zadanie, przed którym stoi kultura Starego Kontynentu polega na zachowaniu równowagi między rozumem i wiarą. Można zaryzykować, że faszyzm i komunizm zrodziły się właśnie z zachwiania tej równowagi: pierwszy był irracjonalizmem, drugi – utopią hiperracjonalną.

Jak w tym kontekście brzmiałaby odpowiedź na pytanie o stosunek Rosji do Europy? Przede wszystkim nie wolno odpowiadać tej udzielać w języku przeszłości, w języku dziewiętnastowiecznych czy wcześniejszych sporów. Dotychczas istniały jak gdyby trzy Rosje: pierwsza – przedpiotrowska, druga – powstała po reformach Piotra i trzecia – komunistyczna. Druga Rosja była w pewnym sensie krajem europejskim: ówczesna polemika słowianofilów z okcydentalistami nie świadczy o swoistości Rosji – obie strony posługiwały się w niej europejską terminologią filozoficzną i podejmowały problematykę znaną myśli Zachodu. Wszelako, o ile w drugiej Rosji miał miejsce wielki spór o jej stosunek do przeszłości, analogiczny spór w Rosji trzeciej byłby niemożliwy. I dziś dyskusja taka jest niezmiernie utrudniona ze względu na brak odpowiedniej kultury intelektualnej i aparatu pojęciowego. (W odróżnieniu od Rosji, Europa, choć zrodziła faszyzm, zachowała zdolność krytycznej samooceny.) Zapewne obserwujemy teraz narodziny czwartej Rosji, ale nie będzie ona demokratyczna, jeśli nie zdobędzie się na wielki wysiłek intelektualny i nie dokona wnikliwej autoanalizy. Tylko w ten sposób może „uwolnić się od toksyn nagromadzonych w jej ciele”. Niestety, konkluduje Strada, w Rosji silne są skłonności do kulturalnej autarkii, podczas gdy widać, że jest to kraj zdemoralizowany, przostrojony politycznie, a nade wszystko prowincjonalny.

Sławomir Mazurek

z powodu maniakalnej wprost precyzji i dyscypliny intelektualnej.

Wyprawa doszła do skutku dzięki wsparciu Raymonda Roussela, który dał dziesięć tysięcy franków, Ala Browna, mistrza świata w boksie, który przeznaczył wpływy ze specjalnie stoczonego meczu oraz George’a Bataille’a, który zapłacił z góry za interesujące go informacje o rytach skatologicznych. Etnolodzy przebyli 20 tysięcy kilometrów, tuzin krajów. Przywieźli ponad 3500 eksponatów, z czego większość ukradli.

*L'Afrique fantôme* była książką naukową i intymną, zdradzającą zainteresowania autobiografii, która stanie się podstawowym przedmiotem badań Leirisa. Lévi-Strauss twierdzi, że katalog autobiograficzny Leirisa zawierał tysiące fiszek. W roku 1939 ukazał się wspomniany przed chwilą *L'Age d'homme*, w którym Leiris poszukiwał „metafizyki własnego dzieciństwa” rozumianej jako archeologia świadomości śmierci: „Nie jestem w stanie odkryć, w jakiej chwili uzyskałem świadomość istnienia śmierci i w jaki sposób stała się ona dla mnie bytem realnym”.

Przez lat trzydzieści pięć opracowywał kolejne tomy *La Règle du jeu*: w roku 1948 opublikował *Biffures* (pisane pomiędzy 1940 i 1947), *Fourbis* ukazały się w 1955, *Fibrilles* w 1966, a *Frèle Bruit* w 1976. Nie zapominajmy, że jednocześnie z cyklem autobiograficznym pracował nad *Haut-Mal* (1943), *Nuits sans nuits* (1945), *Tauromachies* ilustrowane przez André Massona, *Rubans au cou d'Olympia* (1985) – ten tytuł da się przetłumaczyć bez trudu: *Wstążka na szyi Olimpii* i odsyła do obrazu Maneta. W roku 1988 ukazało się ostatnie dzieło Leirisa: *A cor et à cri*.

Przecież wielu dzieł nie wymienię. Chociażby *Langage tangage* czyli prywatne dociekania etymologiczne, które można by porównywać z analogicznymi pomysłami Mickiewicza. W *A cor et à cri* Leiris przytoczył słowa swego przyjaciela Bataille’a skierowane do wdowy po Orwellu: „Nie jest tak, że już nie mam nowych pomysłów, ale te pomysły nie chcą już dla mnie zatańczyć. To tak jak z lekiem przeciwbólowym, który przestaje działać. Wtedy trzeba odejść”.

Maurice Blanchot stwierdził w jednej ze swoich książek, że pomysł Leirisa polegający na poświęceniu całego dzieła własnej osobie, na wykrywaniu kim – a właściwie miejscownikowo – „o kim”, „o czym” – się jest, to prawdopodobnie przedsięwzięcie wariackie, jeśli weźmie się pod uwagę, że większość dzieł literackich o niczym (o nikim) innym nie mówi. Leirisowi się udało? Nie wiem. Wiem natomiast, że na pewno udało się Gombrowiczowi.

Krzysztof Rutkowski

TYGODNIK  
LITERACKI 17

## ZYCIE LITERACKIE nr 25/52

„Tragedia narodu żydowskiego – sztuka – mifosć – tak się określa tematy Adolfa Rudnickiego, ale ja myślę, że tak jego twórczość określić nie wystarczy. Godność – oto temat Rudnickiego”.

Andrzej Kijowski

## TWÓRCZOŚĆ nr 7/56

„Filozofia sztuki stanowi centralny problem twórczości Adolfa Rudnickiego. Bardziej centralny niż tragedia narodu żydowskiego. Ta bowiem jest dla Rudnickiego po pierwsze jedynie najdrastyczniejszym przejawem tragedii ludzkiej w ogóle, a więc w istocie rzeczą jest jedynie literackim pretekstem, po drugie zaś ważniejsze jest nie to, co życie samo przynosi, lecz to co tragedii życia człowiek może przeciwstawić. Przeciwstawieniem ostatecznym, gdy zawodzą już wszelkie możliwości aktywnej postawy w dramacie życia, jest sztuka, która może dać świadectwo bezsilności człowieka wobec nieopanowanych mocy, władających ludzkim losem”.

Henryk Bereza

## ZYCIE LITERACKIE nr 44/56

„Pisarstwo Adolfa Rudnickiego (...) tę posiada właściwość, że każdy napotkany temat atakuje bez jakichkolwiek wstępnych przygotowań. Chętnych paradoksalnym skojarzeniom Rudnicki powiedzialby: jest to pisarstwo bez kantu (zaprasowanego, tego u spodni), bez waty (tej przy ramionach), ale z fastrygą. Z celowo wydobytą fastrygą (...)”

Rudnicki na ogół obraca się w sferze tzw. wielkich i ogólnoludzkich tematów: miłość, idea, prawda, sztuka, polityka. Jednocześnie wszakże PROZA jego jako ze swojego naturalnego źródła wyciąga nie z owoch uogólnień, lecz z mierzy dnia codziennego, z napotkanego przypadkiem faktu, z podsłuchanego sądu, z nagle zawiązanej i równie nagle rozwiązanej sytuacji. To moralista wśród aktualności, a nie wśród przykazań”.

Kazimierz Wyka

## ZYCIE LITERACKIE nr 30/57

„Rudnicki, jakiego znamy od czasów *Paleczki*, produkuje mity społeczone na użytek pensjonarek. Ten pisarz, którego pookupacyjna twórczość rokowała tak duże nadzieje, stał się Heleną Mniszek naszych czasów”.

Artur Sandauer

## ŚWIT nr 12/60

„Pisarstwo Rudnickiego jest w swoich warstwach głębokich i najważniejszych

„Poprawiać siebie w swojej jedności. Mieć odwagę swojego kalectwa, swoich braków, niedouczenia, meskinerii, swoich małych śmieszności, swojej nagości. Nie powinien brać pióra do ręki ktoś, kto za wszelką cenę chce być wyżej, niż jest, dalej, niż jest, zrobić lepiej dla samego zrobienia lepiej, wszystkie te zabiegi kosmetyczne zmieniają twój w maskę, gdy sięgniesz po jakość, która nie jest twoja, gdy podporządkujesz się radom, które zawczasu powinny zabrzmieć ostrzegawczą. Jutro, pojutrze ujawni się twoja kłeska, gorzej, bo-kradzież, więc bądź mały, jeśli jesteś mały, śmieszny, jeśliś śmieszny, nie wchodź na cudzy zagon, nie łakom się na łów, na którym lśni cudzy znak jakości. Nie chciej być większy, aniżeli jesteś”.

Adolf Rudnicki

# Adolf Rudnicki

## (1912–1990)

osiągnięciach pisarstwem męki nad każdą stroniczką. Gdyby pisarz ten – podobno proponowała mu to kiedyś żartobliwie Nałkowska – był lepiej *wychowany*, gdyby poddał swe teksty paru jubilejskim zabiegom, gdyby oczyścił je i pokrył lustrzaną glazurą, krytyczni lektorzy ujrzeli by w nich może rysy, które by ich zadowolily: rysy własnej twarzy”.

Artur Międzyrzecki

## TYGODNIK POWSZECHNY nr 22/60

„Adolf Rudnicki jest jednym z tych pisarzy, którzy przez całe życie piszą tylko jedną książkę. Można to z pewną dozą słuszności powiedzieć o każdym niemal pisarzu, ale o Rudnickim szczególnie. Te same miejsce, sytuacje i fakty pojawiają się w kolejnych jego książkach ciągle na nowo. W każdym niemal zadaniu wyczuwa się, żeby nie powiedzieć dostrzega, autobiografię. Nie są to nawet obsesje, ale kilka autentycznych doświadczeń, z których Rudnicki lepi swój świat. I problematyka jego książek jest też jednakowa. O trzy rzeczy psychologicznie w nich chodzi – o psychologię miłości, psychologię Żydów, psychologię artysty. I te trzy rzeczy psychologicznie wyczerpują autora”.

Jacek Łukasiewicz

## NOWE KSIĄŻKI nr 17/64

„Bezpośredniość środowiskowych obserwacji, zadokumentowana również

przez typ fabuły, słownik, nawet przez budowę zdań, zachowujących często właściwości prowadzonej «na gorąco» rozmowy – łączy się (...) z charakterystycznym dla tego pisarza komentarzem lirycznym, z pełnym patosu i romantyki traktowaniem ludzkich spraw i uczuć. Rudnicki wszystkie te sprawy potrafi zobaczyć w perspektywie nadającej im wielki wymiar, podnoszącej je bardzo wysoko. Można by, ewentualnie, spierać się z autorem, czy jest to prawdziwy, autentyczny wymiar opisywanych przez niego przypadków – ale któż to zmierzy jednoznacznie”.

Helena Zaworska

## WSPÓŁCZESNOŚĆ nr 9/65

„Jedynym absolutem w świecie Rudnickiego jest miłość, można powiedzieć emfaticznie, że wszystko poza miłością może tu być kłamstwem”.

Krzysztof Mętrak

## TYGODNIK POWSZECHNY nr 19/77

„W gruncie rzeczy «opowiadania» Adolfa (używam cudzysłowu, żeby podkreślić umowność tego terminu) prawie zawsze mają charakter wygłaszanej, a raczej – wyszeptywanej historii, w której – jak w każdej naturalnej wypowiedzi – mieszają się elementy opisu, dialogu, wreszcie uogólniających dygresji, niespodziewanych skojarzeń i filozoficznych stwierdzeń.

Stąd właśnie ulotność tej prozy. Ulotność pokrewna wszelkiemu słowu mówionemu. Dopóki się ją czyta (słucha) – działa i działa bardzo mocno. Gdy milknie, rozwieja się, pozostawiając po sobie wrażenie czegoś błędnego, lecz mało konkretnego. Po lekturze tekstów Adolfa pamięta się, że gdy się je czytało, było przyjemnie, że było się uwodzonym, że słuchało się kogoś niezwykle – czarodzieja”.

Antoni Libera

## DIALOG nr 11/83

„Rudnicki zawiął w swoim odrębnym czasie, naprawdę zajęty tylko sobą. Chodzi gdzieś poboczem. Dotrzeć do niego, to dotrzeć do pająka, zerwać pajęczynę. Generacja dziesiętna nie zajmuje się pajakami. Ich materia jest za cienka na ten czas z gruba ciosany. Kto to jest Rudnicki? Zapytana osoba uchodzi za czytana, grzebie w pamięci, pusto. Starsi kojarzą odruchowo. Książarz jakiś podaje mi *Stare i nowe*, obaj patrzymy na siebie ze zdziwieniem. Apostołować, przekonywać, namawiać? Czy może zachować Rudnickiego w tajemnicy, zazdrośnie strzec intymnego paktu? Sam Rudnicki gdzieś twierdzi, że pisarz pisze dla pięciu osób, potem zaczyna krążyć coś w rodzaju *Dobrej Nowiny*. Zawsze znajdzie się jakiś wtajemniczający i wtajemniczany”.

Janusz Majcherek

## LITERATURA nr 3/90

„Ktoś przyglądający się z boku mógłby powiedzieć: przykład Rudnickiego wskazuje, jak stopniowo, w swej twórczości przechodzi on od ukazywania losu zbiorowego do ukazania losu jednostkowego, w końcu zaś, zostaje sam ze sobą. Przechodzenie to nie odchodzenie, wielu tego nie rozumie. Rudnicki zostaje sam ze sobą nie dlatego, że jest narcyzem, jak sugerowali to niektórzy, ale że siebie po prostu najlepiej zna, że czyni siebie najlepszym, najbardziej dogodnym materiałem badań losu ludzkiego. Jak Rembrandt, jak Charadin, jak tytu przed nim, siada przed lustrem i bada własną twarz. Rozpoznaje w niej twarze innych, żywych i częściej umarłych. Niekiedy nie może znieść jej odbicia. Wówczas zanurza się w innych. Niekiedy roztopia się w nich, ginie sobie z oczu. Wypływa na powierzchnię i nie rozpoznaje świata. Niekiedy, jak Dylan Thomas, woła z rozpaczą: Zróbcie mi maskę!”.

Krzysztof Karasek opracował P. R.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

Józef Łobodowski, *POEZJE*. Wybrał i wstępem opatrzył Józef Zięba. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1990;

Marek Wawrzkiwicz, *O MIŁOŚCI*, PIW, Warszawa 1990;

Homer, *ODYSEJA*. Przetłumaczył Lucjan Siemiński. Z oryginałem skolonizował, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1990;

William Shakespeare, *ROMEO I JULIA*. Przetłumaczył Stanisław Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1990;

Charles Baudelaire, *KWIATY ZŁA*. Wybór Maria Leśniewska i Jerzy Brzozowski. Redakcja i posłowie Jerzy Brzozowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990;

Aleksander Wat, *DZIENNIK BEZ SAMO-*

*GŁOSEK*. Opracował Krzysztof Rutkowski, Czytelnik, Warszawa 1990 (I wyd. w: Aleksander Wat, *PISMA WYBRANE*, T. II, Polonia Book Found, Londyn 1986);

Gustaw Herling-Grudziński, *DZIENNIK PISANY NOCĄ XXX 1984–1988* (T. 1–2), Oficyna Wydawnicza „Plejada”, Warszawa 1990 (I wyd. Instytut Literacki, Paryż 1989);

Leopold Tyrmand, *ZYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE*, Czytelnik, Warszawa 1990 (I wyd. Instytut Literacki, Paryż 1967);

Jacek Bocheński, *RETRO*, Verba, Chotomów 1990;

Janusz Głowacki, *MOC TRUCHLEJE*, Czytelnik, Warszawa 1990 (I wyd. krajowe „KRAK” 1981);

Aleksander Ziemny, *ZŁY INTERES. OPÓWIADANIA*, Warszawski Klub Młodej Sztuki, Warszawa 1990;

[Piotr] Müldner [Nieckowski], *DIABEL NA PLACU ZBAWICIELA*, Sp. z o.o. „Pomoc Szkole”, Warszawa 1990;

Jan Strzelecki, *KONTYNUACJE* (2), PIW, Warszawa 1990 (wyd. I w tej postaci);

Jerzy Turowicz, *KOŚCIOŁ NIE JEST ŁODZIĄ PODWODNĄ* (Wybór publicystyki z lat 1964–87), „ZNAK”, Kraków 1990;

Penelope Lively, *DROGA DO LICHFIELD*. Przetłumaczyła Krystyna Rabińska, PIW, Warszawa 1990;

Krsto Špoljar, *ŚLUB W PARYŻU*. Przetłumaczyła Danuta Cielić-Straszynska, PIW, Warszawa 1990;

Alceo Valcini, *Z MALAPARTEM W WARSZAWSKIM GETCIE. Z NOTATEK KORRESPONDENTA*. Przetłumaczyła Anna Osmólska-Mętrak, PIW, Warszawa 1990;

Ali Ibn Abi Talib, *AFORYZMY*. Wybrał i przetłumaczył Janusz Danecki, PIW, Warszawa 1990;

Tadeusz Witczak, *LITERATURA ŚREDNIOWIECZA*, PWN, Warszawa 1990;

Zbigniew Raszewski, *KRÓTKA HISTORIA TEATRU POLSKIEGO*, PIW, Warszawa 1990 (wyd. III);

Dionizja Wawrzykowska-Wierciochowa, *ADAM I MARYLA. DZIEJE WIELKIEJ MIŁOŚCI ADAMA MICKIEWICZA I MARYLI WERESZCZAKÓWNY*. Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1990;

Małgorzata Szulczyńska, *„NIE POPEŁNIŁAM ZDRADY” RZECZ O HALINIE POŚWIATOWSKIEJ*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990;

UNIERSALIZM I SWOISTOŚĆ KULTURY POLSKIEJ. (T. 1–2) Księga zbiorowa pod redakcją Jerzego Kłoczowskiego, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1990;

PORTRET. FUNKCJA-FORMA-SYMBOL. (Materiały Sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Toruń, grudzień 1986). Księga poświęcona pamięci profesora doktora Jana Białostockiego, PWN, Warszawa 1990;

# École a-Normale Supérieure

Wydawać się mogło, że obchody piętnastolecia Wydziału Wiedzy o Teatrze przeszły najśmielsze oczekiwania. Kiedy w sobotni wieczór 10 listopada piszący te słowa zmierzał na ulicę Miodową do Szkoły Teatralnej, gdzie mieści się siedziba Wydziału, czarne niebo raz po raz rozpalano się sztucznymi ogniami, cała okolica Starego Miasta drżała w posadach poruszona rytmiczną produkcją orkiestr dętych, a na obliczach przechodniów malowały się szczęście i entuzjazm. Niestety, rychło okazało się, że piszący te słowa dał się ponieść złudnym marzeniom. Oto, powodem świątecznej feerii wcale nie było piętnastolecie Wydziału, lecz siedemdziesiąta druga rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Ale nic to. Wydziałowe święto, jakkolwiek skromniejsze od państwowego, wypadło nadzwyczajnie. Zaczęło się przedpołudniową sesją wspomnień, na którą obok absolwentów, wykładowców i studentów przybyli ojcowie-założyciele Wydziału: dziekan doc. Jerzy Koenig i dr Jerzy Timoszewicz oraz powitany owacyjnie prof. Zbigniew Raszewski. Doc. Koenig powiedział, że jeśli polską teatrologię można porównać do obrazu, to prof. Raszewski jest gwoździem, na którym ten obraz wisi. Prof. Raszewski odparł na to, że w ciągu swego życia występował już w wielu rozmaitych rolach, ale jeszcze nigdy nie był gwoździem. I poprosił o pobłażanie, ponieważ jak stwierdził, od dawna nie jest już z żelaza. Słowem, początek był dobry. Po dłuższych wystąpieniach doc. Koeniga i prof. Raszewskiego synpnęły się swobodniejsze w formie, a już zwłaszcza w treści anegdoty i wspomnienia. Najcelniejsze – zdaniem piszącego te słowa – wypowiedzieli: doc. dr Marta Fik, prof. Andrzej Makowiecki i dr Jerzy Timoszewicz. Ten ostatni publicznie wyraził ubolewanie z powodu fatalnego podobieństwa, które łączy jego nazwisko z nazwiskiem jednego

z kandydatów na prezydenta. Piszący te słowa wyraża w tym miejscu zdumienie, że specjalista od Leona Schillera wypiera się lewicy. Anegdoty i wspomnienia przetykane były wystąpieniami o innym charakterze. Dr hab. Lech Sokoł wyjątkowo nie mówił ani o Witkacym, ani o Strindbergu, lecz o miłości swojej do Wydziału. Doc. dr Henryk Hinz jak na filozofa przystało mówił filozoficznie, zaś prof. Zbigniew Wilski raz jeszcze udowodnił, że jest akademikiem z krwi i kości. Oprócz wykładowców-ucozonych, godnych i utytułowanych, produkowali się również absolwenci Wydziału, przede wszystkim troje organizatorów jubileuszu kol. Hanna Bałtyn („Tygodnik Literacki” oraz IS PAN), Marek Piekut (Wydawnictwo Krag, asystent na Wydziale) i Wojciech Majcherek (właściwie jeszcze student V roku, ale już redaktor „Teatru” i stały recenzent „Polski Zbrojnej”). Wystąpił też Janusz Majcherek, redaktor „Teatru” i wykładowca minorum gentium na Wydziale. Między braćmi Majcherkami doszło do pojedynku na miny. Starszy, Janusz, zalił się, że młodszy, Wojciech, natychmiast to udowodnił. Wieczorem o godzinie 7. rozpoczął się bal wydany przez kol. Jolanę Tourel de domo Stanik primo voto Koman. Nikt spośród absolwentów Wydziału nie zrobił ani takiej kariery (amerykańskiej) ani takich pieniędzy, nawet koledzy reprezentujący: jeden – bank szwajcarski, drugi – firmę Gillete. Nic dziwnego zresztą, bo większość absolwentów pracuje jednak w swoim zawodzie. Na cześć kol. Tourel sala odśpiewała słynny szlagier *Jolka, Jolka pamiętasz* zaintonowany przez kol. Wojciecha Tomczyka, scenarzystę i krytyka filmowego („Tygodnik Literacki”, „Film”). Co się tyczy posiłku, to wzrok cieszył sztywny country table z rzepą, surowymi pieczarkami, czarnym

chlebem i bogatym zestawem serów. Część rozrywkową zapewniał jazzujący duet w osobach pianisty i saksofonisty. Pod koniec balu natomiast miejsce przy pianinie zajął Stanisław Tym, związany uczuciowo z jedną z absolwentek i śpiewał między innymi *Jimmy Joe, ja kocham ciebie*. Alkoholi była wielka różnorodność, co dało się odczuć w dniu następnym. Wśród obecnych gości piszący te słowa szczególnie zauważył dr Małgorzatę Szpakowską („Dialog”) w szpilkach, Marka Karpińskiego („Tygodnik Literacki”), który podawał się za męża swojej żony, czyli Hanny Baltyn, był jednak całkowicie bezradny wobec dionizyjskich szarów tejże. Profesor Makowiecki bawił się w stylu właściwym epoce, którą się naukowo zajmuje, to jest po młodopolsku. Piszący te słowa jest zdania, że ze względu na pasję taneczną prof. Makowiecki mógłby zagrać główną rolę w filmie *Czyż nie dobija się koni*. W dziedzinie tańca z profesorem Makowieckim konkurować mógł jedynie red. Andrzej Wanat („Teatr), wszelako z jednym zastrzeżeniem: każda partnerka była przez red. Wanata na wstępie informowana, że podchodzi mu tylko wolne numery. Po młodopolsku wystąpił także red. Jacek Sieradzki („Dialog”, „Polityka”), który podpierał ścianę w przedsiadku sali balowej, w czym przypominał Poetę z *Wesela*. Co z tego wyniknie – trudno przewidzieć. Kol. Wanda Zwinogrodzka („Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Literacki”, liczne warszawskie salony) dała się zauważyć w nie znanej piszącemu te słowa kreacji, co piszący te słowa podkreśla z tego względu, że był kiedyś czas, gdy piszącemu te słowa znane były wszystkie kreacje pani redaktor. Na bal nie przybyli przedstawiciele sfer telewizyjnych: kol. kol. Grażyna Loska, Tomasz Raczek i Piotr Radziszewski. Nie wiadomo dlaczego, bo festiwal w Cannes skończył się już jakiś czas temu. Był

natomiast radiowo-festiwalowy kol. Kydryński-junior z zupełnie nową i bodaj nie całkiem pełnoletnią damą. Statystycznie najliczniej reprezentowana była redakcja „Teatru”, jako że w tym znakomitym piśmie pracuje aż dziewięć osób związanych z wydziałem, już to jako absolwenci, już to jako wykładowcy. Obok red. Wanata, braci Majchereków, Tomasza Kubikowskiego, Ewy Komedowskiej i Natalii Adaszyńskiej (także „Tygodnik Literacki”) wystąpił kol. Marek Zagańczyk, asystent eseista i elegant. Miał na sobie spodnie, które nabył za sumę wykraczającą poza wyobraźnię piszącego te słowa. To kol. Zagańczyk jest autorem tezy, że Wydział Wiedzy o Teatrze jest polskim odpowiednikiem École Normale Supérieure, w co piszący te słowa osobiście powątpiewa, choć faktem jest, że absolwenci Wydziału zajmują w polskim życiu kulturalnym coraz bardziej znaczące pozycje.

Wracając zaś do balu nie sposób wymienić wszystkich kolegów ani dziedzin zawodowych, które reprezentują. Był przedstawiciel rządu, kol. Grzegorz Kostorz-Zorbas, który rzucił teatr i został dyrektorem departamentu w MSZ. Byli reżyserzy, kol. Zembrzusi, Guc, Orski, Cieplak i Szczykno. Był szef wydawnictwa Verba, Marek Chimiak, w swoim czasie współwydawca *NOwej*. Byli dziennikarze, publicyści, krytycy i ludzie uczeni: Joanna Godlewska, Anna Nastulanka, Jacek Strzemżalski, Kalina Zalewska, Piotr Mitzner, Katarzyna Madoń. Był naczelny „Filmu” Maciej Pawlicki (z żoną, też wydziałową), Jerzy Zalewski – reżyser filmowy i Magdalena Kwiatkowska – malarka.

Można by jeszcze wymienić kilka osób, które po Wydziale nie robią nic szczególnego i dały się szczególnie poznać. Ale te były w mniejszości.

Najlepszą recenzją balu był wyraz twarzy Janusza Maciejewskiego, redaktora naczelnego „Tygodnika Literackiego”, a kiedyś także wykładowcy Wydziału. Gdyby nie uszy Maciejewski miałby uśmiech dookoła głowy.

Nadszpodziewanie długo zaszczycał bal swoją obecnością rektor Jan Englert. Piszący te słowa przypuszcza, że rektor nie mógł wyjść – z podziwu.

Jan Palusiński

## Prenumerata

### „Tygodnika Literackiego”

Cena prenumeraty krajowej „Tygodnika Literackiego” kwartalnie (13 numerów) – 32500 zł, zagranicznej kwartalnie – \$19,5, półrocznie – \$39, rocznie – \$78 lub równowartość w walucie lokalnej (wysyłka pocztą lotniczą).  
Możliwa jest również prenumerata mniejszej ilości numerów z zaznaczeniem, od którego numeru została dokonana wpłata.  
Cena pojedynczego egz. w prenumeracie wynosi 2500 zł lub \$1,5.  
Wpłaty prosimy kierować na konto:

„CAMELOT” spółka z o.o.  
PKB III Oddział Warszawa  
370015-971241-136  
Informacji udziela  
„CAMELOT” Warszawa, ul. Rakowiecka  
4, tel. 48-38-09

## brulion kw

laureat nagrody  
Stowarzyszenia Dziennikarzy  
Polskich 1990  
ukazujący się w podziemiu od 1987 roku

W piśmie publikowali m.in.: Błoński, Kosiński, Międzyrzecki, Szczepański, Woroszyński.  
Ponadto tłumaczenia: Bataille, Brodzki, Dostojewski, Hrabal, Kundera, Nabokov, Solżenicyn, Vonnegut.  
W numerze najnowszym: Blake, Céline, Lem, Sciefert, Zagajewski oraz

POLSKA I EUROPEJSKA KULTURA  
ALTERNATYWNA

## Przepraszamy

W notce bibliograficznej zamieszczonej pod esejem Tomasza Burka o Rafał Marcelem Blüthcie („TL” nr 8) zabrakło informacji, iż autorem opracowania i wstępu do „Pism literackich” R.M. Blüthta jest Piotr Nowaczyński. Serdecznie przepraszamy.

## SZANOWNI PAŃSTWO

### Proponujemy reklamę w „Tygodniku Literackim”

- KONKURENCYJNE CENY  
7 tys. zł za cm<sup>2</sup>  
8 mln. zł za kolumnę  
opracowanie graficzne bez  
dodatkowych opłat
- KRÓTKIE TERMINY  
● ATRAKCYJNE ZNIŻKI  
10% za każde następne  
ogłoszenie przy wykupieniu  
reklam na rok lub pół roku

„TYGODNIK LITERACKI” jest pismem niezależnym, kolportowanym na terenie całego kraju oraz poza granicami, dostępnym także w prenumeracie.  
ZAPRASZAMY DO WSPÓLPRACY:  
informacje i zgłoszenia: „Tygodnik Literacki” Dział Reklamy

# TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Jozef Szczepański  
ZESPÓŁ: Marta Brestkowska, Waldemar Cholewicki, Melania Dzeduszycka, Waldemar Gąsper (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kaliński, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelny), Łukasz Malachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki, Grzegorz Musiał, Agnieszka Piwowarska, Paweł Rodak, Iwona Smolka (zastępca redaktora naczelnego), Piotr Sommer, Jan Stuchowski, Marian Stala, Robert Tekieli (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinogrodzka.  
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Barni, Bogumiła Berdychowska, Marek Bińczyk, Krystyna Cholewicka, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Koehler, Małgorzata Kruszewska, Marta Makowiecka, Piotr Mitzner, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.  
Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.  
Redaktor graficzny: Donat Chruszicki, Marzena Włodarczyk. Korekta: Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.  
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.  
Skład: „Printext”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.  
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

# Zmęczenie

Największa korzyść z kampanii prezydenckiej w tym, że setki tysięcy ludzi wkroczyło do polityki: angażując się w lokalne komitety wyborcze, biorąc udział w różnorodnych spotkaniach, czy po prostu oglądając telewizję i gadając o tym nieustannie. Mam wrażenie, że na czas jakiś wyszliśmy z apatii i dzięki naprawdę masowej kampanii coś zaczęło się dziać.

Najpoważniejsza wada tej kampanii: jest to kampania niepoważna. Nicodownym w takiej sytuacji emocjom nie towarzyszą argumenty, racje, po prostu nie wiadomo o co w tym wszystkim chodzi. O władzę i niewiele więcej! Mam wrażenie, nawet przekonanie, że nie wiedzą o tym nie tylko telewizzowie, ale i eksperci, sztabowcy, czołowi intelektualiści.

Ktoś mi odpowie: wszelkie kampanie prezydenckie na całym cywilizowanym świecie, którego tak bardzo pragniemy być częścią, toczą się w takim samym stylu. Że przede wszystkim odwołują się do emocji, a gra wyborcza polega na zręcznym i trafnym doborze symboli. Tak, to prawda, ale za kampaniami prezydenckimi zwykle stoją dobrze działające instytucje, ugruntowane mechanizmy politycznego działania, zorganizowane lobby. Za wielkim teatrem są kulisy. Zmiana prezydenta nie jest przeto wielką rewolucją. Giędy pracują nadal, fabryki nie zmieniają właścicieli, a sklepikarze tak samo martwią się o klientów. U nas rzecz się ma nieco inaczej.

System ze słabo rozwiniętą tkanką stowarzyszeń, ze słabymi władzami lokalnymi, z niepewnymi swego losu posłami, z nieokreśloną polityką gospodarczą skazany jest na rozwiązanie prezydenckie. Tym samym wpływy prezydenta, jego program, jego ludzie i jego styl będą miały znaczenie pierwszorzędne. On będzie pełnił przez czas jakiś, póki nie wzmacni się opozycja, funkcję porównywalną z pierwszym sekretarzem partii, by nie powiedzieć – monarchy.

Tymczasem miast polityki, a więc programów, moż-

liwie konkretnych pomysłów, na które czekamy, jest spór o charakterze ideologicznym. Spór o styl, o ducha narodowego. Pierwszy obóz uprawia autogloryfikację. Jeden człowiek skacząc przez płoty pokonał totalitaryzm i dał narodowi przykład jak skakać mamy. Nie był w tym skoku osamotniony. Nie wiedział też, że Bastylie upadają nie pod naciskiem tłumów, ale dlatego, że nie są już bronione. Totalitaryzm bowiem skończył się w okolicach 1956 roku, a to, z czym mieliśmy do czynienia w latach siedemdziesiątych, przypominało raczej tępy autorytaryzm. Druga strona głosi swoje przywiązanie do Europy i do polskiego mitu inteligenta, nie mówiąc co z tej Europy chce wziąć, ani nie zastanawiając się nad przyszłością owego inteligenta. Pierwsi łatwo ulegają pokusie nacjonalistyczno-populistycznej. Drudzy przeciwnie, są owładnięci piorunującą mieszkanką: pychy ludzi, którzy wiedzą lepiej, są inteligentniejsi, lepiej wykształceni, z lepszych domów z lękiem przed masami (jak mówią: frustratami, narodkiem z szowinistycznym smrodem). Lęk powołuje, że niczego nie mówi się odważnie, pycha z kolei rodzi arogancję i lekceważenie potencjalnej nawet klienteli. Przy takim usytuowaniu dwóch najpoważniejszych obozów politycznych można tylko poszukiwać trzeciego kandydata. Nie dlatego, iżby do niego akurat miało się przekonanie, ale po to, by dać wyraz niechęci i niezgody na rodzaj walki, jaką toczą giganci. Dwa te obozy wzajem wpychają się na swoje pozycje. I nie wiadomo kto tu jest bardziej winien: czy ten, kto powiedział o siekierze, czy ten, kto straszy panem z siekierą. I kto komu tym samym więcej głosów przysporzy.

Obie (wszystkie) strony prowadzą do drastycznego zubożenia języka politycznego, a tym samym niedorozwoju polityki. Gra się toczy w kręgu czterech pojęć symboli: demokracja, pluralizm, totalitaryzm, naród – niepodległość. Oba ugrupowania wzmacniają kołtunierię, tyle że odmienne jej rodzaje. Pierwszy typ kołtuna jest dobrze znany z okresu międzywojennego: łączy on w sobie bigoterię narodowo-katolicką, folkloryzuje religię, wzmacnia postawy inkwizytorskie, rozbudza resentymenty antyinteligentne, wywołuje ducha antysemityzmu. Kołtun ten nie tylko, że nie ma poczucia humoru, ale brak mu wszelkiego dystansu do siebie samego. Dlatego nie znosi krytyki, a w krytyku widzi

przedstawiciela wrogich, zmistyfikowanych sił spiskowych. Co więcej, nie znosi on odmienności i chce, by wszyscy żyli wedle przepisu katolicko-polskiego, byle tylko nikt nie mieszał mu się w jego życie prywatne. Głoszenie słusznych poglądów ma być już wystarczającą rękojmnią jego uczciwości. Uwielbia symbole narodowe i msze żałobne.

Kołtun inteligentki jest nieco bardziej przewrotny. Jego pierwszą cechą jest sekciarstwo. Uznaje tylko swoich i potrafi wygimnastykowanym umysłem zawsze dowiedzieć, że jego ludzie mają zawsze rację. Jest tak samo jak przeciwnicy nietolerancyjni, tyle że inaczej myślących uważa po prostu za niemyślących. Język swój buduje z „pojęć zachodnich”: Europa, kultura, wolność, prawa człowieka i tak się nimi posługuje, by wyglądało na to, że to właśnie on je wciela, zarazem do granic przyzwoitości je instrumentalizując, tak że stają się one raczej kolejnym wytrychem (którego w razie potrzeby można użyć zamiast pałki) niż kluczem do rozumienia czegokolwiek. Jako, że nie wierzy przesadnie, łatwiej mu zdobyć się na ton prześmiewczy, a będąc osobą wrażliwą i wykształconą łatwo przeciwnika może ośmieszyć i wykić. Zawsze nosi dwa stroje: jeden polityka, drugi bądź moralisty, bądź intelektualisty. I zmienia swój obraz zależnie od koniunktury tak, iż rozmywa i podmywa wszelkie granice między tym, co polityczne, zmienne, a poważne i trwałe. Potrafi powołać się na jakąś wielce szanowaną intelektualną postać, by za chwilę zrobić zeń swego już tylko politycznego sojusznika. Choć pragnie władzy, to najlepiej czuje się w opozycji, zagrożony (i często tworzy wrażenie, że takim właśnie jest). Nie znosi odpowiedzialności. Zawsze woli pozostać na wygodnej pozycji prześmiewcy i moralisty zarazem, bo przegrany odzieje się w strój, a to wygnańca, a to Dreyfusa, a to obrońcy dobrego smaku.

Póki będziemy wybierać między tymi dwiema kołtunieriami, póty nie opuścimy okresu międzywojennego; póki gra się będzie toczyć o „ducha”, póty polityka nie osadzona w jasnych projektach będzie skazana na dryfowanie, a wszystkie dyskusje publiczne przypominać będą posiedzenia przy wirującym stoliku.

Paweł Śpiewak

## SENSACJE EKONOMICZNE W ZSRR III

### Prywatyzacja Armii Czerwonej

Armia Czerwona spełniała różne role. Była maskotką i ulubieńcem całego Związku Radzieckiego, czołowym towarem eksportowym cenionym i miłowanym od Polski po Kubę.

W razie potrzeby opiekowała się dziećmi i przeprowadzała staruszki przez jezdnię. Była też niczym mądry starzec, który swym autorytetem i niewątpliwym wdziękiem rozstrzyga sporne kwestie. Bez względu na porę dnia potrafiła przyjechać z drugiego końca świata i spytać się *Co jest grane?* poklepując cię łufą po ramieniu.

Ach! Szkoda gadać. Drugiej takiej nie znajdziesz.

Czasem czuła jak pancerna matka, czasem surowa jak ojciec co to pepeszy dzieciom i granatów na tylek nie poskapi.

Gdzie te czasy gdy zdziesiątkowana przez choroby weneryczne dotarła do Berlina, zapuszczając tam korzenie.

Niestety w dobie renesansu kapitalistycznego gdy starzy bolszewicy masowo zmieniają wiarę z „walki klas” na „wolny rynek”, również i ona, ostatnia ostoja Wesołego Imperium ulec ma prywatyzacji.

Pierwsze oznaki tendencji rynkowych w Armii Czerwonej to jej komercjalizacja. Od jakiegoś czasu Armia Czerwona nie chce wyzwać Europy Zachodniej, a jej żołnierze stacjonujący w Niemczech, zamiast kraść zegarki i jeść liście z drzew jak to onegdaj bywało, sprzedają swe uniformy i uzbrojenie za twardą walutę.

Prawdziwa bomba wybuchła dopiero niedawno. Grupa ekspertów ekonomicznych skupiona wokół Jelcyna chce wprowadzić na rynek dostępne dla każdego BEZ-KRWAWĘ AKCJE Armii Czerwonej. W ten sposób Armia może stać się własnością kosmopolityczną kilkudziesięciu Rockefellerów, z całego świata.

Żołnierze stacjonujący w NRD liczą, iż wykupi ich miejscowy kapitał, dzięki czemu nie będą musieli wracać do domu.

Istnieje konkurencyjny projekt, zwany projektem Gorbaczowa, w którym Armia Czerwona ma być zorganizowana na wzór wypożyczalni kaset video. Chcesz wynająć sobie oddział saperów, kompanię moździerzy czy batalion czołgów? Proszę bardzo. Bierz, płac i o Marksa nie pytaj. Podobno Lech Grobelny czyni starania o wypożyczenie dwóch dywizji celem zabezpieczenia się przed byłymi klientami swojej firmy.

Popyt więc na Armię Czerwoną jest.

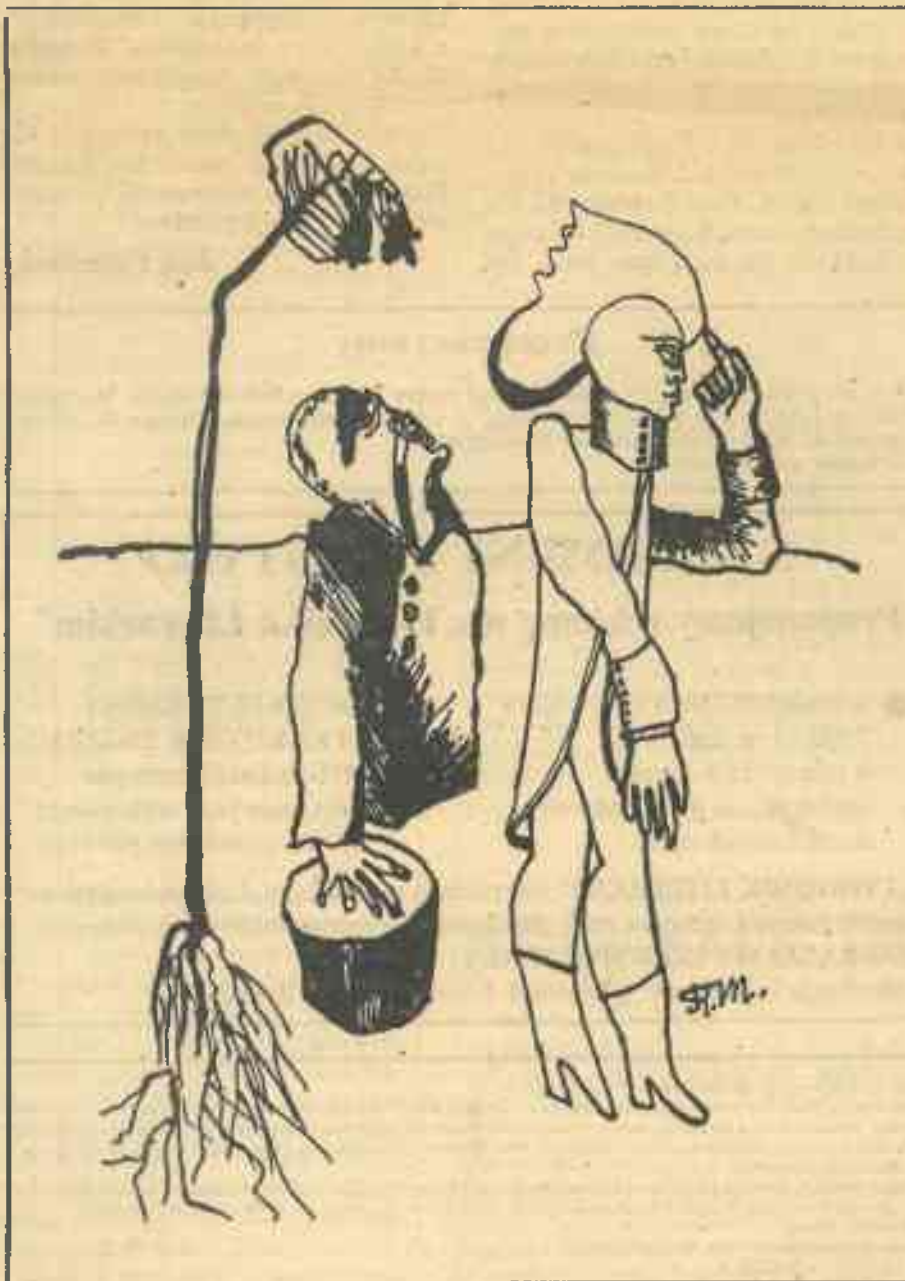
Na japońskiej giełdzie papierów wartościowych handluje się już oddziałami wycofanymi z Czechosłowacji i Węgier.

W przybliżeniu uzyskały one wartość kilkudziesięciu ton buraka cukrowego. Fachowcy twierdzą, iż przy dobrej koniunkturze istnieje możliwość całkowitego zagospodarowania Armii Czerwonej, co rozwiązałoby problemy ekonomiczne ZSRR.

Z ciekawą propozycją wystąpiły ostatnio żony oficerów radzieckich, których oddziały stacjonują jeszcze w byłej NRD. Otóż na wieść o tym, że po zjednoczeniu Niemiec oddziały mają wrócić do ojczyzny, zaproponowały, iż dobrowolnie zostaną „Żywymi Tarczami” w Iraku.

Krzysztof Skiba

marszałek wojsk pancernych



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK